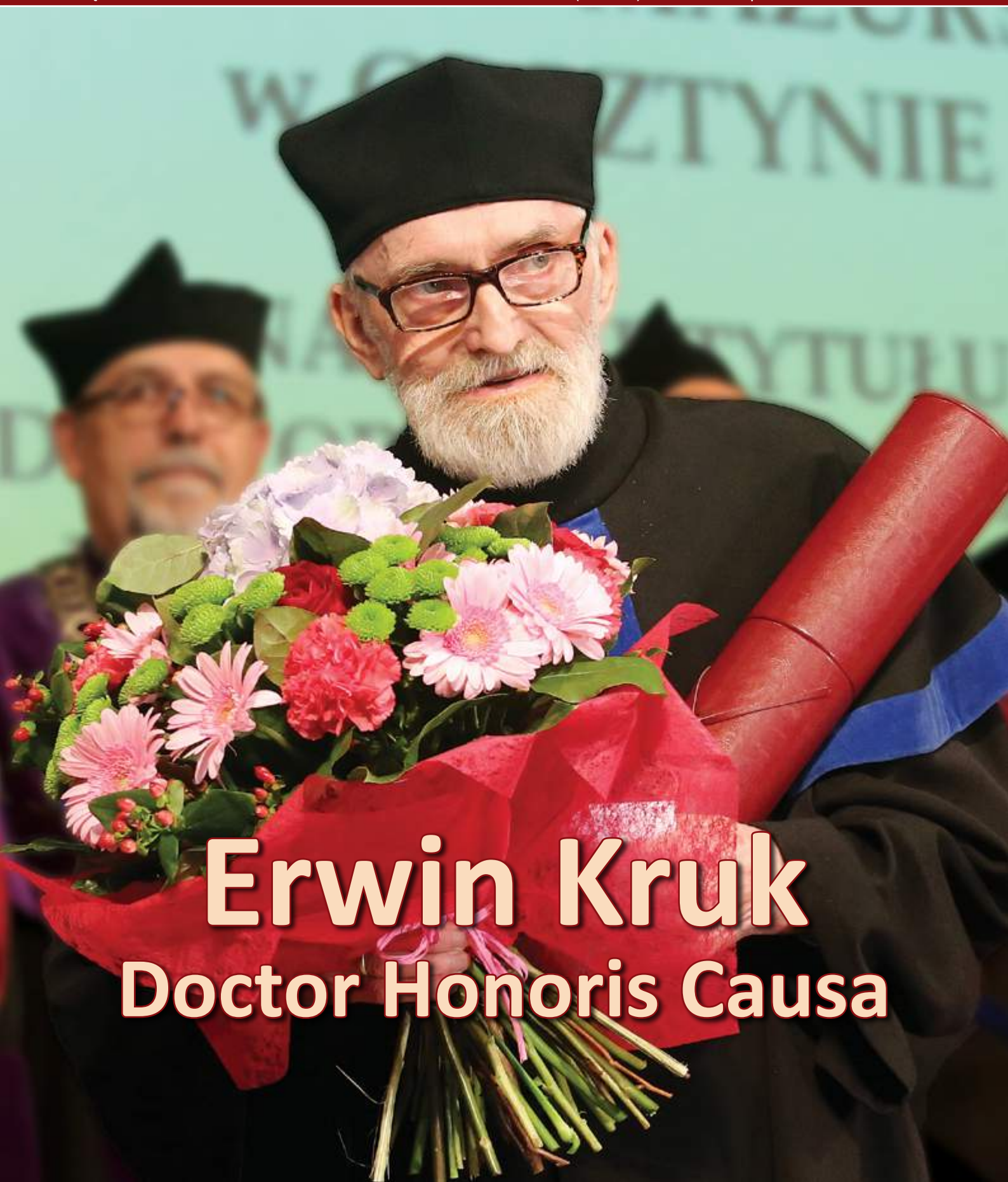




Erwin Kruk
Doctor Honoris Causa

MALGORZATA CHOMICZ

DEPLORATIO

Archaeological Museum in Zadar
Church of St. Donat

July 2016

W NUMERZE

Order Orła Białego dla dziennikarza	2
Aktualności ZG SDP	4
Mika: „Pamięć Jastrzębska” pamięta	5
Media w Polsce	6
Aktualności CMWP	8
Aktualności z oddziałów	9
Maj na Foksal 2016	11
Wegner: Dziewięćdziesiąt lat temu	14
Widziane z Warszawy	19
Piórem felietonisty	20
Wywiady Błażeja Torąńskiego	
– Wiktor Świetlik	24
Łosińska: Niechlujny jak dziennikarz	25
Rostan: Sąd zamiast polemiki	26
Gadowski: Sprawa z diablem	27
Falkowski: Inteligencja	
i wykształciuchy	28
Rozmowy przy kawie Moniki Szczygło	
– Stanisława Celińska	30
Twarze mediów – Mariusz Korejwo	32
Goljat: O „Wielkiej grze” słów kilka	34
Wstrząsająca pieśń Tatarki	38
Okuniewski: Dylematy rynku	
wydawniczo-księgarskiego	40
Kryszczuk: Fundacja Dzieciom	42
Truszczyński: Świętokradztwo	46
Chomicz: Umbryjskim szlakiem	50
Fastnacht-Stupnicka: Ze Lwowa	54
Królikowska-Avis: Muzułmanin	
merem Londynu	57
Sołuda: „Pięć lat kacetu”...	60
Palczewski: Niewygodna prawda	66
Kwiatek: Serio o serialach	67
Z Mazur i Warmii	68
Lektury medioznawcy	69
Bochwic: Andrzej – człowiek	
dobrej woli	70
Śmierć na posterunku	71

NA OKŁADCE

I strona: **Erwin Kruk otrzymuje doktorat *honoris causa* na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie,**

1 czerwca 2016. FOT. © UWM

IV strona: **Anna Rubinkiewicz, „Pieczęć cielesności1”,** offset, 50 x 70 cm, 2016; praca zaprezentowana podczas wystaw grafików warszawskiej ASP, zorganizowanej przez KISSPRINT – Stowarzyszenie Twórców Grafiki Użytkowej w maju 2016 roku w Warszawie (A.D.A., ul. Puławska 37, Galeria WOLNO, ul. Skorupki 6a, PLAŻOWA, ul. Wybrzeże Szczecińskie 1)

Od naczelnego

Doctor Honoris Causa



FOT. © UWM

Erwin Kruk – Członek Honorowy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – poeta, pisarz i eseista, otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Uroczystość odbyła się w ramach święta olsztyńskiej Alma Mater, 1 czerwca.

Z wnioskiem o nadanie tytułu wystąpiła Rada Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Profesorowie: Jarosław Ławski z Uniwersytetu w Białymstoku, Janusz Małek z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i Andrzej Sakson z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zgodnie i w pełni potwierdzili zasadność decyzji Senatu UWM, aby nadać znamienitemu twórcy tę najwyższą godność akademicką.

W specjalnej Uchwale (nr 886 z dnia 26 kwietnia 2016 r.) Senat Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego przyznał to szczególne wyróżnienie Erwinowi Krukowi między innymi za:

- mazurski trwały wkład do skarbcza literatury polskiej,
- tworzenie prawdziwego, sumiennego i wielowymiarowego obrazu ziemi warmińsko-mazurskiej oraz upowszechnianie go na forum ogólnopolskim,
- budowanie tożsamości i rozwój dziedzictwa kulturowego regionu w wymiarze uniwersalnym,
- trwające pół wieku skuteczne inspirowanie badań regionalistycznych w zakresie nauk humanistycznych i społecznych,

- piękne owoce działań podjętych z myślą o dobru wspólnym społeczeństwa Warmii i Mazur, Polski i Europy.

– Erwin Kruk na Mazurach był i jest od zawsze; oparł się presji, aby porzucić swoje rodzinne strony. Jego aktywnością twórczą rządził i rządzi ten sam imperatyw obowiązujący w świecie nauki i literatury – wola bezinteresownego poszukiwania prawdy o człowieku i jego otoczeniu w nurcie wciąż pędzącego czasu – stwierdził w laudacji promotor prof. Zbigniew Chojnowski.

Dorobek Erwina Kruka nieprzeciętnie utalentowanego poety, pisarza, eseisty, publicysty, tłumacza, a jednocześnie wybitnego społecznika, jest wyjątkowo doniosły i znaczący ze względu na ludzki i etyczny ciężar podjętych tematów. Były i są one kluczowe nie tylko w kontekście powojennej historii Warmii i Mazur i przemian Polski, które nastąpiły począwszy od 1980 roku i trwają aż do dziś. Erwin Kruk od bez mała sześćdziesięciu lat pisze „pamiętnik artysty – / Ogryzmołony i w siebie pochylon – / Oblędny!... ależ – wielce rzeczywisty!”.

Erwin Kruk to wybitna postać Mazur, strażnik mazurskiego dziedzictwa, zasłużony dla kultury i życia społecznego regionu. Pięknie się stało, że olsztyńska Uczelnia, doceniła Autochtona, człowieka stąd – z mazurskiej ziemi, wszak podobno niełatwo być prorokiem we własnej ojczyźnie.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Relacja z uroczystości nadania doktoratu *honoris causa* w następnym numerze „Bez Wierszówki”.



Bronisław Wildstein – publicysta, dziennikarz, pisarz. W latach 1971-1980 studiował filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. W okresie studiów rozpoczął działalność opozycyjną. Współpracował z KOR. Był jednym z założycieli Studenckiego Komitetu. Współtworzył również Niezależne Zrzeszenie Studentów w Krakowie. Przez wiele lat dążył do ujawnienia kulis śmierci Stanisława Pyjasa. Był m. in. konsultantem filmu „Gry uliczne”, który był oparty na wydarzeniach związanych ze śmiercią Pyjasa.

Od 1980 roku przebywał we Francji; był między innymi redaktorem miesięcznika „Kontakt” i korespondentem Radia Wolna Europa. Po powrocie z emigracji, w 1989 roku został szefem publicznego Polskiego Radia Kraków. Na początku lat 90. współpracował z „Gazetą Wyborczą”. W latach 1994-1996 był sekretarzem redakcji „Życia Warszawy”, a następnie wraz z Tomaszem Wołkiem przeniósł się do dziennika „Życie”, gdzie do 1997 r. był jego zastępcą. Współpracował m. in. z tygodnikiem „Wprost”, był felietonistą miesięcznika „Nowe Państwo” i publicystą „Rzeczpospolitej”. Prowadził program „Bez autocenzury” w TV Puls.

Red. Wildstein jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Stowarzyszenia Wolnego Słowa; od kwietnia 2005 roku – Członek Honorowy Stowarzyszenia KoLibier. W maju 2006 roku jednogłośnie wybrany przez Radę Nadzorczą na prezesa zarządu TVP. Funkcję tę pełnił do lutego 2007 roku. W 2007 powrócił do redakcji „Rzeczpospolitej” w roli komentatora. Od 2008 roku w TVP był autorem i prowadzącym program „Cienie PRL-u”. W latach 2008-2010 prowadził w TVP1 program „Bronisław Wildstein przedstawia”. Od 2011 do listopada 2012 roku publikował w tygodniku „Uważam Rze”. Jest publicystą „Gazety Polskiej Codziennie”, a od listopada 2012 r. także tygodnika „wSieci”. Współpracuje także z Radiem Maryja i Telewizją Trwam. Od stycznia 2013 r. jest publicystą tygodnika „Do Rzeczy”. Pod koniec 2012 został redaktorem naczelnym Telewizji Republika. Objął stanowisko wiceprezesa zarządu Telewizji Niezależna S. A. Funkcję tę pełnił do roku 2014. W październiku 2015 r. został członkiem Narodowej Rady Rozwoju powołanej przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę. W styczniu br. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich przyznało mu Laur SDP.

Order Orła Białego dla dziennikarza

Z okazji Narodowego Święta Trzeciego Maja Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył odznaczenia państwowe osobom zasłużonym w służbie państwu i społeczeństwu. W ich gronie znalazł się także dziennikarz – Bronisław Wildstein.

Redaktor Wildstein odznaczony został Orderem Orła Białego w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej, za osiągnięcia w działalności publicznej i pracy dziennikarskiej.

Zwracając się do odznaczonego prezydent Andrzej Duda stwierdził: „Szanowny Panie Redaktorze, ale przede wszystkim – mogę to z całą mocą powiedzieć – człowieku niezłomny, wielki polski inteligencie. Ukazujący ten etos polskiej inteligencji przez wszystkie lata. Człowieku niezłomny, nieustraszony, od wczesnej młodości, od studiów, od studenckiej walki o niepodległą i prawdziwie suwerenną Polskę. O Polskę zasad, o możliwość podtrzymywania polskiej tradycji w przestrzeni publicznej. Oficjalnie, a nie tylko poprzez podziemie. I zawsze głosicieli własnych przekonań, bez strachu, bez chodzenia na moralne kompromisy i gotowości do służby dla Polski, pomimo wcześniejszych prześladowań, a potem zmasowanej i wściekłej

krytyki. Głosicieli prawdy i człowieku żądający prawdy i niezłomnie do nich dążący. Także prawdy o czasach PRL-u i o tym, jak zachowywali się wtedy ludzie i kim byli. Dziękuję za to i proszę o jeszcze”.

W gronie wyróżnionych tym najważniejszym polskim Orderem znaleźni się także: Irena Kirszenstein-Szewińska – za działalność na rzecz rozwoju i promowania kultury fizycznej i sportu oraz krzewienia idei olimpijskiej w Polsce i na świecie, Michał Aleksander Kleiber – za zasługi dla rozwoju polskiej nauki, za wybitne osiągnięcia w pracy publicznej i państwowej, Michał Lorenc – za wybitne osiągnięcia w pracy artystycznej i twórczej, Wanda Wiktoria Półtawska – za propagowanie wartości i znaczenia rodziny we współczesnym społeczeństwie, za chrześcijańskie świadectwo humanizmu i wkład w rozwój katolickiej nauki społecznej, Irena Zofia Romaszewska – za wybitne osiągnięcia w pracy publicznej i państwowej.



FOT. © GRZEGORZ JAKUBOWSKI / KPRP



FOT. © GRZEGORZ JAKUBOWSKI / KPRP

– Otrzymaliście dzisiaj Państwo najwyższe możliwe odznaczenie, przewidziane właśnie dla ludzi wybitnych. Jestem zaszczycony jako Prezydent Rzeczypospolitej, że mogłem je państwu wręczyć [...]. Ordery o wielkim znaczeniu dla Rzeczypospolitej [...], w który wpisana jest polska historia – zwrócił się do odznaczonych Andrzej Duda. – Niech te Orły Białe święcą na Państwa piersiach. Niech przynoszą sławę rzetelności, uczciwości, gotowości do służby. Niech żyje wolna, sprawiedliwa, niepodległa Polska, oparta na wartościach od 1050 lat.

ISB

Dlaczego Wildstein otrzymał Order Orła Białego?

Wielu osobom przyznanie Orderu Orła Białego Bronkowi Wildsteinowi wydało się kontrowersyjne. Mnie zaskoczyło, bo wobec miałości drogowskazów, jakie państwo stawiało przez ostatnie 27 lat, ten drogowskaz jest bardzo wyrazisty. Ale zupełnie nie zbulwersowało. Wręcz przeciwnie. Uważam przyznanie najwyższego polskiego odznaczenia Wildsteinowi za znakomitą decyzję.

Po co państwo przyznaje ordery? Po to, by docenić osobę i jej dokonania, to oczywiste. Ale też po to, by pokazać, co jest ważne, jakie wybory są ważne, jakie drogi życiowe, jakie zachowania i jakie postawy zasługują na wyróżnienie; jakie postawy, zachowania państwo chce promować. Ordery i odznaczone nimi postaci to drogowskazy, jakie stawia państwo.

Czy Wildstein jest drogowskazem? A jeśli tak, to jakim? Jego poglądy ewoluowały, ale pewna postawa wobec świata – nie. Kiedyś był liberałem, teraz stał się konserwatystą. Żył z pochodzenia, dziś mierzy się z katolicyzmem.

Od kiedy go poznałem, a stało się to w redakcji Życia Warszawy, bodajże w 1993

roku, Bronek jest właściwie taki sam: zawadiacki, szalony, bardzo niepokorny, twardy i principialny w kwestiach ważnych dla Polski. Zawsze niezależny w myśleniu i niezależny w działaniu. Nie liczący się z ryzykiem. Był na pewno tym, któremu naprawdę „nigdy nie było wszystko jedno”.

Niezależnie od tego, czy próbował dochodzić prawdy o swym zamordowanym przyjacielu Staszku Pyjasie; odkryć haniebną prawdę o innym swym przyjacielu – Lesławie Maleszce; zmieniać świat uczestnicząc w masonerii, którą później porzucił; czy kiedy walczył o lustrację, wynosząc z IPN słynną „listę Wildsteina”; czy kiedy pisał o braku dekomunizacji w 1994, czy o Tusku, w którego potencjał krótko wierzył po aferze Rywina; czy kiedy wspierał Kaczyńskiego, zmieniał TVP za rządów PiS; czy kiedy nie ugiął się pod naciskami tegoż Kaczyńskiego i wyleciał za to z tejże TVP – zawsze wynikało to z jego osobistego oglądu sytuacji i głębokich przekonań. Zawsze robił to po coś, zawsze był w coś zaangażowany.

Nigdy nie był letni. Jak kiedyś powiedział Darek Karłowicz na 50. urodzinach Bronka, Wildstein to „wild” – człowiek dziki i „stein” – twardy jak skała.

Dziki, nie podlegający żadnym naciskom, swobodny, wolny. Twardy – nigdy nie ulegał, za swoje wybory był potępiany, obrażany, odsuwany na margines. Wiele razy przez swą „dzikość” tracił pracę, niezależnie – czy o pozbawieniu go pracy decydował Grzegorz Gauden czy Jarosław Kaczyński. Ten drugi zresztą chyba zawsze go cenił i ceni do dziś.

Bo Bronek jest prawdziwym polskim patriotą; człowiekiem, który kocha życie i je smakuje, ale który wie, że ma wobec wspól-



noty obywateli. Wiedział to, kiedy jako dwudziestoparolatek

w 1977 roku tworzył w Krakowie SKS,

antykomunistyczny ruch

studencki, kiedy włączał się antykomunistyczną działalnością emigracyjną, kiedy walczył z nieprawościami w wolnej już Polsce.

Czy Bronkowi należy się order za to, jakim jest dziennikarzem czy pisarzem? Czy dziennikarz powinien za swoją działalność zawodową otrzymać order państwowy? Za pisanie książek przyznaje się inne nagrody. A za dziennikarstwo? Bronek nigdy nie był i nie jest klasycznym dziennikarzem. Miałem z tym problem, nawet kiedy stawałem w jego obronie i sam traciłem z tego powodu pracę. Dla Bronka – jak ja rozumiem – dziennikarstwo było i jest tylko narzędziem. Narzędziem do walki o sprawę. Bronek nie jest dla mnie dziennikarzem. Jest Bojownikiem przez duże „B”. Jest człowiekiem, któremu o coś w życiu chodzi, poza własną przyjemnością, która też nie przecież nigdy nie była mu obca.

Dlatego Bronisław Wildstein słusznie dostał Order Orła Białego. Za życiową postawę. Nawet, jeśli część czytelników tego tekstu nie zgadza się zwykle z Wildsteinem (do czego ma prawo), to warto – niezależnie od poglądów – szanować taką postawę. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach dominacji indywidualnych karier nad obowiązkami wobec wspólnoty.

Bronku – szacun. Zasłużyłeś na tę piękną blachę!

IGOR JANKE
salon24.pl

Zarząd Główny SDP

Żądanie wyjaśnień ws. inwigilacji dziennikarzy

12 maja 2016 roku rząd polski ujawnił w Sejmie RP Raport na temat ośmiu lat rządów poprzedniej ekipy – Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Z podanych publicznie informacji wynika, że w latach 2007-2015 polskie służby specjalne, podległe poprzedniemu rządowi, prowadziły wobec 52 dziennikarzy czynności operacyjno-rozpoznawcze (miedzy innymi podsłuchy telefoniczne, zbieranie informacji na tematy rodzinne) oraz inwigilowały internetowych komentatorów z portalu Salon24.

Inwigilacja dziennikarzy prowadzona przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Centralne Biuro Antykorupcyjne objęła przede wszystkim pracowników mediów niezależnych: prasy, radia i telewizji, a w szczególności dziennikarzy śledczych ujawniających afery gospodarcze z udziałem przedstawicieli władzy.

Zarząd Główny SDP domaga się: 1. Od obecnego Rządu RP, posiadającego większość w Sejmie – powołania specjalnej komisji śledczej do zbadania okoliczności

inwigilowania dziennikarzy, 2. Od organów wymiaru sprawiedliwości – wszczęcia śledztw i ukarania osób odpowiedzialnych za łamanie prawa.

Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich poinformuje europejską (EFJ) i międzynarodową organizację dziennikarską (IFJ) o faktach represjonowania polskich dziennikarzy i łamania praworządności w Polsce przez poprzedni rząd.

Zarząd Główny SDP
Warszawa, 2 czerwca 2016

Protest ws. Jacka Filusa z Polskiego Radia Katowice

Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich protestuje przeciwko zamiarowi zwolnienia z pracy zasłużonego dla wolnej Polski dziennikarza red. Jacka Filusa z Polskiego Radia Katowice, członka

SDP. Współzałożyciel NSZZ „Solidarność” w 1980 roku, został wyrzucony z pracy przez Komisję Weryfikacyjną w stanie wojennym. Przywrócono go do pracy dopiero po 1989 roku.

Redaktor Jacek Filus jest dziennikarzem powszechnie szanowanym na Śląsku za rzetelność i profesjonalizm.

Zarząd Główny SDP
Warszawa, 2 czerwca 2016

SDP wygrało proces z Juliuszem Braunem

Były prezes TVP Juliusz Braun przegrał ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich proces o ochronę dóbr osobistych za uchwałę z kwietnia ub. roku, w której SDP skrytykowała jego rządy i wezwała do dymisji. 31 maja Sąd Okręgowy w Warszawie oddalił pozew b. prezesa KRRiT.

Prezes Braun poczuł się urażony uchwałą nr 9 Nadzwyczajnego Zjazdu Delegatów SDP z 24-25 kwietnia 2015 roku

i pozwał SDP o naruszenie dóbr osobistych. Domagał się między innymi przeprosin i usunięcia spornej uchwały ze strony internetowej Stowarzyszenia.

Tekst uchwały brzmiał następująco: „Nadzwyczajny Zjazd Delegatów SDP wyraża opinię, że prezes TVP SA Juliusz Braun powinien podać się do dymisji. Spoczywa na nim odpowiedzialność za katastrofalną sytuację organizacyjną, finan-

sową i kadrową w zarządzanej przed niego firmie. Jest winien praktycznej likwidacji aktywności dziennikarskiej i kulturalnej TVP, upolitycznienia i nagminnego braku przestrzegania etyki i misji dziennikarskiej. Prezes Braun odpowiada także za doprowadzenie do upadku większości oddziałów telewizji publicznej”.

Wyrok nie jest prawomocny.

ISB, CMWP

Tomasz Szymborski – dyrektorem TVP3 Katowice



Tomasz Szymborski został dyrektorem katowickiego Oddziału Telewizji Polskiej S. A. Nominację z rąk prezesa Jacka Kurskiego odebrał 8 marca.

Nowy dyrektor pracował m. in. w „Gazecie Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”, „Trybunie Śląskiej”. Publikował także na łamach „Dziennika. Polska Europa Świat”, „Dziennika Zachodniego”. Współpracował z Radiem RMF FM, a przez półtora roku był pracownikiem katowickiego oddziału TVP: jako sekretarz programu (2010) i redaktor prowadzący. Ostatnio był publicystą

portal wPolityce.pl, prowadził też własną działalność jako dziennikarz freelancer. Był prezesem Oddziału Śląskiego SDP. We władzach SDP obecnej kadencji jest rzecznikiem dyscyplinarnym.

Szymborski znany jest w środowisku prasowym jako dziennikarz śledczy. W 2003 roku, jako dziennikarz „Rzeczpospolitej”, otrzymał Nagrodę Watergate w konkursie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za publikacje z zakresu dziennikarstwa śledczego. W środowisku znany jest również jako „tropiciel – tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa. To po jego publikacjach wiceprezes Katowickiego Holdingu Węglowego Krzysztof Mróz zmuszony był podać się do dymisji (sąd lustracyjny z początkiem marca uznał go za kłamcę lustracyjnego).

Zapytany o to co zamierza uczynić w TVP Katowice, Tomasz Szymborski odpowiedział krótko: „stawiam na ewolucję a nie na rewolucję”.

Oddział TVP Katowice jest największym ośrodkiem regionalnym telewizji publicznej. Powstał 3 grudnia 1957 roku. Wówczas to utworzono stację o nazwie Telewizja Katowice, nadano pierwszy program obejmujący zasięgiem południową i zachodnią część kraju (obecne województwo śląskie, znaczną część województwa opolskiego i małopolskiego, małą część województwa świętokrzyskiego, łódzkiego, wielkopolskiego i dolnośląskiego). 2 stycznia 2016 roku TVP Katowice, analogicznie do innych oddziałów TVP, zmieniła nazwę na TVP3 Katowice.

AS, BE / NETTG.PL

„Pamięć Jastrzębska” pamięta!

Trzeciego Maja w Sali Marmurowej Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach Stowarzyszenie „Pamięć Jastrzębska” zorganizowało kolejną konferencję z cyklu: „Pamięć Jastrzębska” pamięta i zapomnieć nie pozwoli.

Spotkanie było poświęcone 225. rocznicy uchwalenia Konstytucji Trzeciego Maja, a udział w nim wzięli zasłużeni działacze opozycji antykomunistycznej oraz reprezentanci środowisk i organizacji kultywujących historię naszego kraju. Konferencję prowadził Alojzy Pietrzyk – opozycjonista i działacz związkowy, poseł na Sejm I Kadencji, prezes Stowarzyszenia „Pamięć Jastrzębska”.

Głównym punktem uroczystości było wręczenie medali „Pro Patria” przyznanych przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Z rąk wojewody śląskiego Jarosława Wierczoka medale w uznaniu szczególnych zasług w kultywowaniu pamięci o walce o niepodległość Ojczyzny odebrali między innymi członkowie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich: ks. Ireneusz St. Bruski, Sonia Kwaśny, Zbigniew Rytel, Stefan Truszczyński i Krzysztof Skowroński.

Decyzją Konwentu Seniorów Stowarzyszenia „Pamięć Jastrzębska” tytułem „Człowieka Wolności i Niepodległości” uhonorowano multiinstrumentalistę Józefa Skrzeka za jego udział i zaangażowanie w walkę o wolną Rzeczpospolitą Polską i budowanie demokratycznej Ojczyzny.

Podczas Konferencji dyplomami „Człowieka Wolności i Niepodległości” uhonorowano Ewę Malik, Krzysztofa Skowrońskiego, ks. Ireneusza St. Bruskiego oraz Marię Nowak. Medale „Człowiek Wolności i Solidarności” za udział w wyzwoleniu Polski spod reżimu sowieckiego i komunistycznego otrzymali Jan Romański, Maciej Ratajczyk, Piotr Świerczewski, Zbigniew Rytel, Adam Gołuch oraz Janusz Grobelka.



FOT. © PAMIĘĆ JASTRZĘBSKA



Krzysztof Skowroński



Stefan Truszczyński



Zbigniew Rytel



Sonia Kwaśny

Ponadto Stowarzyszenie „Pamięć Jastrzębska” uhonorowało 17 opozycjonistów statusem działaczy antykomunistycznych i przyznało im honorowe odznaki „Za Zasługi dla Niepodległości 1956-1989”.

Honorowy patronat nad konferencją objął Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Natomiast patronat medialny – Śląska Telewizja Miejska.

GRZEGORZ MIKA / ŚTM

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



17 maja w Sali Kolumnowej Sejmu RP odbyło się wystuchanie publiczne poselskich projektów ustaw o mediach narodowych. Pod koniec kwietnia w sejmie odbyło się pierwsze czytanie trzech, przygotowanych przez Prawo i Sprawiedliwość, projektów ustaw – o mediach narodowych, o składce audiowizualnej oraz przepisy wprowadzające ustawę o mediach narodowych i ustawę o składce audiowizualnej. Wnioski o przeprowadzenie wystuchania publicznego złożyły trzy kluby: Prawa i Sprawiedliwości, Platformy Obywatelskiej oraz Nowoczesnej. Zgodnie z Regulaminem Sejmu, wystuchanie publiczne musi się odbyć po pierwszym czytaniu projektu, ale jeszcze przed przystąpieniem do jego rozpatrywania.

W posiedzeniu Komisji Kultury i Środków Przekazu uczestniczyli przedstawiciele różnych instytucji medialnych, twórców, organizacji pozarządowych i stowarzyszeń. W imieniu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich głos zabrali: prezes Krzysztof Skowroński i mec. Michał Jaszewski. Zaprezentowane stanowisko SDP wypracowała grupa robocza wyłoniona z Zarządu Głównego z uwzględnieniem uwag prawnych, przygotowanych przez mec. M. Jaszewskiego. W skład oficjalnej delegacji Stowarzyszenia oprócz ww. wchodził także red. Zbigniew Rytel, choć na sali członków SDP było wielu.

Wystuchanie publiczne w Sejmie w sprawie reformy mediów publicznych

Skrajne opinie padały podczas wystuchania publicznego dotyczącego tzw. dużej ustawy medialnej. Zdaniem jednych projekt zawiera niekonstytucyjne zapisy i robi z mediów publicznych łup jednej opcji. Inni oceniali, że nie idzie on dość daleko ws. dekomunizacji i roli wartości chrześcijańskich.

Na dużą ustawę medialną składają się trzy projekty ustaw autorstwa PiS: o mediach narodowych, o składce audiowizualnej oraz przepisy wprowadzające ustawę o mediach narodowych i ustawę o składce audiowizualnej (przewiduje wprowadzenie składki audiowizualnej w wysokości 15 zł miesięcznie, pobieranej z rachunkiem za prąd od 1 stycznia 2017 roku).

Opinie na temat projektów przedstawiły na specjalnym posiedzeniu Komisji Kultury i Środków Przekazu m. in. organizacje społeczne i dziennikarskie.

„Silne swoją misją”

Wiele uwag zgłosili sygnatariusze Obywatelskiego Paktu na Rzecz Mediów Publicznych, które – jak mówiła Beata Chmiel – od ponad 6 lat „walczy o niezależne i silne media publiczne”, ale – podkreślała – „silne swoją misją, a nie tylko finansowo i jako instytucja”. Według Chmiel projekt m. in. niewystarczająco podkreśla kwestię wsparcia twórców, upowszechniania kultury, a także kwestię wyrównywania szans edukacyjnych i kulturowych czy wspierania czytelnictwa.

Zbyt ogólne sformułowanie zadań i misji mediów publicznych krytykowali także np. przedstawiciele Obywateli Nauki.

Niektórzy mówcy negatywnie ocenili też sposób powoływania planowanej Rady Mediów Narodowych i dyrektorów nowych mediów. Jak uznali, oznacza to ich upolitycznienie.

– Wydaje mi się, że filozofią tej ustawy jest, żeby nowe media stały się łupem



FOT. © WOJCIECH PONORA / FACEBOOK

jednej opcji politycznej. To doprowadzi też do dramatycznych skutków: do tego, że zamiast być bazą, platformą, na której mogą spotykać się wszyscy, stanie się jeszcze jednym polem pogłębiającej się u nas zimnej wojny domowej. Nie jest to w interesie nikogo – mówiła reżyserka Agnieszka Holland.

Ominięcie konstytucji

Zdaniem Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka proponowane w projekcie ograniczenie kompetencji umocowanej konstytucyjnie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji poprzez powołanie Rady Mediów Narodowych „oznacza ominięcie konstytucji”.

Wątek ten podniósł także m. in. prezes Towarzystwa Dziennikarskiego Seweryn Blumsztajn, który również krytykował sposób powoływania Rady Mediów Narodowych.

– Oddanie jednego miejsca przedstawicielowi największej partii opozycyjnej eksponuje tylko partyjny, a nie społeczny charakter Rady Mediów Narodowych. Jeśli media narodowe mają być mediami państwowymi, nie ma powodu, by nie były finansowane bezpośrednio z budżetu. Składka czy opłata audiowizualna jest uzasadniona w przypadku instytucji publicznej, a więc należącej do innego porządku niż instytucje państwa – mówił.

Brakuje klauzuli sumienia

Z kolei według prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Krzysztofa Skowrońskiego w projekcie dużej ustawy medialnej brakuje klauzuli sumienia, na podstawie której dziennikarz mógłby odmówić szefowi wykonania polecenia. „Klauzula sumienia jest czymś bardzo ważnym, bo na podstawie klauzuli sumienia dziennikarz – czy to z lewej, czy to z prawej strony – może powiedzieć: «nie, nie mogę tego zrobić, dlatego że moje sumienie mi tego zabrania»”. – Takie przypadki w mediach publicznych są bardzo częste – podkreślił.

Jak dodał, wprowadzenie takiej klauzuli pociąga za sobą konieczność powołania komisji etyki. – Przy mediach publicznych musi być komisja etyki, w przypadku, kiedy dziennikarz powoła się na klauzulę sumienia i to zostanie podważone, żeby ktoś mógł rozstrzygnąć, kto w sporze ma rację – wyjaśniał.

Skowroński zaznaczył, że SDP od dawna mówiło o konieczności zmian w mediach. – Nie słyszałem [tutaj] żadnej opinii, która mówiła, że media publiczne rozwijały się prawidłowo – zauważył.

Sprawa składki audiowizualnej

Na inny aspekt proponowanych zmian zwracali uwagę przedstawiciele przedsiębiorców. Podnosili, że nowy sposób pobierania

składki audiowizualnej oznacza wielokrotne podwyższenie płaconej przez wiele firm składki. Przedstawicielka Poczty Polskiej podała np. że obecnie Poczta płaci około 300 tys. złotych rocznie z tytułu abonamentu radiowo-telewizyjnego, a po zmianach roczna opłata z tytułu składki audiowizualnej wyniesie dla niej około 1 mln złotych rocznie.

„Dekomunizacja” mediów

Podczas wysłuchania wielokrotnie padała także opinia, że projekt nie idzie dość daleko, jeśli chodzi o „dekomunizację” mediów.

– Ustawa jest niezwykle potrzebna, bardzo potrzebna. Podstawowy dla mnie jej wymiar to zdekomunizowanie Telewizji Polskiej. Zdekomunizowanie, ale także uwolnienie od sitw Telewizji Polskiej. To jest potworny garb – garb, z którym nikt sobie dotychczas nie poradził – mówiła szefowa stowarzyszenia Solidarni 2010 red. Ewa Stankiewicz.

– Niestety z przykrością muszę powiedzieć [...], że temu projektowi na początku utracono kręgosłup. Otóż [...] z projektu ustawy został usunięty zapis mówiący o tym, iż wszyscy pracownicy mediów publicznych tracą pracę z dniem 30 września 2016 roku – dodała.

Kultywowanie wartości chrześcijańskich

Szefowa Solidarnych 2010 zaproponowała wpisanie do misji publicznej me-

diów narodowych „kultywowanie wartości chrześcijańskich”. Według niej „dla potomków osób Pełniących Obowiązek Polaka” może być trudne do przyjęcia, że Polska jest krajem chrześcijańskim i katolickim. – Sprzeciwiam się, by te wartości były jedynie respektowane w jakimś dalszym punkcie tej ustawy – dodała.

Po słowach Stankiewicz głos zabrała posłanka PO Iwona Śledzińska-Katarasińska, wyrażając nadzieję, iż „było to ostatnie takie wystąpienie”. – Nie chciałabym w polskim Sejmie słyszeć, że ktoś „Pełni Obowiązek Polaka” – powiedziała posłanka.

– To jest cenzura – odparła Stankiewicz. Między posłami PiS i opozycji doszło do wymiany zdań o wypowiedź Stankiewicz, a z sali padł okrzyk: „Wolność słowa nie zakłada antysemityzmu”.

Przewodniczący KRRiT Jan Dworak zaznaczył, że „wolność słowa zna granice – tą granicą jest właśnie nienawiść”. – Szczególnym przypadkiem jest antysemityzm. Na to z mojej strony osobiście, ani Krajowej Rady nigdy nie będzie zgody – podkreślił.

Stankiewicz zaprotestowała przeciwko takiej ocenie. – To jest wyjątkowo podle. [...] Bardzo pana proszę, zwracam się do Jana Dworaka, żeby zaprzestać mowy nienawiści i zaprzestać kłamstwa. Stał pan na straży kłamstwa jako przewodniczący KRRiT i cenzury tyle lat i tyle lat niszczył pan wolność słowa w Polsce. A w tej chwili dopuścił się

pan czegoś niezwykle podłego – zarzucając mi coś, na co się bardzo oburzam – mówiła.

– Nigdy w swoim życiu nie dałam żadnego powodu do tego, żeby być posądzoną o jakąkolwiek dyskryminację z powodu czy to rasy, czy to pochodzenia. Jeśli już, to tylko i wyłącznie z powodu zachowania – podkreśliła.

Zmiany do projektu

Pełnomocnik rządu ds. reformy mediów, wiceminister kultury, Krzysztof Czaubański poinformował, że w trakcie prac chciałby wprowadzić do projektu pewne zmiany, m. in. wydłużyć kadencję szefów mediów publicznych z dwóch do trzech lat, obniżyć składkę audiowizualną z 15 do 11-12 złotych, wycofać zapis o wygaszaniu kontraktów kadry kierowniczej.

Zapowiedział także „wzmocnienie” instytucji konkursów na szefów mediów publicznych. Jak dodał, kryteria konkursów, zamiast w ustawie, powinny być zapisane w statutach poszczególnych instytucji, gdyż różnią się one między sobą i „kryteria przeprowadzanych w nich konkursów muszą być dostosowane do ich specyfiki”.

Według zapowiedzi przewodniczącej Komisji Kultury Elżbiety Kruk z PiS nad projektami dotyczącymi tzw. dużej ustawy medialnej rozpocznie teraz prace specjalna podkomisja.

MR / IAR, PAP

Ewa Stankiewicz wzywa Jana Dworaka do publicznych przeprosin

Podczas wysłuchania publicznego w sejmie głos zabrała red. Ewa Stankiewicz (Solidarni 2010). W trakcie jej wypowiedzi, a także bezpośrednio po niej, nastąpiło szereg ostrych wypowiedzi krytycznych, m. in. obecnego w charakterze słuchacza prezesa KRRiTV – Jana Dworaka, które redaktor odebrała jako pomówienie. Poniżej zamieszczamy apel red. Stankiewicz.

Wzywam Jana Dworaka do publicznych przeprosin, za krzywdzące i niczym nie uzasadnione pomówienie, którego się dopuścił wobec mnie. W przeciwnym razie rozważam wejście na drogę sądową.

Przyszłam do sejmu rozmawiać o wolności słowa i o tym, jak ją zagwarantować w mediach. Na sali spotkałam się z próbą zamknięcia ust, a na końcu z posądzaniem o mowę nienawiści i antysemityzm! I to przez osobę, która z Urzędu jako szef KRRiTV kreuje standardy rzetelności oraz swobody wypowiedzi.

Wczoraj podczas wysłuchania w sejmie na temat projektu ustawy o mediach narodowych postulowałam potrzebę dekomunizacji TVP oraz włączenie wartości chrześcijańskich do misji mediów narodowych.

Następnie odniosłam się do terminu historycznego określającego grupę około 100 tys. osób, które w latach II wojny światowej i tuż po niej przeszły kurs języka polskiego na terenie Rosji Sowieckiej, a potem zostały wysłane do Polski, by zaprowadzać obcy kulturowo komunizm. Osoby te przez władze sowieckie oficjalnie były nazywane „Pełniący Obowiązek Polaka” (POP).

Podczas wysłuchania w sejmie powiedziałam że Polska jest krajem chrześcijańskim i katolickim, choć być może potomkom „Pełniących Obowiązek Polaka” może się to nie podobać. W tym miejscu, znając luki systemu edukacyjnego w Polsce, zaznaczyłam wyrażenie, że termin którego używam jest terminem historycznym. Wypowiedź moją można łatwo odtworzyć, nagrania są dostępne w Internecie.

Nieoczekiwanie Jan Dworak zaczął oskarżać mnie nagle o „mowę nienawiści” i o „antysemityzm”, a w ślad za nim oskarżenia te powtórzyły niektóre kontrowersyjne media.

Jest wielkim paradoksem, że o historii POP-ów dowiedziałam się od kompletnie niepoprawnego politycznie syna komunistów o żydowskich i polskich korzeniach. Pomimo, że jego rodzice zaprowadzali w Polsce siłą zbrodniczy reżim, a matka była agentką sowieckiego wywiadu – on sam wyrósł na bardzo porządnego człowieka, a do tego wielkiego patriotę, od którego miłości do Polski wielu mogło by się uczyć.

Wierność faktom, niezależność myślenia, uczciwość i swoboda wypowiedzi, a także poczucie wartości wynikające z własnej postawy to atrybuty charakteru i zachowania. Żle się dzieje gdy niedostatek tych przymiotów rekompensuje się ciosami poniżej pasa i nieuczciwymi faulami.

EWA STANKIEWICZ
Warszawa, 22 maja 2016

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP



Stanowisko ws. pozwu przeciwko redakcji „Wieści prosto z Gór”

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP wyraża dezaprobatę w związku z wytoczeniem przez Gminę Mszana Dolna procesu cywilnego przeciwko red. Jackowi Piaseckiemu – redaktorowi naczelnemu portalu „Wieści Prosto z Gór” (sprawa zawisła przed Sądem Okręgowym w Nowym Sączu – I Wydział Cywilny, sygn. akt IC 268/16).

Przedmiotem sprawy sądowej jest ochrona dóbr osobistych Gminy Mszana Dolna. Decyzję o jej wytoczeniu podjął Wójt Gminy – Bolesław Żaba. Gmina domaga się m. in. zobowiązania pozwanego do opublikowania przeproszenia oraz do zapłaty 10 tys. złotych na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża.

Zarówno na gruncie prawa krajowego, jak i międzynarodowego, wolność słowa i prasy ma charakter podstawowy. Chociaż

każdemu przysługuje prawo do poszukiwania obrony jego interesu prawnego na drodze procesu cywilnego (dotyczy to w szczególności sfery dóbr osobistych), formułowanie roszczeń wobec dziennikarzy z powodu wyrażonej przez nich krytyki działalności instytucji lokalnych w istocie zagraża prawom człowieka i obywatela. Opisane wyżej działanie w praktyce przyczynia się do ograniczenia wolności słowa w Polsce, powoduje bowiem tzw. efekt mrozący: zniechęca dziennikarzy do podejmowania tematów niewygodnych dla lokalnej władzy.

Szczególnie niebezpieczne jest, pośrednio wynikające z pozwu, przeniesienie na gminę krytyki skierowanej przeciwko instytucjom gminnym tzn. uznanie, że stanowi to naruszenie dóbr osobistych gminy

jako takiej. Przyjęcie takiego założenia jest nie tylko prawnie, ale i aksjologicznie wadliwe, bowiem dobra osobiste gminy nie stanowią tego samego podmiotu ochrony, co dobra osobiste osób nią zarządzających lub kierujących jej instytucjami.

W związku z powyższym, nie przesądzając wyniku sprawy (który zależy od orzeczenia sądu), CMWP stoi na stanowisku, że zaistniała sytuacja jest wysoce niepokojąca. Wydaje się, że do sądu orzekającego należy m. in. szczególnie rozważna ocena kwestii działania dziennikarzy w obrobie społecznie uzasadnionego interesu, jak również ich prawa do krytyki działań władzy lokalnej, jako istotnych przesłanek mających wpływ na wynik postępowania.

Wiktor Świetlik, dyrektor CMWP SDP

Warszawa, 16 kwietnia 2016

List do Prezydenta RP ws. ułaskawienia Tomasza Wróblewskiego

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP przychyli się do wniosku obrońcy, złożonego w imieniu red. Tomasza Wróblewskiego o ułaskawienie, w związku z wyrokami Sądu Rejonowego dla Warszawy Woli w Warszawie V Wydział Karny z dnia 13 października 2015 roku (sygn. akt V K 325/13) oraz Sądu Okręgowego w Warszawie IX Wydział Karny-Odwoławczy z dnia 6 kwietnia 2016 roku (sygn. akt IX Ka 116/14), na mocy których dziennikarz został prawomocnie skazany na podstawie art. 212 k.k.

Wyżej wymieniony, jako redaktor naczelny opublikował w maju 2010 roku na łamach „Dziennika Gazety Prawnej” i na portalach: www.gazetaprawna.pl oraz www.dziennik.pl, artykuł prasowy pt. „Prywatyzacja może uzdrowić Ruch”, w którym wraz z dziennikarzem Michałem Furą poddał krytyce działalność spółki Garmond Press S. A.

Z powodu powyższej publikacji został skazany powołanymi na wstępie wyrokami sądów karnych. Przy czym Sąd Okręgowy wymierzył dziennikarzowi karę grzywny w wymiarze 200 stawek dziennych, ustalając stawkę dzienną na 100 złotych (łącznie 20 tys. złotych).

W związku z powyższym CMWP SDP pragnie podkreślić, że zarówno na gruncie prawa krajowego, jak i międzynarodowego, wolność słowa i prasy stanowią podstawowe swobody i wartości, do których ochrony obowiązane są wszystkie organy państwowe. Wyroki obu sądów budzą poważne wątpliwości w kontekście międzynarodowych standardów wolności słowa, w tym orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. CMWP SDP sprzeciwia się skazywaniu dziennikarzy wyrokami karnymi za słowo. Należy zaznaczyć, że sąd wymierzył dziennikarzowi wysoką grzywnę,

bardzo dla niego dolegliwą. Sytuacja, w której sądy uznają dobra osobiste prywatnych spółek prawa handlowego za ważniejsze, niż wolność słowa i swobodna debata, stanowi zagrożenie dla swobód konstytucyjnych i przyczynia się do ograniczania wolności słowa w Polsce. Nie sposób uznać, by wskazane wyżej orzeczenia miały się przyczynić do wzmocnienia demokratycznego państwa prawnego czy społeczeństwa obywatelskiego, mimo iż przedstawiciele sądownictwa w publicznych wypowiedziach deklarują przywiązanie do tych wartości.

W zaistniałej sytuacji złożony w imieniu red. Tomasza Wróblewskiego wniosek o skorzystanie z prawa łaski jest w pełni zasadny. Tym samym CMWP SDP uprzejmie prosi Pana Prezydenta o przychylenie się do wniosku o ułaskawienie.

Wiktor Świetlik, dyrektor CMWP SDP

Warszawa, 20 maja 2016

Stanowisko ws. listu sędziów do Ministra Sprawiedliwości

Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP wyraża kategorię sprzeciw wobec działań części środowiska sędziowskiego, mających charakter jednoznacznej próby nacisku na władzę wykonawczą, w dodatku w celu wywołania aktywności wymierzonej w wolność słowa. Za taki uważamy domaganie się od Ministra Sprawiedliwości „reakcji”

na niepoehlebne informacje publikowane w prasie na temat poszczególnych sędziów.

Wydaje się, że nikt inny nie powinien lepiej rozumieć sensu zasady trójpodziału władzy, jak funkcjonariusze publiczni, wydający wyroki w imieniu państwa, zobowiązani do przestrzegania zasad niezawisłości i bezstronności. Podobnie,

powinni oni znać i rozumieć podstawowe regulacje związane z ochroną wolności słowa.

Równocześnie zwracamy uwagę innym sędziom, że tego rodzaju nieodpowiedzialne i nieuprawnione akty, mogą rzutować na opinię o całym środowisku.

Wiktor Świetlik, dyrektor CMWP SDP

Warszawa, 31 maja 2016

Nagrody Dziennikarskie Wielkopolskiego Oddziału SDP

19 maja w Pałacu Działyńskich w Poznaniu wręczono po raz jedenasty Nagrody Dziennikarskie Wielkopolskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Nagrodę Główną otrzymał Piotr Świątkowski z Radia „Merkury. Polskie Radio”, autor reportażu o obozie jenieckim w Ostrzeszowie pt. „Miasto za drutami” za świetne uchwycenie relacji między przeszłością a teraźniejszością.

Nagrodę Virtuti Civili – Dorota Tomaszewska z „Wiadomości Wrzesińskich” za odwagę w dociekaniu prawdy i traktowanie dziennikarstwa jako służby na rzecz zapewnienia transparentności działania władzy lokalnej.

Nagrodę Wojciecha Dolaty – Stanisław Zasada za reportaże opublikowane w „Gazecie Wyborczej”: „Dokta od trądu”, „Zagraża państwu, w jego spokój godzi”, „Bo Chrystus jest zbyt dobry”.

Nagrodę dla Młodych Dziennikarzy – Karolina Staszak z miesięcznika „Arteon”



Laureat Nagrody Główniej – red. Piotr Świątkowski z Radia „Merkury”

FOT. © ANNA ADAMCZYK / RADIO „MERKURY”

autorka artykułu pt. „Prawo do bezprawia” – za odważne i bezkompromisowe przywracanie realnych wartości w sztuce”.

Ponadto jury pod przewodnictwem prof. Wiesława Ratajczaka uznało, że dwie nadesłane prace: książka *Sprawa Ziętarek. Zbrodnia i klęska państwa* autorstwa Krzysztofa M. Kaźmierczaka i Piotra Talagi oraz dzienniki stanu wojennego Barbary Kęcińskiej-Lempki pt. *Kiedy stanęły zegary* – wykraczają wprawdzie poza zakres objęty regulaminem Konkursu gatunków dziennikarskich, ale zasługują na wyróżnienie Nagrodą Specjalną.

Na tegoroczny Konkurs Dziennikarski Wielkopolskiego Oddziału SDP nadesłano kilkadziesiąt prac opublikowanych w 2015 roku m. in. w „Gazecie Wyborczej”, „Wielkopolskim Kurierze Wnet”, magazynie o sztuce „Arteon”, „Wiadomościach Wrzesińskich”, „Przeglądzie Nowomyskim”, „Przewodniku Katolickim”, a także na portalach internetowych oraz nadanych w Radiu „Merkury” i w Wielkopolskiej Telewizji Kablowej.

Tadeusz Owczarak-Gran, sekretarz Konkursu

Członek Honorowy SDP – laureatem Poznańskiej Nagrody Literackiej

5 maja, w Collegium Minus Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, po raz drugi wręczono Poznańską Nagrodę Literacką ufundowaną przez Prezydenta Poznania i Rektora UAM.

Nagrodę im. Adama Mickiewicza w wysokości 60 tys. złotych otrzymał Erwin Kruk – literat, poeta i dziennikarz. – To pisarz bardzo dobrze znany niektórym czytelnikom, a zupełnie nieznany większości. Wielki twórca, któremu z pewnością należy się więcej uwagi – podkreślał prof. Piotr Śliwiński, przewodniczący jury.

Odbierający Nagrodę w imieniu Erwina Kruka, który ze względów zdrowotnych nie mógł przybyć do Poznania, prof. Zbigniew Chojnowski podkreślił: „Laureat jest pisarzem, a przede wszystkim poetą, który trochę nie pasuje do naszych czasów – krzykliwych, zabieganych, goniących za wizerunkiem, za uznaniem. Po dziesięciu latach przerwy wydał tomik *Nieobecność*. Poprzedni nazywał się *Znikanie*. Te dwa słowa określają stan kultury mazurskiej, z którą się Erwin Kruk identyfikuje”.

– To, że otrzymał tę nagrodę, jest przypomnieniem, że prawdziwe wartości powstają w każdym miejscu, gdzie człowiek pracuje. Nad słowem, nad swoim życiem, nad dobrymi relacjami z innymi ludźmi – dodał prof. Chojnowski.

Natomiast Nagrodę-Stypendium im. Stanisława Barańczaka w wysokości



Magdalena Kicińska – laureatka Nagrody im. Stanisława Barańczaka

FOT. © URZĄD MIASTA POZNANIA



W imieniu Erwina Kruka Nagrodę odbiera prof. Zbigniew Chojnowski

FOT. © URZĄD MIASTA POZNANIA

40 tys. złotych zdobyła pisarka Magdalena Kicińska, autorka książki *Pani Stefa*, która opowiada historię życia Stefanii Wilczyń-

skiej – wychowawczyni i pedagog, bliskiej współpracownicy Janusza Korczaka.

ISB, GW

SDP Katowice Nadzwyczajne Walne Zebranie Członków Oddziału Śląskiego

22 kwietnia i 12 maja odbyło się Nadzwyczajne Walne Zebranie SDP w Katowicach. W ramach obrad Zarząd przedstawił sprawozdanie z pierwszego roku swojej działalności. Poinformowano o zrealizowanych zadaniach, a także przedstawiono opinie prawne na temat działań związanych z uregulowaniem spraw finansowych i podatkowych Oddziału

oraz przyjęto plan naprawczy. Zatwierdzono również sprawozdania finansowe Oddziału za lata 2009-2015.

Zarząd Oddziału katowickiego przypomina o terminowym regulowaniu składek członkowskich. Zaległe składki można opłacić przelewem na rachunek Oddziału SDP: nr konta 54 1050 1214 1000 0007 0292

4283 (SDP Oddział Katowice, ING Bank Śląski, 40-951 Katowice, ul. Mickiewicza 3). Aktualna wysokość miesięcznej składki w 2016 roku: 6 zł od pracujących, 3 zł od emerytów, rencistów i studentów. Osoby, które przez kilka lat nie opłacały regularnie składek wpłacają dodatkowo opłatę w wysokości 100 złotych. **Grzegorz Żmuda**

SDP Olsztyn

Nadzwyczajne Walne Zebranie Członków Oddziału

Zebranie członków olsztyńskiego SDP, którego celem było zatwierdzenie sprawozdania finansowego za rok 2015 i przyjęcie planu pracy Oddziału w 2016 roku, odbyło się 23 marca.

Zebranie poprzedziło posiedzenie Zarządu Oddziału z udziałem księgowej i Komisji Rewizyjnej, którego celem było przedłożenie do kontroli Komisji Rewizyjnej sprawozdania finansowego wraz z całą dokumentacją finansową, jakie odbyło się 21 marca w siedzibie Biura Księgowego „Biznes-Partner”.

Podczas Walnego Zebrania przyjęto sprawozdanie prezesa Oddziału oraz wysłuchano pozytywnej oceny działań Zarządu przez Komisję Rewizyjną przedstawionej przez jej przewodniczącego – Krzysztofa Berenta.

Ponadto jednogłośnie zatwierdzono za prezentowany przez prezesa Ireneusza St. Bruskiego plan pracy i preliminarz Oddziału w bieżącym roku.

22. zebranie Zarządu Oddziału kadencji 2013-2016

23 marca w sali konferencyjnej olsztyńskiego „Civitas Christiana” odbyło się otwarte posiedzenie Zarządu Oddziału. Na podstawie przyjętego przez Nadzwyczajne Walne Zebranie planu pracy Zarządu i Oddziału, zatwierdzono terminarz działań do października br., kiedy to dobiega końca kadencja obecnego Zarządu. Przewodniczący Komisji Rewizyjnej Oddziału przekazał Uchwałę o powołaniu nowego członka Komisji Rewizyjnej; w miejsce powstałego wakatu, z listy uzupełniającej, wszedł red.

Andrzej Zb. Brzozowski. Ponadto podjęto uchwały o przywróceniu członkostwa SDP red. Przemysławowi Kaperzyńskiemu oraz na mocy § 19 ust. 3 Statutu SDP z listy członków Stowarzyszenia skreślono dziennikarzy Jacka Panasa i Adriana Zacharewicza. Obecnie Oddział liczy 54 członków oraz 6 kandydatów.

Terminy kolejnych spotkań: 8 czerwca (otwarte posiedzenie Zarządu), 30 czerwca – przedwakacyjne spotkanie dziennikarzy wraz z rodzinami przy ognisku, wrzesień – wyjazdowe spotkanie dziennikarzy SDP w Krynicy Morskiej, 27 października – Walne Zebranie Członków Warmińsko-Mazurskiego Oddziału (sala konferencyjna „Civitas Christiana”, ul. Prosta, godz. 16.30).

Zbigniew Piszczako
sekretarz Zarządu Oddziału

SDP Wrocław Nowe władze Oddziału Dolnośląskiego

W Oddziale Dolnośląskim SDP po marcowym (31 III) zebraniu sprawozdawczo-wyborczym zaszły duże zmiany. Dotychczasowy prezes Tomasz Orlicz, który pełnił tę funkcję przez kilka ostatnich kadencji, oraz pozostali członkowie Zarządu (oprócz Zbyszka Zawady) postanowili nie kandydować obecnie do władz Oddziału.

Z dwójga zgłoszonych kandydatów na prezesa (Monika Karaźniewicz i Adam Maksymowicz, związany z „Gazetą Obywatelską” Kornela Morawieckiego) zdecydowanie więcej głosów otrzymała Monika Karaźniewicz. Jej zastępcą został kontrkandydat Adam Maksymowicz, sekretarzem Anna Piwowarska-Nasz, skarbnikiem Anna

Fastnacht-Stupnicka, członkiem Zarządu Zbigniew Zawada. Funkcję przewodniczącej Komisji Rewizyjnej objęła Alina Dopart. Jednym z zamierzeń nowo wybranych władz Oddziału jest podjęcie działań konsolidujących środowisko dolnośląskich dziennikarzy.

Anna Fastnacht-Stupnicka

SDP Warszawa Przeciwno emisji „Operacja Pontifex. Tajne akta Watykanu”

Zarząd Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich stanowczo protestuje przeciwko emisji 16 maja br. w programie 2 TVP filmu „Operacja Pontifex. Tajne akta Watykanu”. Film przedstawia zmanipulowany obraz stonków panujących w Watykanie podczas pontyfikatu papieża Jana Pawła II.

Kościół katolicki m. in. za pomocą wypowiedzi pana Tomasza Turowskiego został przedstawiony jako „największa na świecie organizacja szpiegowska, która przez sieć kapłanów parafialnych zbiera informacje od powierzonych im wierznych i przekazuje je poprzez biskupów

i nuncjuszy apostolskich do Watykanu”. „Takich kapitalnych informacji politycznych, społecznych i ekonomicznych – nie posiada żadne państwo na świecie” – mówi w filmie Turowski.

Autorzy filmu zestawili enuncjacje komunistycznego szpiega z wypowiedziami księdza kardynała Stanisława Dziwisza. Należy zakładać, że Jego Eminencja nie miał pojęcia o tej manipulacji.

Uważamy, że emisja filmu stanowiła prowokację, dodatkowo nasuwają się pytania o cel tej manipulacji.

Prezentując ten film bez komentarza Telewizja Polska stała się narzędziem walki

z Kościołem, została również wykorzystana do promocji jednego z najbardziej niebezpiecznych agentów komunistycznych służb podległych Moskwie.

Domagamy się ujawnienia: 1. Kwot wydanych na zakup tego filmu z pieniędzy polskich podatników; 2. Podania do wiadomości nazwisk osób odpowiedzialnych za ten skandal; 3. Informacji dotyczących konsekwencji, jakie zostały wyciągnięte wobec winowajców.

Zarząd OW SDP w składzie:
Elżbieta Królikowska-Avis, Elżbieta Ruman
Piotr Jegliński, Aleksander Wierzejski
Warszawa, 23 maja 2016

Jedwabne: odrzucić poczucie winy

Maj na Foksal rozpoczął się 5 maja silnym akcentem: polską prapremierą filmu dokumentalnego Elżbiety i Wacława Kujbidów: „Jedwabne – Naoczni świadkowie – Spisane świadectwa – Pominięte fakty”.

„Ten film jest niezwykle zdarzeniem, wyłomem w milczeniu o tym, co Jan Tomasz Gross nakłamał o pogromie w Jedwabnem, czyniąc krzywdę polskiemu społeczeństwu” – ocenia dziennikarz Janusz Pichlak.

„Film jest cenny, bo porządkuje wiedzę. Ale przede wszystkim pada w nim fundamentalne zdanie dwóch żydowskich świadków, którzy wydali w Stanach Zjednoczonych książki: *Niemcy zamordowali Żydów w Jedwabnem*. To jest przytłaczające świadectwo tego, co tam się zdarzyło” – uważa Krzysztof Skowroński, prezes SDP.

„Twórcy filmu przestudiowali podręczniki anglojęzyczne, spisujące relacje świadków żydowskiego pochodzenia. Poruszają się swobodnie po mapie miejsc zbrodni. Przypominają tło, okoliczności, mechanizmy i zdejmują z nas, Polaków, ciężar zarzutów, że jesteśmy skłonni do manipulowania w opisie tych wydarzeń. Osadzenie w historycznym kontekście bardzo uwiarygadnia i tłumaczy postawę Polaków” – mówi Arkadiusz Gołębiowski, reżyser m. in. „Historii Kowalskich”, filmu dokumentalnego o dramatycznych konsekwencjach, jakie ponosiły polskie rodziny ratujące Żydów przed zagładą z rąk niemieckich.

Film Elżbiety i Wacława Kujbidów: „Jedwabne – Naoczni świadkowie – Spisane świadectwa – Pominięte fakty” pokazuje historyczny kontekst wydarzeń w Jedwabnem z perspektywy naocznych świadków i bogatych, zaskakujących odkryć, nieznanych dotychczas faktów, detali i szczegółów, mających fundamentalne znaczenie przy dochodzeniu do prawdy o tej zbrodni. Autorzy odwiedzili tragiczne miejsca wraz ze świadkiem, do którego dotarli jesienią 2013 roku.

Zdaniem Arkadiusza Gołębiowskiego jedną z największych wartości dokumentu



FOT. © RENEUSZ ST. BRUSKI

jest wiarygodność: „Reporter oprowadza nas za rękę po miejscach dramatu i opowiada, jak wyglądała machina zbrodni. Autorzy pokazują złożoność historycznych wydarzeń, okupację sowiecką, niemiecką. Suche fakty. Nie są nachalni, wręcz przeciwnie: ostrożni i wyważeni w osądach, a ich świadkowie są na wagę złota”.

Krzysztofa Skowrońskiego najbardziej zaskoczył kontekst historycznych wydarzeń: „Nie zdawałem sobie sprawy, że kolejne wsie były pacyfikowane. Ciekawa jest też historia zmian, dokonywanych na pomnikach. Historia pisana dyskretnie. Najpierw napisy wskazują na Niemców, gestapo, potem na nieznanych zabójców, wreszcie na sąsiadów. Jest też w tym filmie odwaga pokazania, jak ludność żydowska zachowywała się między 1939 a 1941 rokiem. O tym, jak do aparatu represji na ziemiach okupowanych szli masowo Żydzi. Żołnierze radzieckich po pakcie Ribbentrop-Mołotow witali jak wyzwolicieli, a nie okupantów, bo byli rosyjskimi Żydami i język rosyjski znali lepiej, aniżeli polski. O tym się często zapomina, a to jest ważne, żeby zrozumieć bierność ludności polskiej w Jedwabnem. To była bierność wobec tych, którzy byli w aparacie przemocy”.

Janusz Pichlak podkreśla, że film ten jest ważny w sferze odwagi mówienia o polskich

sprawach: o konieczności bronięcia polskiej racji stanu, prawdy historycznej. „Nie uprawiamy dobrej polityki historycznej, inne narody robią to znacznie lepiej – mówi Pichlak. – W opinii mediów głównego nurtu, nie wiedzieć czemu, Polacy mają opinię antysemitów. Nawet, jeśli Polacy nie lubili Żydów to nie jest jeszcze powód, aby nazywać ich antysemitami. Żydzi też nie lubili Polaków, ale Polacy nie mówią o nich polonofoby. Najwyższy czas, aby zrewidować kłamstwa Grossa. To zresztą nie jest żaden historyk, tylko – jak powiada Stanisław Michalkiewicz – bajkopisarz”.

Obraz Elżbiety i Wacława Kujbidów jest według Janusza Pichlaka ważny jeszcze z innego powodu: „Musimy wreszcie zacząć mówić o polskich sprawach polskim głosem, ale w kategoriach polskiego interesu. Jeśli jest prawda, że Polacy mieli w Jedwabnem swój bierny udział, rozliczmy to i zakończmy temat. Ale nie może to być pretekstem do tego, aby nękać polskie społeczeństwo, upokarzać je, stwarzać sytuację ciągłego poddaństwa, psychicznej bezradności. Polacy powinni zrzucić z siebie poczucie winy”.

Autorzy filmu Elżbieta i Wacław Kujbidowie mieszkają w Kanadzie. Od maja 2012 roku prowadzą internetową, niezależną telewizję patriotyczną TV Niezależna Polonia. Wacław Kujbida w latach 1976-1977 był współautorem scenariusza „Spotkań z Balladą” oraz słuchowisk i radiowych audycji satyrycznych. Pisał też teksty kabaretowe i teksty piosenek, był korespondentem Polskiej Sekcji Radio Canada International. Współpracował i publikował w nowojorskim „Nowym Dzienniku”, wychodzącym w Toronto „Głosie Polskim” i w „Związku” w Polsce publikuje w miesięczniku „WPiS”, w „Sieci. Historia” i od czasu do czasu w „Gazecie Polskiej”. Jest członkiem Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy.

BŁAŻEJ TORAŃSKI



FOT. © RENEUSZ ST. BRUSKI

Cyberbezpieczeństwo i wolność słowa

Jak skutecznie zapewnić bezpieczeństwo w przestrzeni internetowej infrastruktury krytycznej kraju i instytucjom finansowym, a z drugiej strony nie rezygnować z podstawowych praw jednostki?

Na takie pytanie starali się odpowiedzieć eksperci ds. bezpieczeństwa, dziennikarze, przedstawiciele organizacji pozarządowych oraz instytucji publicznych, którzy wzięli udział w konferencji pt. „Bezpieczeństwo i wolność słowa w cyberprzestrzeni” w ramach imprez SDP – „Maj na Foksal”.

Konferencja składała się ona z dwóch paneli tematycznych:

I. Bezpieczeństwo

Pierwszy z nich dotyczył kwestii bezpieczeństwa. Zdaniem Piotra Trąbińskiego – dyrektora Departamentu Santander Universidades, niezwykle istotne w tym zakresie jest spojrzenie strategiczne oraz ścisła współpraca między instytucjami publicznymi a podmiotami prywatnymi – komercyjnymi, takimi jak banki. Zwrócił on także uwagę na problem systemowy, jakim jest brak na rynku specjalistów od walki z cyberprzestępczością (nie ma pomysłu na ich kształcenie, niskie wynagrodzenia). Z kolei przestępców ma zachęcać do przenoszenia się do sieci brak międzynarodowych unormowań prawnych, który pozwoliłyby skutecznie zwalczać cyberprzestępczość.

Przedstawiciel Biura Bezpieczeństwa Narodowego – Paweł Wiszniewski, zaznaczył, że problem cyberbezpieczeństwa jest bardzo poważnie traktowany przez władze państwowe. Prezydent stworzył specjalnie w tym celu Zespół ds. bezpieczeństwa cyberprzestrzeni RP przy BBN, którego Paweł Wiszniewski jest sekretarzem. Według niego ważne jest jednak, aby wszystkie instytucje, zajmujące się walką z cyberzagrożeniami ściśle koordynowały swoje działania.

Także dla policji zwalczanie cyberprzestępczości jest jednym z priorytetów – tłumaczył – podkom. Marek Lewicki z Wydziału do walki z Cyberprzestępczością Biura Kryminalnego KGP. W tym celu powstały specjalne komórki przy komendach wojewódzkich, a funkcjonariusze współpracują z pracownikami banków. Podkreślił też wagę nowej ustawy antyterrorystycznej, której zapisy jego zdaniem uporządkują i ułatwią pracę policji.

Moderatorem pierwszej części był Wiktor Świetlik – dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP.

II. Bezpieczeństwo a wolność słowa

Drugi panel dyskusyjny dotyczył konfliktu wartości: bezpieczeństwo a wolność słowa. Pierwszy głos zabrał dr Dominik Smyrgała – ekspert ds. bezpieczeństwa „Collegium Civitas”, który podkreślił, że zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa, płynące z rozwoju cybertechnologii są poważne. W związku z tym państwo musi mieć wobec Internetu takie same narzędzia jak w innych obszarach komunikacji. Zwłaszcza wobec tego, że przestępcy są coraz bardziej kreatywni w wykorzystywaniu możliwości, jakie daje im cyberświat.

Tomasz Soczyński – zastępca dyrektora Departamentu Informatyki Biura GİODO, nie wyobraża sobie jednak, by w związku z tym, można było zakazać prawa do wypowiedzi w Internecie.

Na inny problem zwrócił uwagę Piotr „Vagla” Wagłowski, autor serwisu VaGla.pl – „Prawo i Internet”. Jego zdaniem w Polsce nie ma społeczeństwa obywatelskiego, debaty społecznej. Także wokół ważnych ustaw, takich jak chociażby ustawa antyterrorystyczna. Tymczasem państwo bardzo często narusza przepisy,

które samo tworzy. Wskazał na przykłady takich działań, kiedy państwo nie działa zgodnie z zasadą legalizmu, kiedy np. rząd płacił specjalnym podmiotom za niwelowanie roli opinii publicznej w dyskusji dotyczącej ważnych kwestii społecznych.

Piotr Gursztyn – dyrektor TVP Historia, zaznaczył, że jak dziennikarz, który był na liście inwigilowanych przez władze, bardziej jednak boi się działań potężnych podmiotów komercyjnych niż państwa. Podkreślił wagę tzw. hejtu w polskim Internecie, który zalewa wszelkie fora. Duży udział w stymulowaniu tego zjawiska mają dziennikarze, którzy zbyt często, jego zdaniem, prezentują bardzo wyraziste opinie. Porównał sytuację do rynku niemieckiego, gdzie obyczaj są jednak bardziej przestrzegane.

Wszyscy paneliści zgodnie podkreślali, że użytkownicy Internetu powinni uważać na to, jakie informacje udostępniają w sieci. Zdaniem Pawła Nowackiego – zastępcy redaktora naczelnego „Dziennika Gazety Prawnej” ds. online, mamy dziś wręcz do czynienia ze spełnieniem się wizji George Orwella o masowej inwigilacji. Sami bowiem oddaliśmy ogromną wiedzę o nas wielkim podmiotom, takim jak Google czy Facebook, dostając w zamian bardzo niewiele. Kolejne pokolenia zwiększają poziom ekshibicjonizmu w świecie cyfrowym. Serwisy społecznościowe stały się miejscem gdzie relacja między nadawcą a odbiorcą skróciła się do minimum, co zmieniło chociażby pozycję dziennikarzy.

Tę część dyskusji moderował dr Marek Palczewski – medioznawca Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej.

Dyskusję w Domu Dziennikarza na Foksal zorganizowały Instytut Staszica oraz Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP. Pełna relacja z konferencji na: stream1.pl/user/Stream1News?play=1662

Patroni medialni



Na pomoc Kazimierzowi Dolnemu

FOT. © MARCIN JAHR, 2007

Kazimierz Dolny to dziedzictwo kulturowe wszystkich Polaków, to miasteczko którego ostateczna tożsamość wyrosła na styku szesnastowiecznej kultury kupieckiej i hojności jego mieszkańców, którzy pozostawili po sobie niezwykle fundacje architektoniczne. Kamienice i kościoły wtapiają się w piękno Małopolskiego Przełomu Wisły tworząc niepowtarzalne wnętrza krajobrazowe.

Przez wiele lat piękno Kazimierza Dolnego było i jest gwarantem dobrobytu jego mieszkańców. Z powodu niezwyklego uroku miasteczka przyjeżdżają tu miliony turystów. Niestety obecnie prowadzona prymitywnie rozumiana gospodarka turystyczna, prowadzi w szybkim tempie do zniszczenia charakteru miasteczka. Zabudowa hotelowa powstaje z pominięciem wszelkich norm estetycznych brakiem poszanowania dla lokalnego prawa. Coraz większe hotele, niszczą przyrodę, zasłaniają osie widokowe obecne od stuleci.

Ostatnio mieszkańcy dowiedzieli się o planowanej inwestycji wielkości około 17 tys. m kw. ze szkła i betonu, w niemal ścisłym centrum. Niestety służby konserwatorskie zawodzą.

Zagrożone zniszczeniem miasteczko wymaga kompleksowej rewitalizacji i wsparcia. Bez tego, mieszkańcy tej małej gminy nie dadzą rady bronić się przed grabieżczymi najeźdźcami, zbudować nowej szkoły, remontować walące się zabytki, ulepszać niewydolną komunikację drogową. Dziś Kazimierz Dolny stał się taką egipską Hurgadą, z postępującą degradacją społeczną. Miasto wymiera, brak pracy i zaplecza mieszkaniowego zmusza młodych ludzi do wyjazdu. Cała lokalna ekonomia oparta jest tutaj na chimerycznej, sezonowej turystyce.

Obszar gminy jest zdegradowany i znajduje się w stanie głębokiego kryzysu z powodu koncentracji negatywnych zjawisk społecznych, w szczególności bezrobocia, ubóstwa, niskiego poziomu edukacji, kapitału

społecznego, a także niewystarczającego poziomu uczestnictwa w życiu publicznym i kulturalnym. Ponadto obserwujemy niski stopień przedsiębiorczości i słabą kondycję lokalnych przedsiębiorstw.

Miasto tej wielkości, co Kazimierz Dolny nie może się w Polsce samo finansować, zwłaszcza, że nie ma tutaj żadnego przemysłu, handlu na wysokim poziomie ani instytutów naukowych. Jedynym źródłem dochodów dla miasteczka i przyległych wsi są turyści tłumnie odwiedzający to miejsce w sezonie letnim, prymitywna uprawa roli na kamienistych polach, oraz kilkaset marnie płatnych miejsc pracy w miejscowych usługach, czy kilku sklepikach. Miasto, w rozumieniu standardów europejskich czy światowych jest biedne. Żyje się tutaj trudno. Szczególnie zimą przy mroźnej i śnieżnej pogodzie, kiedy trzeba ogrzewać stare, kamienne mury, albo stare drewniane domy, tak bardzo malownicze latem.

RED.

O ochronie krajobrazu Kazimierza Dolnego

18 maja, w Domu Dziennikarza na Foksal odbyła się konferencja poświęcona ochronie krajobrazu Polski na przykładzie Kazimierza Dolnego. Organizatorem wydarzenia było Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

Miałam okazję powiedzieć kilka słów o Kazimierzu Dolnym, o jego historii i tradycji architektonicznej tworzonej przez stulecia oraz kontynuowanej przez wielu znakomitych architektów XX i XXI wieku (Koszczyca-Witkiewicza, Sicińskiego, Buchalika, Doraczyńskiego czy Michalaka). Mówiłam także o niszczeniu krajobrazu kazimierskiego, o jego cennych osiach widokowych, które bezpowrotnie zostały utracone dzięki ignorancji licznych urzędów, w tym Kazimierskiego Parku Krajobrazowego, Lubelskiego Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków i innych. Mówiłam także o domu wybudowanym na przedłużeniu ulicy Małachowskiego, zaprojektowanym przez prof. Konrada Kucza-Kuczyńskiego, i który zasłonił piętrzące się dachy oraz widok na kościół św. Anny. Ktoś wydał na to zgodę... Wspomniałam

także o ostatniej budowlu powstałej na górach, gdzie otwierał się korytarz widokowy na Wisłę. Dziś jest tam mur i koszmarna nowobogacka architektura w zdecydowanie złym stylu. Oczywiście głównym problemem Kazimierza jest projekt Bolesława Stelmacha. Inwestycja ma zostać zrealizowana na końcu ulicy Krakowskiej.

Było dużo pytań i głosów w dyskusji. Rozmawialiśmy nie tylko o Kazimierzu, ale o Polsce. Ktoś mówił o wielkiej galerii handlowej, która ma powstać przed Lasem Kabackim, ktoś o Pomorzu... Ja odwołałam się go Gostynia, tak bardzo mi bliskiego. Tam, na Świętej Górze, na przedłużeniu barokowego założenia architektonicznego ojców filipinów, wybudowano wielki silos cukrowniczy. Jak to zobaczyłam po raz pierwszy, przeraziłam się. Tamtejszy konserwator wydał zgodę na coś tak ohydneho.

Dlaczego tak mało w nas wrażliwości na piękno?

Widziałam, że Kazimierz jest bliski wszystkim, którzy tam przybyli. Sprawa „Zana House” wywołała ogromne poruszenie,

złość. Ludzie krzyczeli wręcz, że Kazimierz jest dobrem narodowym, że mamy tak mało zabytków w Polsce i trzeba je chronić. Pytali co na to nasz Burmistrz... no właśnie co? Nic. Nie ma zdania... przykre. Wydał zaświadczenie o zgodności z planem...

Na konferencję przybyło sporo dziennikarzy zainteresowanych tematem, w tym Polskie Radio Program I, TVP, lokalne telewizje, m. in. WOT, telewizje internetowe. Byli także przedstawiciele Kazimierza: Maria Nowicka-Maruszyk, Waldemar Siemiński i Leszek Skocz. Wielokrotnie w sprawie inwestycji „Zana House” głos zbierał Tadeusz Strzępek. Miło było zobaczyć również zaprzyjaźnioną z Kazimierzem panią Barbarę Jezierską, konserwator województwa mazowieckiego, która jest członkiem Gminnej Komisji Urbanistycznej. Na końcu serdeczne podziękowania dla dziennikarzy: Tadeusza Strzępka i Stefana Truszczyńskiego. To dzięki nim udało się zrealizować spotkanie i problemy Kazimierza po raz kolejny trafiły na forum ogólnopolskie.

ROMANA RUPIEWICZ



Dziewięćdziesiąt lat temu

Było jeszcze gorzej niż teraz. Dzisiaj przynajmniej nikt nam bezpośrednio – na razie! – z zewnątrz nie zagraża. Wówczas Rzeczpospolita była opasana pierścieniem z żarzącym się ogniem.

Rosja bolszewicka i Niemcy zawarły traktaty o współpracy (Rapallo 1922 i Locarno 1924). Wywiad Rzeczypospolitej odkrył, że w tajnych zapisach zawarte są wzajemne zobowiązania o wspólnym działaniu wojskowym wobec państw trzecich i że oba państwa kwestionowały wschodnią granicę Polski. Nie ulegało żadnej wątpliwości, do czego mogą w przyszłości doprowadzić oba te pakt. Piłsudski zareagował kategorycznie, acz jak często miał w zwyczaju, przenośnie, oświadczył swym współpracownikom, że skończył się czas uprawiania polityki w szlafroku i pantoflach.

Tymczasem parlament, wbrew szerokiej opinii publicznej, wyłonił po raz kolejny rząd koalicji ugrupowań narodowych z ludowym „Piastem” pod batutą premiera Wincentego Witos. Już wcześniej, do 1923 roku, rządziły takie ugrupowania; kreowały chaos w polityce wewnętrznej. Polska stała się krajem wewnętrznie zdestabilizowanym; korzystając z okoliczności byłego ministra w rządzie Platformy Obywatelskiej, Bartłomieja Sienkiewicza, można by powiedzieć – państwem teoretycznym, bo niemogącym podejmować decyzji służących własnemu rozwojowi. Na domiar złego było trawione korupcją, aferami, nieuczciwością posłów i wysokich urzędników państwowych.

Ostro przeciwstawiał się temu stanowi rzeczy episkopat polski; biskupi wystosowali do wiernych orędzie: „Szatan pychy i samolubstwa opanował serca jednostek; prywatna i osobiste korzyści wynoszą się ponad dobro ogólne; cele partyjne godzą często w podstawowe cele rządu i państwa. Zgasł pokój, zamarała miłość, panuje upór, zawziętość i nienawiść...”. Powtórzmy, gdyż ta opinia odnosi się również do współczesnej Polski: „panuje upór, zawziętość i nienawiść”. I nikt, o ile wiem, publicznie nie zarzucał wtedy Kościołowi wtrącania się

do polityki. Nasi dziadowie i pradziadowie nie byli jeszcze, tak jak dziś, otumanieni szeroko rozlaną propagandą zwalczającą wpływ religii chrześcijańskiej na społeczeństwa. Rozumieli, że głos biskupów nie był ingerowaniem w politykę, natomiast piętnowaniem niemoralności w polityce, w życiu publicznym. A takie przecież jest od wieków powołanie Kościoła.

A jednak 10 maja 1926 roku prezydent RP Stanisław Wojciechowski, przyjaciel Piłsudskiego z czasów, kiedy razem konspiracyjnie wydawali w Łodzi przy ul. Wschodniej pepeesowskiego „Robotnika” (ciekaw jestem, czy na murze tamtej kamienicy jest tablica pamiątkowa), powierzył Wincentemu Witosowi misję utworzenia rządu – niemal identycznego, jak poprzednio. Piłsudski, od 1923 roku z własnego wyboru samotnik w Sulejówku, utrzymujący się i rodzinę wyłącznie z honorariów za książki i artykuły, znów przestraszył się perspektywą przyszłości. 10 maja tegoż roku udzielił wywiadu „Kurierowi Porannemu”, najbardziej bodaj popularnej w dwudziestolecie gazecie codziennej. Mówił już niemetaforycznie, bez ogródek: „Wraz z takim rządem idą przekupstwa wewnętrzne i nadużycia rządowej władzy dla partyjnych i prywatnych interesów”.

Marszałek Józef Piłsudski z gen. Gustawem Orlicz-Dreszerem na moście Poniatowskiego tuż przed spotkaniem z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim. FOT. © NAC

Jednak najtragiczniejsze wówczas było to, że z polecenia premiera Witosa skonfiskowano cały nakład tego numeru i opinia Piłsudskiego nie dotarła do świadomości społeczeństwa, które i tak w większości podobnie odczuwało degrengoladę rządzących. Za to Polacy w 1928 roku usłyszeli wieszczbę Marszałka: „Gdy umrę, wróci okradanie Polski i rządy partyjne”. Przepowiednia spełniała się rzeczywiście do 25 października 2015 roku (z przerwą wojenno-okupacyjną).

Przewrót majowy, który w istocie rzeczy był zamachem stanu wymierzonym przeciwko legalnej, konstytucyjnej władzy, spowodowało nie tylko zagrożenie wobec porządku demokratycznego państwa i jego stabilnego rozwoju, ale również butne słowa premiera Witosa wypisane 9 maja na łamach „Nowego Kuriera Polskiego”, opawanego przez endecję: „Niechże wreszcie marszałek Piłsudski wyjdzie z ukrycia, niech stworzy rząd [...]”. Jeśli tego nie zrobi, będzie się musiało mieć wrażenie, że nie zależy mu naprawdę na uporządkowaniu stosunków w państwie [...]. Mówią, że Piłsudski ma za sobą wojsko, jeśli tak, niech bierze władzę siłą”. No to Marszałek „wyszedł z ukrycia”, pokazał, że „zależy mu na uporządkowaniu stosunków w państwie”, że „ma za sobą wojsko”. Jedynie nie wziął władzy siłą, bo czego Witos i doń podobni nie byli w stanie zrozumieć, nie na władzy mu zależało...

Postanowił porozumieć się z prezydentem. Wiedział, że rozmowa będzie trudna, zdecydował się więc na manifestację swej determinacji uzdrowienia Polski. Przed południem 12 maja wjechał do śródmieścia Warszawy z oddziałami wojska stacjonującego w Rembertowie. Otoczony przez wiernych oficerów wszedł na most Poniatowskiego, gdzie czekał nań prezydent. O czym i jak rozmawiali obaj mężowie stanu, dawni przyjaciele, nikt nie wie, jedynie legendy głoszą, że konwersacja była nadzwyczaj konkretna i krótka, np.: gdy prezydent rezonował, Marszałek miał przerwać: „cicho, ty stara świeco, ja cię zapalilem i ja cię zgaszę”. Były to aluzje do wzrostu i postury Wojciechowskiego oraz do ich wspólnej ongiś pracy w PPS.

Prezydent nie był skłonny do żadnych kompromisów, powoływał się nieustannie na obowiązek obrony ładu konstytucyjnego. Wystarczy zamienić tu słowo „ładu” na „trybunału” i mamy retorykę dzisiejszych kontestatorów rządu PiS, pełnych „uporu, zawziętości i nienawiści”, jak w przytocz-

nym powyżej orędziu, biskupi charakteryzowali postawę polityków szkodzących racji stanu Rzeczypospolitej

Nie wiadomo na pewno, kto pierwszy z czyjego rozkazu otworzył ogień, wielu historyków twierdzi jednak, że strona rządowa reprezentowana na moście Poniatowskiego przez prezydenta. Walki uliczne trwały do 14 maja, kiedy Piłsudski zajął Belweder opuszczony przez prezydenta. PPS ogłosiła strajk generalny, a w Wielkopolsce nie dopuściła do przewozu kolejną oddziałów wojskowych wysłanych na pomoc rządowi. Zginęło 379 osób, w tym niewspółmierna większość cywilów, którzy z okien, balkonów i bram przyglądali się potyczkom, niepomni, że pociski z rykoszetu też zabijają. W kilku miejscach Warszawy cywile pobili i mocno poturbowali żołnierzy oddziałów rządowych. 22 maja Piłsudski wydał rozkaz do żołnierzy, pisał w nim m. in.: „Gdy bracia się waśnią [...], waśń ich [...] silniejsza jest nad inne. Daliśmy temu wyraz przed paru dniami, gdy w stolicy stoczyliśmy między sobą kilkudniowe walki [...]. Niech Bóg nad grzechami litościwy nam odpuści i rękę karzącą odwróci, a my stańmy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza”.

31 maja 1926 roku Zgromadzenie Narodowe zalegalizowało zamach majowy i wybrało Piłsudskiego na prezydenta RP, on jednak tej godności nie przyjął. Natomiast zachował do końca życia najwyższe zwierzchnictwo nad wojskiem; przez pewien czas był też premierem.

Historyk amerykański, Joseph Roth-schild, opublikował w 1966 roku rzetelne, poprzedzone gruntownymi badaniami i wsparte na solidnym materiale faktogra-

ficznym, studium o przewrocie majowym, zwieńczone konkluzją, że niezależnie od oceny metod działania Piłsudskiego „trzeba mu sprawiedliwie oddać to, że dziś pojęcie Europy bez państwa polskiego jest już nie do pomyślenia”. Nie jedynie dlatego, że Marszałek odegrał główną rolę w przywróceniu Polsce niepodległości po I wojnie światowej, ale też i dlatego, że w 1920 roku wygrywał wojnę z Rosją oraz nie dopuścił w 1926 roku do destrukcji państwa.

Niektórzy powiadają jednak, że przewrót majowy przemienił ustrój demokratyczny w dyktaturę. Niedawno zmarły profesor Zbigniew Wójcik w *Józef Piłsudski 1867-1935* (bez roku wydania) uznał, że zamach stanu Piłsudskiego był jedynym na świecie przewrotem wojskowym, kiedy zwycięska soldateska zachowała wszystkie demokratyczne instytucje państwa: „działały opozycyjne partie polityczne [...], istniał pluralistyczny parlament [...], ukazywała się opozycyjna prasa. Natomiast rządy [Piłsudskiego] były autorytarne, o zasadniczych sprawach decydowała jego wola. Niewątpliwie zdawał sobie sprawę z nietrwałości i niebezpieczeństwa tego systemu rządów, dlatego jednym z celów, jaki postawił przed sobą, była zmiana konstytucji”. Zdążył ją podpisać w kwietniu, tuż przed śmiercią 12 maja 1935 roku (zauważymy – zmarł po dziewięciu latach od zamachu, tego samego dnia i miesiąca).

Może i my doczekamy się rychło zmiany konstytucji, która przekształci Polskę „okrągłostołową” w pełni suwerenną wewnątrz i zewnątrz, silną, godną IV Rzeczypospolitą; wtedy eksperyment z III Rzeczpospolitą wpisze do brulionu...

JACEK WEGNER



Marszałek Józef Piłsudski w otoczeniu oficerów na moście Poniatowskiego udaje się na spotkanie z prezydentem RP Stanisławem Wojciechowskim; od lewej: ppłk Kazimierz Stamirowski, por. Marian Żebrowski, gen. Gustaw Dreszer-Orlicz, Józef Piłsudski, mjr Włodzimierz Jaroszewicz i por. Michał Galiński, 12 maja 1926. FOT. © NAC



1050-lecie Chrztu Polski i początków Państwa Polskiego

Z okazji obchodów 1050. rocznicy Chrztu Polski i początków Państwa Polskiego, 15 kwietnia 2016 roku odbyło się na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich – po raz pierwszy w historii poza Warszawą – posiedzenie Zgromadzenia Narodowego. Obradom przewodniczyli marszałkowie obu Izb Parlamentu. Wzięli w nim udział, obok Prezydenta RP i parlamentarzystów, między innymi ministrowie z premier Beatą Szydło na czele, członkowie Konferencji Episkopatu Polski pod przewodnictwem metropolity poznańskiego abp. Stanisława Gądeckiego oraz przedstawiciele parlamentów europejskich i korpusu dyplomatycznego.

W czasie posiedzenia Zgromadzenia Narodowego odczytano okolicznościową uchwałę, przyjętą wcześniej przez parlamentarzystów. Posłowie i senatorowie wyrazili w niej „wdzięczność twórcom państwowości i wszystkim pokoleniom Polaków, którzy wiernie trwali przy zasadach wyznaczających naszą tożsamość”.

Prezydent Andrzej Duda w wygłoszonym orędziu podkreślił, że Chrzest Mieszka I to najważniejsze wydarzenie w dziejach państwa i narodu. „Decyzja naszego pierwszego, historycznego władcy zdecydowała o całej, późniejszej przyszłości naszego kraju” – powiedział Prezydent. Jak zaznaczył, mamy obowiązek strzeżenia fundamentów naszej tradycji i kultury, obowiązek budowania silnego państwa.

Jednym z głównych punktów centralnych uroczystości Jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski była Msza św. pod przewodnictwem legata papieskiego kard. Pietro Parolina odprawiona w bazylice archikatedralnej w Poznaniu.

Po Mszy Prezydent RP, Marszałek Sejmu, Marszałek Senatu i Prezes Rady Ministrów udali się do grobu Mieszka I i Bolesława Chrobrego, gdzie złożyli wieniec, a następnie z rąk metropolity poznańskiego otrzymali krzyże wykonane z drewna wykorzystanego przy budowie wału Mieszka I w Poznaniu.

ISB

Drodzy Rodacy!

Nie jesteśmy tutaj na zawsze, tak jak nie był na zawsze Mieszko, polscy królowie, wielcy przywódcy naszego narodu, jak nie był z nami na zawsze nasz Ojciec Święty Jan Paweł II. Nie jesteśmy tutaj na zawsze, ale mamy wielki obowiązek strzeżenia fundamentów naszej tradycji i naszej kultury, mamy obowiązek budowania silnego państwa, także jako wielkiej wspólnoty naszego narodu, opierając się na tym, na czym wyrosliśmy, na czym nas wychowano – na naszej wielkiej tradycji wzajemnego szacunku, uczciwości, rzetelności, a jak trzeba także bohaterstwa w obronie ojczyzny.

Wychowano nas w tradycji budowania silnej Polski, nie tylko dla nas i dla naszych bliskich, ale przede wszystkim dla przyszłych pokoleń. Głęboko wierzę w to, że sprostamy temu zadaniu.

Andrzej Duda



FOT. © ANDRZEJ HRECHOROWICZ / KPRP

„Gdzie chrzest, tam nadzieja”

...nadzieja na rozwój państwa, społeczny, cywilizacyjny, kulturowy. Podróżując po Europie, często przyłapywałam się na spostrzeżeniu: „gdyby nie chrześcijaństwo, nie byłoby tego... tamtego... czy owego”.

Spójrzmy choćby na stare miasto Canterbury, angielską Częstochowę, oto St. John's Hospital, założony przez abp. Lauframa w XI wieku. Oto inny szpital, Eastbridge św. Tomasza z Canterbury, ufundowany jako hostel dla ubogich pielgrzymów. Dalej szpital dla ubogich księży, ufundowany w 1180 roku, dom spokojnej starości dla żołnierzy, przykatedralna szkoła, jadalnia dla biednych. No i kościoły, i klasztory, które pełniły służebną rolę dla okolicznej ludności. Prowadziły szkoły, otwierały ochronki dla dzieci, rozwijały mecenat nad artystami, pozwalały zarobić miejscowym rękodzielnikom, dawały schronienie podczas wojny. I tak było w Anglii, Francji, we Włoszech, Hiszpanii i w Polsce, w całej Europie.

Każda wspólnota potrzebuje do życia i rozwoju faktów, symboli, mitów, dialogu z własną pamięcią, który rzutuje na przyszłość. I są zdarzenia, które uruchamiają cały ten proces tworzenia. Dla nas, nad Bugiem, Wisłą i Odrą była to właśnie decyzja Mieszka I w 966 roku. Miała ona dla Polski znaczenie, którego nie sposób przecenić. Za komuny irytujące było – obok bredni typu „religia, to opium dla mas” – wskazywanie na ograniczający czy też „wsteczny”, regresywny charakter religii. To nieprawda. Przyjęcie przez Polskę chrztu było nie tylko manifestacją przystąpienia do rodziny krajów chrześcijańskich, ale i wielkim skokiem cywilizacyjnym i kulturowym. Odegrało nie tylko ogromną rolę religijną, ale i państwowotwórczą, bez chrztu nie byłoby przecież polskiej państwowości, nie zaczęłoby się kształtować społeczeństwo, ani podstawy naszego prawa. Właśnie wtedy przyjęliśmy pakiet wartości, gdzie wielką rolę odgrywał szacunek i miłość bliźniego, samoograniczanie się człowieka, państwa, na których to wartościach zaczęło tworzyć się polskie prawo. Pewnie dlatego Rzeczpospolita była

„krajem bez stosów”, bez wojen religijnych, a Żydzi nazywają Polskę – *Polin*, co po hebrajsku znaczy „tutaj możesz spocząć”. A więc manifestacja przynależności do rodziny państw europejskich, publiczne wyznanie wiary, świadectwo dane nam samym oraz sąsiadom, Europie i światu. Ale więc początki polskiej państwowości, legislacji, szkolnictwa, „służby zdrowia”, instytucji charytatywnych, mecenatu sztuki. Ponadto chrzest nas integrował, dawał poczucie przynależności i wspólnoty, no i w jakiś sposób gwarantował ciągłość struktur państwa.

Warto pamiętać, że przez wieki językiem elit Europy była łacina. Nie tylko Kościoła, ale i królów, dyplomatów, uczonych, studentów, pisarzy, lekarzy, jednym słowem najświatlejszych tego kontynentu.



I że w dużej mierze grupą, dzięki której dochodziło do rozwoju myśli filozoficznej i politycznej, nauki i kultury, byli duchowni. A centrami życia umysłowego – obok jeszcze nielicznych uniwersytetów oraz dworów królewskich – katedry i klasztory. To, że Polska powoli stawała się jednym z europejskich ośrodków życia intelektualnego, w wielkim stopniu zawdzięczamy także duchownym. Rozumiem, że za komuny nie mówiło się o tym, jak wiele dokonał kler w rozwoju myśli politycznej, filozoficznej i społecznej, polskiego szkolnictwa, nauk ścisłych, bibliotekarstwa, sztuki i architektury kamiennej – ale dziś trzeba tę lukę informacyjną wypełnić. Duchowni byli przez kilkadziesiąt lat – średniowiecze, odrodzenie, oświecenie – elitą polskiego narodu, a potem razem z narodem cierpieli, biednieli, brali udział w powstaniach, byli wywożeni na Sybir, ginęli w obu wojnach światowych i w czasach komunizmu. Polski Kościół dzielił losy narodu, i wielkiej glorii i upadku. I trudno tu nie wspomnieć Mikołaja Kopernika, Stanisława Hozjusza, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Ignacego Krasickiego, Stanisława Konarskiego, Stanisława Staszica, Hugo Kołłątaja i dziesiątków innych. Ciekawe może być to, że o ile lewicowa Rewolucja Francuska wyróżnęła duchowieństwo do nogi i francuska Konstytucja ma taki właśnie ateistyczny, rewizjoni-

styczny charakter, o tyle, w tym samym czasie, w Polsce, została sformułowana Konstytucja 3 maja, bardzo na owe czasy postępową i nowoczesną, której twórcami byli także duchowni!

Pamiętam rok 1966, i wydaje mi się, że tym razem w 2016 roku, jakbyśmy „poprawiali” tamte uroczystości, kiedy to naród, społeczeństwo świętowało nie razem, ale obok władzy.

Tamte obchody – że przypomnę wielką i pożyteczną akcję „1000 szkół na tysiąclecie” – miały także odświętny charakter, ale akcent został przesunięty z duchowego na materialny. Tym razem władze i społeczeństwo celebrowały rocznicę razem, co czyniło te uroczystości bardziej podniosłe i bardziej „wspólnotowe”. Widać było, jeszcze lepiej niż 50 lat temu, że ten kraj, Polska, została zbudowana na fundamencie wiary, chrześcijańskiej – nie buddyzmu, taoizmu czy animizmu, tylko chrześcijaństwie – że ta wiara wrosła w nas mocno, i że niezależnie od wielu prób wyrwania jej z korzeniami, wciąż tworzy naszą tożsamość. W każdym sensie. Ze nasz rodowód, to Jerozolima, Ateny i Rzym, a nie Bizancjum, Ruś Kijowska czy Związek Sowiecki. Czyli jako sfera wartości – chrześcijański Dekalog, potem grecka filozofia i teoria państwa, rzymska administracja i prawo. Nieco szerzej, greckie *καλοκάγαθία*, umiłowanie dobra i piękna, koncepcja republiki, prymat prawdy w analizie faktów, rzymska myśl ustrojowa i prawna, rządy prawa, państwo, gdzie władza służy obywatelowi. I że te trzy filary – mimo dwóch setek lat indoktrynacji ze Wschodu – wciąż są podstawą naszego myślenia tożsamościowego.

Nic dziwnego, że to właśnie w tym obszarze pojawiły się takie pojęcia jak obywatel, konstytucja, prawa człowieka, samorządność czy demokracja. A także organizacje charytatywne, wspieranie starszych, biedniejszych, mniej uprzywilejowanych. Czy bez tej pierwszej, podstawowej decyzji, chrztu w obrządku zachodnim, to wszystko byłoby możliwe? Chyba nie. Cieszyłam się też, kiedy usłyszałam, że wszystkie te uroczystości związane z 1050-letnią rocznicą Chrztu Polski nie pozostały tylko w sferze ciekawych eventów czy symboli, ale że dochody ze sprzedaży gadżetów, m. in. książek, świec, szalików, zostaną przeznaczone na kolonie dla dzieci z ubogich rodzin, artykuły dla kobiet z domów samotnej matki czy wyposażenie dla niepełnosprawnych. To się nazywa *finis coronat opus*.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS

Ostróda

Nie o tablice, pomniki i słowa chodzi...

Trwa Rok Jubileuszowy pod hasłem „Gdzie chrzest, tam nadzieja”. W całej Polsce organizowane są obchody 1050. rocznicy Chrztu Polski. Jesteśmy świadkami i uczestnikami duchowego odradzania Narodu Polskiego.

W przeżywaniu rocznicy niepotrzebne są nam kamienne tablice, pomniki z brązu, aby po latach moralnego upadku w mrocznym komunizmie i niespełna trzydziestoletciu niby wolnej i suwerennej Ojczyzny, w Roku Jubileuszu nastąpiło upragnione uniesienie duszy Narodu. Bo nie chodzi tu o kamienie, ani o pomniki lub czcze słowa! Chodzi o żywe ludzkie serca, które wypowiadają się w chrześcijańskich czynach.

Grupa działaczy ze Stowarzyszenia „Niezależni Ostródzianie” i Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”, w porozumieniu i we współpracy z Burmistrzem Ostródy i Parafią Niepokalanego Poczęcia NMP, opracowała program obchodów jubileuszowych. Dla wszystkich: dorosłych, młodzieży i dzieci. Bez wyjątku – dla wcześniej urodzonych również! Obchody, składają się z kilku części: jubileuszowej Mszy z Aktem Odnowienia Chrztu Świętego; korowodu polskich świętych i błogosławionych ulicami Ostródy z udziałem księcia Polan Mieszka I i Dobrawy; festynu historycznego w amfiteatrze i na bulwarze Jeziora Drwęckiego z wieloma interesującymi i inspirującymi propozycjami „dla każdego coś miłego”... Także z degustacją kulinariów z rodzimej, czyli ostródzkiej kuchni. W organizację obchodów włączyło się Centrum Kultury w Ostródzie, Gimnazjum nr 1 im. Polskich Noblistów, stowarzyszenia Sympatyków

Filatelii Maltańskiej i Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP z Olsztyna oraz ostródzcy przedsiębiorcy.

Poprzez odnowę przyrzeczeń chrzcielnych oraz udział w obchodach polskich świętych i błogosławionych ostródzcy organizatorzy nie tylko zamierzają włączyć mieszkańców naszego miasta w ogólnopolskie jubileuszowe obchody, ale przede wszystkim chcą zwrócić uwagę na fakt, że Polska nie tylko otrzymała od Europy cywilizację i kulturę chrześcijańską, ale też bardzo Europę obdarowała. Tak to ujął Cyprian Kamil Norwid: „Czyliż ile razy Polska się porusza, nie daje z siebie czegoś wszystkim kategoriom sił żywotnych w Europie. Jeżeliby tego nie było, to nie byłoby prawa bytu – to byłaby tylko pretensja do bytu, ale nie proces dziejów”.

W procesie dziejów „Polska walczyła zawsze o wprowadzenie zasad moralnych do życia publicznego, politycznego, międzynarodowego – pisała niedawno na łamach «Naszego Dziennika» prof. Krystyna Czuba. – Nasza myśl polityczna nieustannie zajmowała się zagadnieniem, w jaki sposób wprowadzić etykę chrześcijańską do współżycia narodów. Świadczy o tym nasza filozofia narodowa, nasza poezja i literatura. Postęp techniczny łączyliśmy zawsze z moralnością. [...] Choć Europa i świat uważają, że etyka w życiu politycznym to naiwność i strata czasu, to Polska wciąż woła o zasady moralne także

w relacjach międzynarodowych. Wspierał nas w tej misji i umacniał Święty Jan Paweł II”.

W Roku Jubileuszu uświadamiamy sobie, jakim skarbem jest łańcuch, z jej najpiękniejszymi ideałami, na których czele stały wolność i wiara: sumienie przed rozkazem, dobro przed nakazem, honor ponad wszystko. I polskość jest skarbem bezcennym. Na niej bowiem opiera się nasza narodowa tożsamość.

W duchu tychże rozważań pragniemy świętować w Ostródzie Rok Jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski. Świętowanie – to także „jubileuszowe” konkurencje sportowe – biegi na 966 metrów i 1050 metrów. To świetna okazja – być może dla wielu jedyna – do wspólnotowego przeżywania Jubileuszu z mieszkańcami miasta, w którym przyszło nam – już kilku pokoleniom Polaków – po 1945 roku tworzyć polskość m. in. z ożywczą siłą polskiej kultury przyniesionej z Kresów, której wystarczy na wiele pokoleń, na wiele lat i wieków. Tak, jak słowa hasła Jubileuszu: „Gdzie chrzest, tam nadzieja” – otwierają nas na przyszłość. Zapraszamy do świętowania.

ZBIGNIEW
POŁONIEWICZ



„Who is who”, kurcze?

Spotkałem na ulicy ongiś wpłyowego w mediach pracownika służb. To, gdzie pracował było oczywiście wielką tajemnicą, ale i tak wszyscy o tym wiedzieliśmy.

– Zimno ci chyba – mówię.

– Jak to? Przecież robi się upał – był szczerze zdziwiony.

– No, ale ty jesteś teraz w zamrażarce – wyjaśniłem.

No, i rozmowa się urwała. Pomyślałem o pamiętnej scenie z filmu Wajdy „Człowiek z żelaza”, gdy UB-ek, którego gra Franciszek Trzeciak, śmieje się dając do zrozumienia, że te wszystkie tromtadraje – umowy, podpisy – to wielka lipa.

Franka i jego żonę Izabelę z rodu Chłapowskich, której zabrano przed laty majątki posiadane przez przodków od setek lat, spotkałem niedawno i rozmawialiśmy o uwłaszczeniu się na ukradzionych dobrach właśnie takich byłych agentów i kapusiów. Gadu, gadu, trawa rośnie, procesy ciągną się latami, palestra zarabia, dziennikarze już się odżegnują od pisania na te „nudne” tematy – i nic, kompletnie nic się nie zmienia. Stół z powyłamywanymi nogami stoi jeszcze sobie w Pałacu Namiestnikowskim, nikt wprawdzie przy nim nie zasiada i tylko lipa – bo chyba z tego drzewa jest zrobiony – zsyca się i trzeszczy.

Niektórzy znajomi umierają, inni odwracają się plecami. Dobrze, bo wówczas ja tego robić nie muszę. Tak samo było po 13 grudnia 1981 roku. Pamiętam napięcie w katedrze św. Jana Chrzciciela, wieczorem, było bardzo tłoczno. Jedni patrzyli z niepokojem na drugich. Z uznaniem spoglądano na grupkę aktorów, którzy mieli bardzo tajemnicze miny i ciasno zbici pod ołtarzem szeptali sobie na ucho. Olbryski, Kolberger i inni popularni wówczas, przyciągali wzrok wystraszonej gawiedzi.

– Patrzcie, zwolują się – mówili ludzie z nadzieją. Potem Prymas Glemp powiedział, że pójdzie boso prosić władzę o spokój społeczny. „Wrona” się chwaliła, że bardzo dobrze przygotowano stan wo-

jenny, ale napaść na własnych obywateli wymknęła się spod kontroli i ludzie poginęli. Dziś, gdy już wiemy, jak perfidnie to było wymyślone i cały czas kontrolowane – pytamy po niewczasie: Jak to wszystko było możliwe? Odpowiedź – WIARA, NADZIEJA i MIŁOŚĆ. Ale jednak nie okazały się one damami. Wykorzystano cynicznie ogłupionych propagandą naiwnych ludzi. Prawie wszystkich. Bo ci, co mieli władzę otrzymali za nią własność.

Lata lecą, a tak do końca to naprawdę nie wiemy *who is who*. Można oczywiście ludzi podzielić na tych, którzy się opierzyli i na tych, którzy nadal nic nie mają, a teraz to nawet pracy. Prowokatorzy odeszli sobie, zasypiając w łóżkach przykryci ładnymi kołderkami. Wykonawcy zbrodniczych rozkazów – ci, co bili ludzi, polewali kwasem i trucizną – żyją sobie spokojnie. Nawet ten i ów oprawca, czule i z asystą wojskową jest żegnany. I tak to się toczy.

Prawo – dziurawe, a sprawiedliwość – wybiórcza. Z kolejnych książek Kani i Targalskiego dowiadujemy się o tajemniczych władzach rodzinno-towarzyskich. To, co jest odtajniane, a było dotychczas tajnego zamrożenia, jest już coraz mniej sensacyjne. To już nie to, co pierwszy raport Antoniego Macierewicza.

Wiadomo, że kara powinna być nieuchronna, ale i natychmiastowa. Dziś na Apele Żołnierzy Wyklętych przychodzą również ich oprawcy. Występują wprawdzie *incognito*, ale stoją sobie w dalszych szeregach i patrzą. Nie wiem, czy z wyrzutem sumienia czy cynicznie. Młodzi reporterzy nie mają pojęcia kto kim był, jak okrutna to była władza. Weryfikację powszechną zahamował Pan Stępień i jest nawet z tego bardzo dumny.

Ciekawe kto zatrzyma identyfikacje beneficjentów podatkowych rajów. Na razie rzucono na pożarcie trzy nazwiska. Na pewno nie najważniejsze. Może by tak – krakowskim targiem – zaproponować oddanie połowy łupów, a resztę pozostawić złodziejom. Jeśli oddadzą, nawet bez oprocentowania, to co ukradli

współobywatelom – i tak skarb państwa zyska miliony. Niestety, wśród kłótlivej gawiedzi zgody nie widać. Tak, jak nie ma jej w przypadku wymazania dekretów Bieruta w sprawie oddania zagarniętej prywatnej własności ziemskiej, a nawet w sprawie wielkości odszkodowań.

Rosjanie na hasło: „Smoleńsk” idą w zaparte. Grają na zwłokę. Nasi prokuratorzy doczekali się generalskich gwiazdek i wysokich emerytur, i wleźli do mysiej dziury. W Polsce ci, którzy przegrali przy urnach, robią teraz wszystko, by kraj nie przestał toczyć się po równi pochyłej. Nie ma takiej ceny zdrady, której by się nie podjęli. Trzeba opluwać nadal, mizdrzyć się do zagranicznych pracodawców. Zakłamywać rzeczywistość żebząc o poparcie nawet poza krajem.

Obywatele świata, „europejczycy”, antyszambrują po obcych salonach sprzedając ostatnie – choć nie swoje – rodowe srebra.

Mamy już w mainstreamowych mediach nowe twarze i nazwiska. Czy ta zmiana będzie rzeczywiście dobra, czy poradzi sobie z trudną pracą oczyszczenia stajni? Coraz więcej ludzi zasiada przed telewizorami. Oby tym razem nadzieja nie była matką głupich. A KOD-owcy niech sobie człapią. Rozstajne drogi już za nami. *Who is who* – również w prasie, radiu i telewizji – wkrótce się przekonamy. Myślę, że drugie rozdanie – to które właśnie nadchodzi – nastąpi już w czerwcu. Dobrze by było, gdyby tych, którzy zostaną nominowani pokazać i cierpliwie wysłuchać korzystając z najbardziej oglądanych programów telewizji i radia. Na to nie powinno zabraknąć czasu. Radiosłuchacze i telewizzowie chętnie zobaczą, posłuchają, wszystkich, którzy mają opowiadać nam potem, jak jest naprawdę w kraju, co się wydarzyło i kto za co jest odpowiedzialny. Chcemy widzieć te twarze i dowiedzieć się co mają do powiedzenia. Jak są naprawdę przygotowani do zawodu. To jest podstawowy warunek, aby nie pomylić się, aby nie mianować nieudaczników i tchórzów.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

SDP

Najnowsze informacje, rozmowy dnia, felietony,
opinie, analizy, blogi dziennikarzy...
na stronie internetowej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
www.sdp.pl
z a p r a s z a m y



Piórem Jana Rosłana Ksiądz i polityka

Runeły gromy od postępowej prasy i hierarchicznego duchowieństwa na ks. Jacka Międlara, za wygłoszone kazanie w białostockiej katedrze z okazji 82. rocznicy powstania Obozu Narodowo-Radykalnego.

„Newsweek” dał tytuł artykułu o kapłanie – „Brunatny ksiądz” (czyli w domyśle faszysta), a „Gazeta Wyborcza” – „Kapłan nienawiści” i „Narodowy radykał. Ten ksiądz może przebić Rydzyka, Oko, Natanka”.

Władze kościelne także potępiły księdza. Abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski wypowiedział się w tej sprawie, a także Prymas Polski abp Wojciech Polak, choć w swoich oświadczeniach nie wymienili nazwiska ks. Międlara, to jednak dziennikarze odebrali te wypowiedzi jako ostrą krytykę młodego kapłana. Natomiast Kuria Archidiecezjalna w Białymstoku wydała przeproszające oświadczenie, przyznając się do błędu, że Msza św. w rocznicę powstania ONR odbyła się w katedrze. Władze zakonne księdza w osobie o. Krystiana Banko, wizytatora Polskiej Prowincji Księży Misjonarzy wydały mu całkowity zakaz wypowiadania się we wszystkich mediach (w tym także elektronicznych). Do tej pory ks. Międlar pracował w parafii we Wrocławiu, skąd został przeniesiony za swoje związki z ONR do Zakopanego. Tu wziął udział razem z oenerowcami w uroczystości pod pomnikiem Józefa Kurasia „Ognia”, za co za karę został skierowany do zamkniętego zakonu. Po kazaniu w Białymstoku zapewne tam powróci, choć wizytator o. Banko dla „Gościa Niedzielnego” powiedział, że to nie kazanie było powodem ukarania księdza: „Powodem były inne okoliczności, co do których nie chcę się wypowiadać publicznie, gdyż są one wewnętrzną sprawą zgromadzenia”. Jedno jest pewne, ks. Jacek Międlar ma w swoim zakonie poważne problemy.

W obronę księdza wziął w telewizyjnym programie Jan Pospieszalski, który był w Białymstoku i wysłuchał kazania. Ja je dokładnie przeczytałem. I rzeczywiście nie znalazłem żadnych treści, które byłyby niezgodne z Ewangelią. Oczywiście ekspresja i słownictwo kaznodziei nie każdemu może odpowiadać, ale może właśnie taki styl dociera do ludzi młodych. Czy jednak można mieć poważne zastrzeżenia do takich sformułowań: „Nie ma polskiego nacjonalizmu bez katolickiego radykalizmu”. Wcześniej Zarząd Główny ONR wydał oświadczenie, w którym stwierdził: „Jako katolicy, uznający nauczanie Kościoła za fundament tworzonej przez nas Organizacji, zdecydowanie odrzucamy wszelkie formy totalitaryzmu, zwłaszcza w niemieckim, neopogańskim,

opartym na prymitywnym rasizmie, narodowosocjalistycznym wydaniu”.

Ks. Międlar raczej unikał oceny obecnej rzeczywistości, jednak stwierdził: „Bo czym jest marksistowska Unia Europejska jak nie aparatem agresywnym wobec Boga, wobec Kościoła, wobec godności człowieka”. Na końcu kazania powiedział: „Walczę o wielką Polskę, walczę o Polskę wolną od wewnętrznego, zachodniego i wschodniego ciemniźciela. O wielką, katolicką Polskę, w której jedynym Panem, Zbawicielem i Królem jest nasz Pan Jezus Chrystus”. W tygodniku „Polska Niepodległa”, nieoficjalnym organie ONR w obronę ks. Jacka Międlara wziął ks. dr Roman Kneblewski, który stwierdził, że „ks. Jacek nie posługuje się językiem nienawiści, a przeciwnie – to jest język najczystszej miłości”, a „nacjonalizm jako taki jest jednym z przejawów największej z cnót, czyli cnoty miłości. [...] Toteż każdy katolik winien być nacjonalistą i patriotą”. A „nasz polski nacjonalizm [...] jest nacjonalizmem najwznioślejszym i najpiękniejszym na świecie”.

Kodeks Prawa Kanonicznego zabrania księdzu przynależności do partii politycznych, choć onegdaj ks. Jacek Stryczek (ten od „Szlachetnej Paczki”) deklarował wstąpienie do... SLD. Władze zwierzchnie szybko przywołały go do porządku. Czy natomiast, jeżeli jakaś partia o to prosi, ksiądz nie może być jej kapłanem? Sadzę, że może. W adhortacji apostolskiej „*Christifides laici*” Jan Paweł II wprost stwierdza, że katolicy nie powinni eliminować się z życia politycznego, wręcz przeciwnie, powinni brać w nim aktywny udział, aby „przynosić chwałę Ewangelii i Kościołowi”. Kościół jednak jako instytucja nie utożsamia się z żadną wspólnotą polityczną i nie wiąże się z żadnym systemem politycznym, choć z racji moralnych może się ustosunkowywać do decyzji politycznych rządzących w imię bronięcia wartości ewangelicznych, w imię obrony wolności i godności ludzkiej, w tym podstawowego prawa do życia. Katolicy należą do różnych ugrupowań politycznych i w Kościele mają znaleźć wspólnotę wiary i przekonań moralnych, ale nie wspólnotę polityczną. Jeżeli jednak jakaś wspólnota chce mieć swego kapłana, to dla dobra duchowego jej członków uważam, że Kościół takiego kapłana powinien wyznaczyć, jeżeli oczywiście statutowe cele tej wspólnoty nie są sprzeczne z podstawowymi wartościami i celami realizowanymi przez Kościół.

Może więc dziwić reakcja kościelnych hierarchów na związek ks. Jacka Międlara z ruchem ONR, legalnie zarejestrowaną organizacją. Tym bardziej to może szokować, że hierarchowie nie reagują na jawny

związek niektórych kapłanów i ich udział w przedsięwzięciach organizacyjnych innych partii, a w szczególności Platformy Obywatelskiej, która rządząc wspólnie z PSL niejednokrotnie chciała ustanawiać w Polsce prawo fundamentalnie sprzeczne z podstawowymi wartościami chrześcijańskimi. Czołowym wyznawcą PO jest ks. Kazimierz Sowa, który w telewizyjnej wypowiedzi obrażał wyborców PiS, i to w sposób nie godzący się nie tylko kapłanowi, ale także każdemu kulturalnemu człowiekowi. Ks. Sowa organizował rekolekcje dla parlamentarzystów PO i ich pielgrzymkę do Rzymu, którą sam prowadził. Podczas ostatniej kampanii wpłacił na fundusz wyborczy PO 10 tys. złotych. Czyż nie jest to jawne zaangażowanie się księdza po stronie jednej partii? Dziś aktywnie uczestniczy w zakładaniu tzw. klubów obywatelskich, których zadaniem jest przyciąganie nowych członków do PO. Ks. Sowa był gościem w takich klubach w Chranowie, Nowym Sączu, Krzeszowicach i ostatnio, 10 maja w Tarnowie, gdzie prowadził spotkanie z Bronisławem Komorowskim. Na poprzednich spotkaniach zawsze byli czołowi politycy PO. W Krakowie na inaugurację klubu PO przyszedł bp Tadeusz Pieronek, w Gdańsku był ks. Adam Boniecki i jezuita Jacek Siepsiak, w Katowicach był ks. Piotr Brzękalik, a w Poznaniu dominikanin i publicysta „Gazety Wyborczej” Tomasz Dostatni. Ci duchowni bezpośrednio angażują się w działalność partyjną, bo nawet wspierają partię finansowo, a hierarchowie Kościoła polskiego milczą. Dlaczego? Czy tylko z powodów rodzinnych powiązań czy może z cichego wspierania jednej opcji politycznej?

Czasami piszę na tematy polityczne, ale nigdy nie deklaruje się jako zwolennik tej czy innej partii. Działalność partyjną oceniam przede wszystkim w kategoriach moralnych i dobra wspólnego. Ksiądz może mieć poglądy polityczne, ale nigdy w kościele nie powinien ich ujawniać, a prywatnie też w sposób bardzo ograniczony. Publiczne zaangażowanie się polityczne księży jest nie do pogodzenia z dobrym wypełnianiem obowiązków duszpasterskich. Bo kapłan powinien być dla wszystkich ludzi, obojętnie od ich politycznych zapatrywań.

Dziwić się jednak, że są w Polsce kapłani, którzy jawnie uprawiają polityczną działalność i mają na to przyzwolenie, a na innych za wypełnianie posługi duszpasterskiej dla określonej wspólnoty nakłada się kary (przykładem ks. Stanisław Małkowski). Coś jest tu nie w porządku. Ani kanonicznym, ani moralnym, ani społecznym, ani logicznym.

„Gazeta Wyborcza” pisała wręcz o profanacji białostockiej katedry, bo były tam flagi ONR. A ja pamiętam Mszę św. w olsztyńskiej katedrze dla Rotary Club, gdzie członkowie klubu byli w strojach organizacyjnych czyli w fartuszkach, które na pewno nie są znakami chrześcijańskimi, a masońskimi. Ileż to razy widziałem w kościele sztandar

przez lata nam współzrządzającej partii, czyli PSL. I nikt się nie oburzał. Faktycznie do ONR nic nie mam, ale dziwi mnie pewna polityka kościelna, bo to znów pewna gazeta i jeden tygodnik (zawsze wrogie Kościołowi) wyznaczają niektórym hierarchom ich zachowania i decyzje. Wiem, że „Gazeta Wyborcza” ma wśród niektórych

duchownych (szczególnie dominikanów i jezuitów, o środowisku „Tygodnika Powszechnego” nie wspominając) swoich gorliwych wyznawców, którzy myślą tak, jak im te media wskażą, ale hierarchowie powinni zachowywać więcej dystansu do rzeczywistości i jej nie komentować, według wskazań wiadomej gazety.



Piórem Krzysztofa Kłopotowskiego Co nam wolno

PressInstitute zapytał 250 dziennikarzy, co myślą, że im wolno w zaangażowaniu politycznym. Przytłaczająca większość, 90 proc., wykluczyła udział w organizacji wiecu lub kongresu partii politycznej. Słusznie! Nieco ponad połowa zezwala sobie na udział pochodzie organizacji broniącej wolności obywatelskich, jak KOD czy Solidarni 2010. Niesłusznie! A jedna trzecia dopuszcza niesienie w pochodzie transparentu lub flagi. Co jest nieco dziwne. Znaczący, że sprawę wolności obywatelskich można popierać, byle nie stanowczo. Czy tak ujawnia się wstyd utraty bezstronności, czy podświadomy lęk przed rzucaniem się w oczy?

Moim zdaniem, udział w pochodach nawet w szlachetnej sprawie obrony wolności obywatelskich jest niedopuszczalny dla poważnego dziennikarza. KOD lub Solidarni 2010 jednostronnie pojmują wolność obywatelską. Wystarczy posłuchać, co mówią na ten temat przeciwnicy jednej lub drugiej organizacji. Natomiast dziennikarz powinien bezstronnie rozważać wszystkie argumenty obu stron i wysunąć własne. A będzie mu trudniej po udziale w pochodach, gdyż w pewnych wypadkach trzeba byłoby przyznać się do błędu przed sobą i opinią publiczną. I bez

tego niełatwo nam zdobyć się na oceny rzetelne, gdy hulają emocje polityczne. Po co więc dodawać ciężaru zaangażowania?

Co więcej, udział w pochodzie powoduje odruch stadny. A poważny dziennikarz nigdy nie powinien chodzić w stadzie, bo pochod sprawdza demonstrantów do najniższego wspólnego mianownika czyli prostych emocji. Zaś dziennikarz, zwłaszcza komentator polityczny, powinien wprowadzać rozum do debaty publicznej. Musi więc wnieść się ponad tłum. Poważny dziennikarz jest ponieważ przewodnikiem w dżungli. Stronniczy wspina się na drzewo i woła: jeszcze trochę i dojdziemy do celu! A poważny wspina się wyżej i woła: wracamy, nie ta dżungla! A przynajmniej musi zachować sobie możliwość podważenia kierunku marszu we wspólnej wzniosłej sprawie.

PressInstitute to przybudówka miesięcznika „Press”. A ten nie zachowuje bezstronności w bieżącym sporze politycznym. Mówiąc w skrócie jest antypisowski. Dowód? Oto cytaty ankiety: „Przeciwnie niż obecna władza w Polsce, ponad 80 proc. ankietowanych uważa, że dziennikarze mają prawo wypowiadać się – zarówno negatywnie jak i pozytywnie – w mediach zagranicznych

na temat sytuacji w Polsce”. Na tak zadane pytanie można się tylko dziwić, że prawie 20 proc. jest innego zdania.

Polskie prawo nikomu nie zabrania mówić źle albo dobrze o Polsce za granicą. Spór dotyczy czego innego: Czy dziennikarze polscy powinni wyrażać się źle o swoim kraju w mediach zagranicznych. O dobre słowa nie ma pretensji. To kompromitowanie kraju za granicą budzi wątpliwości etyczne. Niestety, autorzy ankiety dopuścili się manipulacji podmieniając „powinność” przez „prawo” i do krytycznych wypowiedzi o sytuacji kraju dołączając pochlebne. Dlatego im wyszło, że ogromna większość dziennikarzy wcale nie potępia ataków na obecną władzę w zagranicznych mediach. W ten sposób polska racja stanu została usunięta z pola widzenia. To jest skutek zaangażowania „Pressu” w partyjną politykę.

Anglicy mają na taką okazję powiedzenie: *right or wrong, my country*, „na dobre i złe mój kraj”. Ale skąd wzięć Anglików między Odrą a Bugiem? Tu ciągle żyje tradycja skargi obrońców wolności obywateli z Targowicy do obcych dworów – na wzmacnianie władzy wykonawczej. A przecież Rzeczpospolita nierzadkiem stoi. Póki stoi.



Piórem Jerzego Jachowicza Dziennikarska robota

Długo usiłowałem rozgryźć, kogo mi przypomina dziennikarka TVN, która z niezwykłą wprost nachalnością próbowała wymusić na swoim rozmówcy, członku rządu, odpowiedź zgodną z jej założeniem. Wreszcie przejrzałem na oczy. Tak, bez wątpliwości. Agresywna natarczywość tej dziennikarki była postawą policjantki, która przesłuchuje sprawcę zbrodni. Albo co najmniej współsprawcę. Ale na pewno winnego.

Jej nazwisko przemilczę, bo nie warto go nawet wymieniać. Jedynie dla gorących wielbicieli owej dziewczyny, aby dać im szansę wyrażenia jej słów podziwu, mogę zdradzić, że nazwisko zaczyna się na jedną z pierwszych liter alfabetu.

Nie jest w swej zuchwałości odosobniona. Ma bliskich kolegów i zaprzyjaźnione kumpelki. Gromadą polują na swoje ofiary, złaknieni przyjemności znęcania się nad nimi. Na swoje

ofiary wybierają tylko polityków obecnego obozu władzy. Pod pozorem normalnej rozmowy, cały swój spryt i wysiłek wkładają w to, aby skompromitować swego rozmówcę. Biegają po sejmie w jednym zespole – dziennikarki i dziennikarze telewizyjni i radiowi. Obserwowałem kilkunastominutową scenę, kiedy te dziennikarskie hieny obskoczyły pełną dobrej woli odpowiadania na ich pytania, ale posiadającą własne zdanie posłankę Pawłowicz. Otoczona została kamerami i mikrofonami: TVN-u, Polsatu, Superstacji, Radia Zet, Radia RMF FM. Z ust pytających toczyła się piana nienawiści i niechęci do posłanki, maskowana kilkoma pytaniami. Między innymi o „obrażanie” sędziów przez rzecznikę PiS, o kolejnej wizycie w Polsce przedstawicieli Komisji Weneckiej i o Trybunale Konstytucyjnym. W czasie gdy posłanka starała się uczciwie wyrazić swoje opinie, co dosyć oczywiste, za-

sadniczo różniące się od tez lansowanych przez opozycję, dziennikarze wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia. W tej mimicznej wymianie zdań dominowały w sposób wręcz niesmaczny dwa splatające się wątki. Wyrażanie swojej dezaprobaty dla tego, co mówi posłanka Pawłowicz. Twarze mówiące: Boże, co za bzdury. Że też tak można myśleć!

A jednocześnie w ich spojrzeniach widoczny był drugi wątek. Zadowolenie z tego, że udało się naciągnąć posłankę na rzekomo merytoryczną pogawędkę.

– Znowu zostanie przez nas ośmieszona. Mamy kolejny, drobny sukces. Zdobyliśmy dowód na głupotę PiS.

Gratulując sobie wzajemnie, mogą powiedzieć: „Mamy za sobą kawałek dobrej roboty”.

Nie widziałem wśród nich Tomasza Lisa. Z całą pewnością jednak mogą liczyć na jego gratulacje.

Piórem Ewy Urbańskiej Media publiczne – gusła i zabobony



Rynek jest winny komercjalizacji mediów publicznych – prawda czy fałsz? Prawda – odpowiedzą prawie wszyscy.

Ten szkodliwy zabobon utrwalił się niestety w powszechnej świadomości. I niesie ze sobą kolejne fatalne konsekwencje.

Tymczasem prawda jest zupełnie inna. Porównując ramówki dwóch głównych anten mediów publicznych w latach 1990-2015 pod kątem realizacji misji można znaleźć zastanawiającą prawidłowość. Gwałtowną zapaść we wszystkich gatunkach (kultura, dokument, edukacja, dzieci) po roku 2000. Zatem nie stopniowa rezygnacja z misji wywołana działaniami rynku, lecz zapaść dosłownie z dnia na dzień.

Co takiego stało się w roku 2000? Prezes Robert Kwiatkowski (do niedawna wypowiadający się o mediach publicznych z wyższością wybitnego eksperta, pouczającego innych w sprawach

realizacji misji) w roku 2000 wprowadził tzw. „reformę” TVP.

To był przełom – odtąd dziennikarze twórcy zostali wyrzuceni z redakcji w antenach do tzw. agencji producenckich. W ten sposób razem z pozostałymi twórcami: operatorami, montażyстами, realizatorami, scenografami, charakteryzatorkami zostali wypchnięci na margines działalności firmy. Tym samym status twórców rażąco podupadł wobec pozycji pozostałych w antenach, mianowanych politycznie urzędników.

W konsekwencji obniżył się też status samego programu. A także jego jakość.

Niezależni twórcy, zwłaszcza realizujących misję programów, nie mieli żadnych szans na produkcję własnych projektów. Odtąd środki finansowe na program przeszły bowiem w ręce kilku wybranych producentów zewnętrznych (nie był to żaden wolny rynek), a ci realizowali wyłącznie

komercyjne projekty, w szczególności kupowane za granicą formaty.

To był właśnie powód gwałtownej zapaści w realizacji misji przez TVP, a nie żaden rynek. Natomiast, chętnie powielany zabobon, skutecznie utrwalono w świadomości publicznej. Było to znakomite alibi dla komercyjnych działań w mediach publicznych, dla których nie było usprawiedliwienia, bowiem bardzo długo wyniki badania opinii przynosiły zdumiewające info, że zdecydowana większość widzów ogląda to, co im się zaoferuje.

Dlaczego ten szkodliwy zabobon wciąż szkodzi? Bo w dyskusjach o reformie mediów publicznych nadal mówi się o skutkach, a nie o przyczynach zapaści TVP.

A jak powiedział już ponad dwadzieścia wieków temu Arystoteles: „Prawdziwa wiedza to znajomość przyczyn”. Warto skorzystać z tej rady wielkiego, może nawet największego, filozofa.



Piórem Wojciecha Piotra Kwiatka WIELEP

Polszczyzna to język bardzo żywy. Jego żywotność można przyrównać do żywotności polskiego życia publicznego, które jest aż nadto chwila „żywotne”. Ale tego się nie wybiera... To się dostaje – od Historii, przede wszystkim od Historii, choć zapewne nie tylko.

Dzisiejszy spór o Polskę nie jest w ogóle dzisiejszy, tylko już dość wiekowy – trwa co najmniej 27 lat. I właściwie cały czas dotyczy tylko jednego: kto ma rację w procesie odbudowy Polski po komunizmie?

Na dobrą sprawę rzecz jest prosta do rozstrzygnięcia: z jednej strony są fakty, mechanizmy i ich efekty, z drugiej – propaganda, a w niej decydujący głos należy do... „wielepa”.

Kto to jest WIELEP?

Budowa słowotwórcza podpowiada sporo, resztę ujawnia socjologia, politologia, psychologia i może jeszcze kilka różnych...logii. „Wielep” to ktoś, kto WIE LEPIEJ. Nazywa się to derywacją wsteczną – „czołg” to derywat wsteczny od „czołgać się”, „schron” od „schronić się” itd. „Lepiej” to oczywiście przysłówka, ale „wielep” to klasyczny rzeczownik, neologizm... Proszę wybaczyć polonistce...

Nasze życie publiczne aż roi się od „wielepów”. Im więcej twardych, oczywistych faktów, tym więcej pojawia się wszędzie „wielepów”. WIELEPIZM (kolejny neologizm, uprawniony jak najbardziej językowo!) pojawia się wówczas, gdy fakty nie dają się podważyć. „Wielep” te fakty natychmiast zinterpretuje tak, że faktami być przestają, a w każdym razie słabnie ich

siła, ich faktowość (ach ta polonistyka...). Od tego właśnie jest „wielep”. Może sobie w studio radiowym, telewizyjnym czy na jakimkolwiek spotkaniu przemawiać najmądrzejszy, najbardziej wykształcony, sprawdzony w intelektualnych szrankach profesor, naukowiec czy ekspert – zawsze znajdzie się jakiś „wielep”. A że w naszym życiu społecznym, publicznym, coraz więcej pojawia się WYKSZTAŁCIUCHÓW (kolejny piękny neologizm!), czyli ludzi, którzy zdobyli stopnie naukowe bądź dyplomy, ale nie zdobyli żadnej wiedzy, a przede wszystkim nie nauczono ich myślenia, „wielep” natychmiast znajduje posłuch. Cóż by to zresztą było za życie, co to byłby za kraj, gdyby nie było „wielepów”? Toż wszystko można by raz-dwa poukładać, poustawiać i iść do przodu. Ba, ale ilu wykształciuchów, ilu zwykłych szkodników zostałoby wówczas zapewne za burtą! Bo człowiek normalny mniej więcej wie, jak to wszystko powinno wyglądać: Sejm, rząd, reformy, programy. Mówię ostrożnie „mniej więcej”, żeby nie było, że jestem „wielep”... Ale jak na razie ton nadają szkodnicy i „wielepy”.

Klasycznym „wielepem” jest przewodniczący TK sędzia Rzepliński. Ty mu mówisz „konstytucja”, a on, że Trybunał. Ty mu, że według konstytucji ma być 15 sędziów, a on wyznacza 4. Bo to „wielep”, czyli ktoś zamknięty na fakty. To znaczy Pan Sędzia nie jest zupełnie zamknięty na fakty, on jest zamknięty tylko na niektóre fakty. Na które – podpowiedzą mu inne „wielepy”.

Listę „wielepów” można by ciągnąć długo, długo. Ale szkoda czasu, a i miejsca. Jak,

Obywatelu, obserwujesz obecną debatę publiczną, obecny spór o Polskę, bez trudu dostrzeżesz rzesze „wielepów”. Z całą pewnością I WIELEPEM III RP jest redaktor naczelny „GW”. Z tym, że on „wielepem” już się urodził, już w kolebce łeb urwał (urywał) hydrze, która łbów miała zresztą kilka: faszyzm, ksenofobia, zaściankowość, klerykalizm, szowinizm, antysemityzm... Ale Redaktor każdy łeb choć na chwilę chwycił i choć trochę nadwyreżył. A jak już podrośł, stał się – jak powiedziałem wyżej – I WIELEPEM III RP.

Z „wielepem” nie pogadasz, „wielepa” nie przekonasz, „wielepowi” nic nie udowodnisz. „Wielep” może więc żyć tylko w rozwiniętej demokracji, bo ta daje mu możliwość ciągłego dowodzenia swego „wielepizmu”. I dziwne tylko, że w dzisiejszej Polsce, gdzie według „wielepów” z dnia na dzień ogranicza się wolność słowa, wolność debaty publicznej, gdzie coraz mocniej knebluje się usta wolnym (!) mediom, gdzie urzędowo toleruje się faszyzm ONR i innych prawicowych (czytaj: faszystowskich) organizacji, „wielepy” mogą manifestować, są we wszystkich, nawet totalitarnych PiS-owskich mediach, wywieszają plakaty, a totalitarna TVP transmituje ich marsze... Więc jak to jest, Panowie „wielepowie”? Nie cierpicie wy czasem na schizofrenię?

Proponuję, żebyście sprawdzili skuteczność działania i bitność, gotowość bojową swych wielepowych szeregów gdzieś w innej rzeczywistości... W Rosji... Na Białorusi...

Powodzenia! I trzymajcie się! Mocno!

Etyczne problemy dziennikarzy

W kwietniu mówiłem na konferencji naukowej o etycznych dylematach dziennikarstwa politycznego. Analizowałem przypadki z przeszłości i jak najbardziej współczesne. Robiłem to metodą naukową, ale nie odpowiedziałem na pytanie: dlaczego misyjność mediów nie jest realizowana, dlaczego dziennikarze naruszają zasady etyczne.

Na to ostatnie pytanie odpowiedź jest bardzo trudna, bo wymagająca szeroko zakrojonych badań i wnikięcia w sferę psychologii, sumienia i wewnętrznych motywów. Z zewnątrz nie wszystko widać, ale mimo to spróbuję subiektywnie i nienaukowo odnieść się do tego zagadnienia, wspierając się również cudzymi przemyśleniami.

Po pierwsze, uważam, że „winę” za ten stan rzeczy ponosi tak zwana polityzacja mediów. Zależność mediów od polityki, a dziennikarzy od polityków, jako nadzorców mediów i zarazem głównych źródeł informacji, sprawia, że dziennikarz nie jest w swojej pracy samodzielny. Wykonuje polityczne polecenia służbowe i realizuje zadane tematy, przy czym musi polegać na swoich źródłach, bo bez nich nie mógłby pracować. Dopóki więc dziennikarz będzie wisiał na „politycznej kłamece”, dopóty będzie narażony na naruszanie zasad etycznych – obiektywizmu, bezstronności, czy niezależności. Zatem pierwszy powód naruszeń zasad etyki polega na zbyt dużym uzależnieniu od polityków lub też na stronnictwie prowadzącej do chęci dowalenia i przeciwnikom politycznym (jest wiele przypadków tego rodzaju opisanych przez Radę Etyki Mediów, CMWP SDP, czy Komisję Etyki TVP).

Po drugie, przyczyną naruszeń etycznych jest zwykła dziennikarska bylejakość, niestaranność, czy po prostu niewiedza, nieświadomość w zakresie etyki dziennikarskiej. Dlatego wbrew wielu moim kolegom uważam, że szkoły dziennikarskie są pożyteczną przepustką do zawodu, tamą dla niedouczonej i nieetycznej dziennikarstwa. Niestety, praktyka jest inna, co możemy zaob-

serwować na naszym rynku medialnym. Chyba już zapomnieliśmy, że pierwsze szkoły dziennikarskie powstały w Stanach Zjednoczonych, a dziś wypuszczają one tysiące dziennikarzy powodując, iż profesjonalizm dziennikarski w USA nie ma sobie równych na świecie (poza kulturą anglosaską).

Po trzecie, przyczyną naruszeń zasad etycznych jest tabloidyzacja, która jednocześnie odpowiada za postępującą erozję tych zasad. Plotka i sensacja wypiera jakościowe dziennikarstwo, nawet w tytułach wydawałoby się poważnych i dbających o poziom. Niedawna „wpadka” (czy, aby na pewno, wpadka?) „Gazety Wyborczej” z artykułem o Agacie Dudzie, sprzeniewierzającym się wszystkim zasadom Karty Etycznej Mediów, pokazuje, że proces tabloidyzacji sięga najdalej jak może. Sprzyjają mu kolejne redakcje, a dążenie do zysku przysłania misyjność i zobowiązania moralne.

Wspomniałem wyżej, że skorzystam również z cudzych idei, więc sięgnąłem do opracowania o mediach, które na rynku książek ukazało się dwa lata temu. Jacek Dąbała, medioznawca, pisarz i były dziennikarz radiowo-telewizyjny, opublikował w 2014 roku rozprawę *Media i dziennikarstwo. Aksjologia – warsztat – tożsamość*. Zawiera ona m. in. rozdział „Podstawowe wyznaczniki braku profesjonalizmu w dziennikarstwie”. Autor zwraca w nim uwagę na „kulturę newsroomu” jako tę, która może korygować błędy dziennikarskie, ale też może utrzymywać czy przekazywać złe wzory. Zdaniem Dąbały najważniejsze i uniwersalne wyznaczniki braku profesjonalizmu w dziennikarstwie łączą się z następującymi aspektami: „relacjami towarzyskimi, ograniczonymi lub złymi wzorami, szybkim, inten-

sywnym i stresującym tempem pracy, lekceważeniem profesjonalnej i konstruktywnej krytyki, strachem przed prawdą o swoich uwarunkowaniach zawodowych, wąskim zakresem lektur, podporządkowaniem profesjonalizmu właścicielom i zarządom mediów, negatywną korelacją sprytu, inteligencji czy intelektu czy ogólnikowością ocen z pominięciem procesu wartościowania” (zob. Jacek Dąbała, *Media i dziennikarstwo...*, Kraków 2014, s. 64-82). Dziennikarze spływają poglądy, wkraczają na pole reklamy, szukają sensacji i emocji, przeceniają własny profesjonalizm. Nie odróżniają, którą sprawę lub zdarzenie można upublicznić, a kiedy jest ono prywatną sprawą. W ten sposób często dochodzi do aksjologicznych nadużyć.

Powstał smutny obraz, ale nie czarny, bo jednak niecodziennie zdarzają się poważne skandale etyczne. Takie sprawy przyciągają uwagę swoją jednoznacznością i kompromitują dziennikarzy. Jednak większość dylematów etycznych, analizowanych przez rozmaite rady i komisje etyczne, wcale jednoznaczna nie jest. Wymagają one dokładnej analizy i wiedzy etycznej po stronie osób oceniających. Mimo to, właśnie dlatego może dochodzić do uzurpacji ideologicznej i przypisania sobie przez środowisko dziennikarskie prawa do wystawiania cenzur moralnych. Dlatego tak ważne jest spojrzenie na etyczność dziennikarstwa przez ludzi z zewnątrz: medioznawców, politologów, etyków, czy po prostu odbiorców, którzy mogą dostrzec to, co umyka z pola widzenia profesjonalnym (lub nieprofesjonalnym) dziennikarzom. Dlatego warto czytać literaturę medioznawczą. Na najbliższy czas polecam *Media i dziennikarstwo* Jacka Dąbały.

MARK PALCZEWSKI

Lewicowo-liberalna narracja

Z Wiktorem Świetlikiem o rankingu wolności prasy rozmawia Błażej Torański.

Błażej Torański: Nie wiesz przypadkiem, jak wygląda wolność prasy na Malcie i w Mauritiusie?

Wiktor Świetlik: Nie, ale domyślałam się, że na Malcie musi być z tym w miarę przyzwyczajenie. Ostatecznie to demokratyczny kraj, więc nie widzę powodu dlaczego miałyby tam być źle. Malta ma populację zbliżoną do Radomia i Szczecina, więc przypuszczam, że rozwój rynku medialnego nie jest tam zbyt duży i uzależniony od nadawców zewnętrznych. A czemu o to pytasz?

Bo w najnowszym rankingu wolności prasy World Press Freedom Index Reporterów Bez Granic Polska spadła z 18 na 47 miejsce. Przed nami Malta, za nami Mauritius. Dobre towarzystwo?

Malta jest chyba jeszcze w miarę dobrym. Ale ciekaw jestem, jakich mierników używają Reporterzy Bez Granic, żeby zbadać system medialny i wolność słowa w kraju najbardziej znanych na świecie znaczków pocztowych, czyli w Mauritiusie.

Ciekawsze, jak badali w Polsce, skoro zdegradowali nas o 29 pozycji.

Spadek znaczący, jak mawiali komentatorzy sportowi w najgorszych czasach naszej reprezentacji w piłce nożnej. Obawiam się, że w tym przypadku bardziej winni, aniżeli polskie media, są sami Reporterzy Bez Granic i ich metodologia.

Spektakularny, jak powiadają spadek, uzasadniają tym, że w Polsce „ultra-konserwatywny rząd przejął media publiczne”. Wspomnieli też o repolonizacji mediów.

Reporterzy Bez Granic bardzo mocno wpisują się w narrację, wedle której każdy rząd konserwatywny będzie opresyjny, zmierzający ku faszyzmowi, a rząd liberalno-lewicowy będzie prowolnościowy. Na tym, jak przypuszczam, polega ten miernik. Podkreślę, że Malta, z którą jesteśmy w Unii Europejskiej, była do niedawna – jak na warunki europejskie – dość konserwatywnym krajem. Zapewne genderowe reformy dziś tam wprowadzane poprawiają jej pozycję i we wspomnianym rankingu wolności słowa. Ale, mówiąc poważnie, myślę, że nie bez winy jest polski rząd i media konserwatywne, które pozwoliły narrację tego, co się dzieje w Polsce zagarnąć sympatykom Platformy Obywatelskiej i jej akolitom,



FOT. © WOJCIECH KUSIŃSKI / PR

Sławomirowi Sierakowskiemu czy Tomaszowi Lisowi.

W te same dzwony bije Towarzystwo Dziennikarskie, które zapowiedziało bojkot konsultacji w sprawie ustawy medialnej. Twierdzą, że Prawo i Sprawiedliwość „zdeprawowało media publiczne, zamieniając je w narzędzie nachalnej rządowej propagandy”.

To też trochę wynika z gamoniowości strony konserwatywnej. Choć nie chodzi tylko o przekaz. Mam wiele zastrzeżeń do tego, co PiS robi w obszarze mediów i wolności słowa, tylko że nie widzę zmian na gorsze wobec tego, co z mediami robiła Platforma Obywatelska.

Jakie masz zastrzeżenia? Najwięcej emocji wzbudzają zmiany kadrowe. Towarzystwo Dziennikarskie wymienia na liście 127 nazwisk dziennikarzy radia i telewizji, ofiar, jak twierdzą, „dobrej zmiany”.

Mamy dwa rodzaje zmian. Jedna – polityczna. Takie przetasowania następują zawsze po zmianie ekipy rządzącej radiem i telewizją. Dwór Juliusza Brauna wymiatał w telewizji publicznej wszystkich dziennikarzy, którzy mieli krytyczny stosunek do Donalda Tuska. Za rządów PiS częściowo wyczyszczono tych, którzy wspierali propagandowo PO. Nie pochwalam tego, ale tak jest w mediach publicznych w Polsce od 25 lat. Druga kwestia dotyczy przerostów

Wiktor Świetlik – rocznik 1978.

Dziennikarz, publicysta, felietonista. Publikował między innymi w „Nowym Państwie”, „Wprost”, „BusinessWeek Polska”, „Gazecie Polskiej”, „Filmie”, „Playboyu”, „Fakcie” i „Polska The Times”. Jest stałym felietonistą „Super Expressu”, „wSieci” i portalu sdp.pl. Współpracuje z TVP Historia (program „Ex Libris”) oraz z TVP Info („W tyle wizji”). Autor książki: *Bronisław Komorowski. Pierwsza niezależna biografia*. Od 2009 roku dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP.

personalnych w radiu i telewizji. Redukcja zatrudnienia jest tam konieczna. Pytanie, jak to zrobić.

Zarząd Juliusza Brauna oddał w jasyr agencji pracy tymczasowej LeasingTeam w lipcu 2014 roku 411 etatowych pracowników TVP – dziennikarzy, montażyistów, grafików, charakteryzatorów.

Do tego trzeba doliczyć dziennikarzy i pracowników technicznych, którzy nie zgodzili się na przejście do LeasingTeam. Ekipa PO z Juliuszem Braunem, aby uniknąć kosztownych odpraw w wyniku zwolnień grupowych potraktowała tych ludzi jak śmieci, nadużywając przepisów prawa pracy. Dokonali większej manipulacji, aniżeli jakakolwiek korporacja w Polsce. Nie spotkało się to z żadnym protestem

ze strony Krajowej Rady Radiofonii, Jan Dworak konsekwentnie milczał, ani Towarzystwa Dziennikarskiego, ani Reporterów Bez Granic. Ci ostatni plasowali Polskę w tym samym rankingu wolności prasy wysoko, chociaż służby specjalne robiły najazd na redakcję tygodnika „Wprost” za „taśmy prawdy”.

Zatrzymano też i aresztowano dziennikarzy spełniających swe obowiązki służbowe w Państwowej Komisji Wyborczej. Protest Reporterów Bez Granic nie był wtedy skuteczny.

To jest kolejne potwierdzenie tej tezy, że ranking Reporterów Bez Granic jest niemiarodajny i wpisuje się w lewicową narrację. Rząd konserwatywny jest według niej niehumanitarny i opresyjny. Nie zmienia to faktu, że PiS silnie powinien dążyć do przestrzegania standardów zapewnienia rzeczywistej wolności słowa. A niestety wiele wskazuje na to, że obecny rząd jest kolejnym, który nie zlikwiduje w Kodeksie karnym skandalicznego art. 212. PiS nie robi niczego strasznego w porównaniu do działań swoich politycznych poprzedników, ale często wchodzi w ich buty. I to jest bardzo, bardzo poważny zarzut.

Na mapie rankingu wolności prasy Reporterzy Bez Granic białym kolorem zaznaczyli Niemcy, co oznacza „good situation”. Czy rzeczywiście Niemcy są metrem z Sèvres w tym zakresie? Po tragicznym Sylwestrze w Kolonii, gdzie doszło do prób gwałtów, molestowania i kradzieży, dwa kanały telewizji publicznej ZDF i ARD przez trzy dni milczały.

Sytuacja mediów w Niemczech przypomina mi stary kawał. Rosjanin za czasów sowieckich dowodził Amerykaninowi, że mają wolność słowa. Amerykanin mówił: „U nas media mogą się śmiać z naszego prezydenta”. Rosjanin na to: „Nasze media też mogą się śmiać z waszego prezydenta”. Chciałbym sobie wyobrazić, aby któraś z opiniotwórczych niemieckich gazet lub telewizji żartowała sobie z Angeli Merkel tak, jak czyniły to z prezydenta Turcji, Recepca Erdogana. Dziennikarz niemieckiej telewizji publicznej ZDF Jan Böhmmermann w programie „Neo Magazin Royal” wygłosił rymszotkowy wiersz o tym, jak prącie Erdogana „cuchnie kebabem”. Stawiam butelkę szampana, jeśli któryś z kolegów, niemieckich dziennikarzy pokaże mi podobny żart z Merkel, w którymś z ogólnoniemieckich, liczących się mediów.

A ja stawiam szampana, jak Niemcy za miliony euro sprzedadzą obcym biznesmenom „Der Spiegel” lub „Die Welt”. Niemcy nie sprzedadzą ich za żadne pieniądze.

Oczywiście, że nie sprzedadzą.

Rozmawiał BŁAŻEJ TORAŃSKI

Niechlujny jak dziennikarz

Koledzy po fachu protestują przeciwko zapowiedzianym przez Kancelarię Sejmu wytycznymi, jak ubrani powinni przychodzić do parlamentu dziennikarze. Moim zdaniem, reguły dotyczące tzw. dress code’u są niezbędne, bo zwłaszcza fotoreporterzy dawno zapomnieli, co to znaczy schludny czy elegancki strój.

Moja mama na widok dziennikarzy paradujących po sejmowych korytarzach w krótkich gaciach lub trzeciej świeżości spodniach od dresu wykrzyknęłaby: „Wygładasz jak ósme dziecko dozorcy!”. Tyle że wielu przedstawicieli mediów naprawdę uważa, że „w branży odzieżowej” wszystko im wolno, zatem koszulka na ramiączkach ukazująca owłosioną pierś czy zwały tłuszczu nadaje się na międzynarodową konferencję, sejmowe seminarium czy wywiad w gabinecie ministra. Czasy, gdy nosiło się dzinsowe koszule lub rozciągnięte swetry to już zamierzchła przeszłość. Dziś w dziedzinie „medialnej mody” jest znacznie gorzej.

Niedawno wstyd mi było za przedstawiciela tej samej profesji, gdy ten – w jaskrawych, sfatygowanych tenisówkach i dresowych spodniach z krokiem na wysokości kolan paradował w trakcie konferencji w Krakowie przed nosem wiceszefa NATO i innych bardzo eleganckich gości. Ów fotoreporter miał też tłuste, długie włosy i sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą wyszedł z siłowni i nie zdążył wejść pod prysznic. Rzecz jasna, nie czuł się skrępowany.

Inna scenka, także z Krakowa – oficjalna konferencja, poświęcona przygotowaniom do Światowych Dni Młodzieży. Na sali duchowni, politycy, ministrowie. A za kamerą „modna” dama w stroju kojarzącym się z przedwojenną ukraińską dojarką z czworaków po całodniowej harówce. Przeźroczysta, pognieciona koszula z bardzo głębokim dekoltem; równie wymięte spodnie poniżej. Fryzura z cyklu: „czeszę się raz w tygodniu”. Pewnie oburzyłaby się, gdyby usłyszała, że przygotowywane teraz wytyczne dla kobiet to noszenie „marynarek ze spódnicą lub spodniami, bluzek i sukienek”, a dla mężczyzn – „marynarki, spodnie i garnitury”. Wszystkie stroje w stonowanych kolorach.

Byłabym skłonna podzielić wątpliwości dźwigających czasem kilogramy sprzętu

reporterów co do proponowanych reguł stroju, gdyby nie to, że część przedstawicieli mediów dawno zapomniała, że można się ubrać i wygodnie, i schludnie. Paradowanie w rozciągniętych gaciach w niezidentyfikowanym kolorze to nie zawodowa konieczność, to niechlujstwo i żenada. Choć jedna porządna koszula i dyżurna luźna marynarka przydałaby się każdemu dziennikarzowi. Mówienie o tym, że pewna nonszalancja reprezentacji mediów w Sejmie to już tradycja (Piotr Semka) byłoby do przyjęcia, gdyby o jakiś luz z pewną klasą chodziło. Tymczasem coraz częściej jest to strój przywdziany w myśl reguły: „ubrałem się w com tam miał”. A że mam tylko dres i wściekle pomarańczową koszulkę z dekoltem do pępka...

Zgadzam się natomiast z wątpliwościami Jacka Czarneckiego z Radia Zet, który docieka, czy podobne zasady będą obowiązywały także posłów. I oni bowiem czasem na mównicę sejmową wychodzą w stroju mocno niedbałym. Parlamentarzyści też powinni *dress code* stosować. Bo i oni nie zawsze świecą dobrym przykładem. Nic dziwnego, nie wynosimy wiedzy o elegancji ze szkoły, niektórzy nie wynoszą jej z domów, nie mają więc oporów, by wybrać raczej przetarty T-shirt niż krawat i garnitur.

Pewnie, świat się od tego nie zawali, a głosowanie w Sejmie nie zostanie odwołane. Czy jednak przyzwoite odzienie na pewno tak mocno gryzie lub doskwiera? Naprawdę, wiele medialnych i politycznych kształtów lepiej prezentuje się w eleganckim opakowaniu. A ci, którzy tak mocno cierpią z racji sugerowanych stonowanych kolorów i dobrze skrojonych ubrań, powinni może kręcić prebitki czy przeprowadzać wywiady na bazarze, a nie w parlamencie. Bo widzowie też lubią popatrzeć na dobrze ubranych ludzi. Inaczej się ich ogląda i słucha.

EWA ŁOŚIŃSKA

Sąd zamiast polemiki

Nieoceniony jest wkład w nasze życie społeczne, kulturalne, polityczne i publiczne redakcji „Gazety Wyborczej” i osobiście Adama Michnika. Licząc wszystkie wytoczone procesy sądowe innym dziennikarzom i politykom czy innym redakcjom, niewątpliwie Adam Michnik i jego gazeta byłiby na pierwszym miejscu wśród wszystkich środków społecznego przekazu w Polsce w ostatnich latach, a może w całej powojennej rzeczywistości.

Najbardziej spektakularny wyrok zapadł w sprawie przeciwko emerytowanemu profesorowi PAN, znanemu poecie i pisarzowi Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi (onegdaj wyróżnionemu nagrodą Nike, przyznawaną przez... „Gazetę Wyborczą”), który w wywiadzie dla „Gazety Polskiej” powiedział, że redaktorzy „Gazety Wyborczej” to „duchowi spadkobiercy Komunistycznej Partii Polski”. Za te słowa poeta został skazany na zapłacenie 5 tys. złotych na cele społeczne i zamieszczenie przeprosin. Kiedyś, gdy ktoś różnił się w ocenach, to pisał artykuł polemiczny, dziś często dziennikarze straszą innych dziennikarzy pozwami sądowymi i długoletnimi procesami.

Adam Michnik i jego gazeta na ławie sądowej osiągnęli wiele niezaprzeczalnych sukcesów. Wygranie procesów z IPN, z Andrzejem Zybertowiczem, Jarosławem Gowinem, Romanem Giertychem, Tomaszem Sakiewiczem, Jerzym Targalskim, Robertem Krasowskim to niewątpliwie powód do chwały. Z Rafałem Ziemkiewiczem doszło do ugody, ale drugi proces mu wytoczony felietonista jednak wygrał. Został oskarżony za użycie sformułowania, że „Gazeta Wyborcza” przy pomocy „usłużnych, rozgrzanych sędziów terroryzuje swoich oponentów”. Ta wygrana Ziemkiewicza zrodziła jakąś nadzieję, że jednak w Polsce jest możliwość prowadzenia prasowych polemik z „Gazetą Wyborczą”, że jest możliwość stosowania porównań i pisania tego, co faktycznie się sądzi. Pokrywa ochronna nad „Gazetą Wyborczą” i Adamem Michnikiem jakby zrobiła się dużo cieńsza, choć trzeba pamiętać o wyroku sądowym, w którym w pisemnym uzasadnieniu napisano: „negatywne treści na temat Adama Michnika redaktora naczelnego Gazety Wyborczej oraz wydawcy gazety Agora S. A. są sprzeczne z zasadami współżycia społecznego”. Tak ogłosiła w pisemnym uzasadnieniu wyroku sędzia Agnieszka Matlak w roku 2005 w rozprawie prze-

ciwko dawnemu dziennikarzowi „Gazety Wyborczej” Stanisławowi Rymuszcze. Byłem zdziwiony, że przeciwko temu uzasadnieniu nie wystąpił ze sprzeciwem rzecznik praw obywatelskich, bo okazuje się, że w Polsce są według sądów równi i równiejsi, a Adam Michnik jest osobą szczególnie uprzywilejowaną i chronioną przed wszelką krytyką, bo to czyniąc pogwałca się zasady „współżycia społecznego”. I gdzie tu równość każdego obywatelka Polski wobec prawa, skoro Michnik ma prawa szczególne, według pani sędziny... krytykować go nie można.

Zacietrzewienie ideologiczne czasami prowadzi rzeczywiście do naruszenia dóbr osobistych. Jacek Żakowski wygrał proces z Wydawnictwem Fronda. Poszło o książkę *Resortowe dzieci*, gdzie umieszczono jego zdjęcie na okładce sugerując, że pochodzi z tzw. resortowej rodziny. Wydawca ma zapłacić 50 tys. złotych odszkodowania i zamieścić stosowne sprostowania. Tu nie było apelacji od wyroku. Sprawa była zbyt ewidentna, a troje autorów książki, albo też wydawca, rzeczywiście popełnili błąd, dając taką okładkę. Okładka ma przyciągnąć czytelników. Czasami trwa walka, która redakcja bardziej przyłoży drugiej redakcji dając kontrowersyjną okładkę. Efekt rywalizacji często kończy się w sądzie. Właśnie Tomasz Lis wygrał proces z redakcją „wSieci”. Ukazano go tam na okładce w mundurze nazisty trzymającego różaniec. Lis domagał się 250 tys. odszkodowania, otrzymał 20 tys. złotych, choć redakcja „wSieci” zapowiada apelację od wyroku.

Tomasz Lis kieruje redakcją „Newsweeka”, która także przegrywa sądowe procesy. Po pięciu latach zakończył się proces o odmowę zamieszczenia sprostowania. Otóż w roku 2011 „Newsweek” zamieścił publikację w negatywnym świetle przedstawiającą działalność Opus Dei w Polsce. Napisano, że organizacja działa niejawnie i prowadzi sieć szkół w naszym kraju. To oczywiście jest nieprawdą, bo Opus Dei nie prowadzi szkół w Polsce,

a jego działalność jest jawna i każdy po spełnieniu pewnych warunków może do tej organizacji wstąpić. Sprawa trafiła nawet do Sądu Najwyższego, gdzie redakcja „Newsweeka” złożyła apelację. Bezskutecznie. Nakłada to na nią obowiązek wydrukowania sprostowania. I po co było wydatkowanie tyłu pieniędzy na sądy, tylko dlatego, że redakcja nie chciała się przyznać do dziennikarskiego błędu, bo chciała trwać w upowszechnianiu spiskowej teorii dziejów, że Opus Dei, to w Polsce ukryta siła polityczna Kościoła katolickiego? W kwietniu tego roku Sąd Apelacyjny nakazał „Newsweekowi” opublikowanie przeprosin dla Portu Lotniczego Gdańsk Spółka z o. o. za artykuł „Tam gdzie ląduje Tusk” opublikowany w roku 2012, gdzie insynuowano pod adresem syna byłego premiera. Jak widać procesowanie jest długotrwałe i kosztowne, ale czasami przynosi efekty, gdy redakcja opiera się z zamieszczeniem stosownego sprostowania.

Często procesy sądowe są – patrząc z boku – nawet trochę humorystyczne. Oto Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny „Gazety Polskiej” wygrał proces z pewnym prawnikiem. Otóż pan mecenas domagał się opublikowania anonimowego sprostowania. Tygodnik miał przeprosić prawnika, nie ujawniając kogo te przeprosiny dotyczą. Czegoś takiego do tej pory nie było, bo prawo prasowe jasno mówi, że nierozłącznym elementem sprostowania jest nazwisko osoby, której ono dotyczy. Sprawę mecenas przegrał i w Sądzie Okręgowym w Warszawie, jak i w Sądzie Apelacyjnym. Ale ta sytuacja najlepiej okazuje, jak niektórzy prawnicy uważają, że za sprawą sądów, mogą zamknąć usta prasie.

Dziś nie tylko prawnicy wytaczają procesy sądowe redakcjom. Uczyniła to także policja występując przeciwko redakcji „Do Rzeczy”. Policja poczuła się obrażona sposobem przedstawiania w prasie jej działań. Sprawę redakcja wygrała, choć rodzi się tu pytanie: jakie są granice krytyki osób

i instytucji publicznych? Po drugie, czy droga sądowa jest najlepsza w rozstrzygnięciu tego typu zagadnień. Każda instytucja ma swojego rzecznika prasowego, który zawsze może odpowiedzieć na publikację prasową lub napisać sprostowanie. Na tekst pisany – tak uważam – najlepiej odpowiedzieć drugim tekstem. Przeraża mnie jednak to, jak wiele mamy obecnie procesów sądowych między poszczególnymi redakcjami czy dziennikarzami. Czy nie świadczy to najlepiej o tym, że upadł pewien etos zawodu, że prowadzimy coraz bardziej wzajemną wojnę (obojętnie jakimi metodami), a nie prowadzimy normalnej dyskusji, dialogu i kulturalnego sporu. Część mediów, a nawet ich większość, oprócz spełniania roli informacyjnej, wypełnia polityczne zadania. I stąd tyle emocji, stąd tyle też sądowych spraw pomiędzy ludźmi jednego zawodu, czyli dziennikarzami.

Rozpoczęta onegdaj przez „Gazetę Wyborczą” praktyka pozywania innych dziennikarzy niestety się rozpowszechniła. Nie uważam tego za coś dobrego. Obecnie trwa dalej proces Kamila Durczoka przeciwko redakcji „Wprost”. Domagał się 7 milionów odszkodowania, co oznaczałoby bankructwo tygodnika. Otrzymał 500 tys. złotych, choć „Wprost” zapowiedziało apelację. Trwa drugi proces przeciwko tej redakcji z pozwu Durczoka. Tu nie chodziło o poglądy, a opis zachowań, więc tu proces miał trochę inny wymiar, chodziło o staranność i prawdziwość opisywanych zdarzeń.

Na słowo drukowane najlepiej odpowiadać słowem drukowanym, a nie pozwem sądowym. To przesłanie adresuję także do posłanki Iwony Arent, która sądzi się z Adamem J. Sochą za artykuł opublikowany na portalu „Debaty”. Dziennikarz nie wykazał się subtelnością, ale polityk musi mieć grubą skórę. Nawet gdy jest kobietą.

JAN ROSŁAN

Zapraszamy do odwiedzenia portalu...
www.pogotowiediennikarskie.pl



Sprawa z diabłem

Sądząc z argumentów, jakie padają w debacie publicznej, łatwo można w Polsce odnaleźć biesy. Oczywiście nie te, które opisywał pewien epileptyk, tylko nasze swojskie, skrojone na przasną głowę.

Tak więc dwa naczelne biesy Rzeczpospolitej: Adam Michnik i Jarosław Kaczyński. Niepodległościowa część komentatorów diabła upatruje w osobie naczelnego „Gazety Wyborczej”, lewicowa grupa w podobnej roli sytuuje Jarosława Kaczyńskiego.

Diabeł ma jednak tą niepokojącą właściwość, że reguły nie jest tam, gdzie się go spodziewamy.

A polskie rozważania są już tak zaściankowe i mdłe, że nawet temat: „biesy” nie budzą w nich większego porwywu wyobraźni. Ot, tacy sobie dwaj człowieczkowie, zniechęceni przez swoich przeciwników, ale żeby od razu dorysowywać im ogony i kozi zarost...

Powiedzmy sobie szczerze, że jeśli takie postaci będziemy ustawiać jako diabły wcielone, to znaczy, że po mleczne ząbki tkwimy ciągle w światowej piaskownicy. Nie lubię Michnika, ale bies z niego taki, jak z kawalera Pochronia w *Dziejach grzechu*, a przypisywanie Jarosławowi Kaczyńskiemu cech demonicznych na kilometr zalatuje złą wolą, boć człowiek to z natury dobrotliwy, no może odrobinę zbyt podejrzliwy wobec otoczenia, ale i powodów ku temu ma tysiące. Skoro jednak wyegzorcyzmowaliśmy nasze, polskie biesy, to może warto ulec pokusie i sprawdzić kóż to w świecie bardziej nadawałby się do tej roli.

Diabeł nie jest tam, gdzie nasz rozum spodziewa się go zastać. Pojawia się w rejonach zgola nieoczekiwanych i przybiera postaci, których nigdy nie posądzilibyśmy nawet o kontakt z piekielną siarką. Diabłem wcielonym nie jest więc pewnie al-Baghdadi, ani nawet Asad, nie jest nim Kim Dżong Un, szatańskiej genealogii nie dopatrywałbym się też u Putina, Obamy, Erdogana, pani Merkel, ani nawet u francuskiego pampuszka Hollande... choć przy nim odrobinę bym się jednak zastanowił.

Szatan pojawia się tam, gdzie czujemy się spokojni i bezpieczni, pojawia się w mieszczańskim wygodnym ciepłku – w „życiu przyzwoitym”.

Kiedy żołnierze wpadli do bunkra Adolfa Hitlera byli rozczarowani, ujrzeni bowiem niewielkie truchło, prawie nic. I to miał być diabeł wcielony?

Podobne wrażenia przeżywali lekarze dokonujący ostatnich czynności przy „zimnych nóżkach” Stalina.

To może diablisko jest w gwiazdorze pop, w celebrycie, w płomiennym telewizyjnym kaznodziei?

Może zagnieździł się we łbie któregoś z Rotszyldów, albo przynajmniej Sorosa, kieruje Trumpem, Clintonową...

Próżne wysiłki moi Drodzy, szukacie dla siebie wygodnego alibi, czegoś co rozgrzeszy was z umysłowego i duchowego lenistwa, nieostrożności, ośpienia uwagi. Nie szukajcie szatana w Madonnie, czy nawet w tym durniu Nergalu, bo to tylko odpustowe gusła. Czy uważacie, że on jest tak prosty, naiwny, że posiada tak mało subtelne środki wyrazu?

O nie, nie jestem ani tak głupi, ani tak pyszny, aby stwierdzić, że wiem gdzie go można odnaleźć!

Szukam go po świecie od dłuższego czasu. Nie z fascynacji, czy też z jakiejś faustowskiej pokusy. Po prostu naiwnie wierzę w to, że w każdych czasach można go wskazać i tym samym ustrzec wielu przed popadaniem w jego sidła. To wiara naiwna i nieco megalomańska. No, ale człowiek stworzony jednak jest i z tą lekką nutą megalomanii, która pozwala mu myśleć o swoim dobrym Stwórcy. Skoro jednak porwałem się na nazwanie czorta jego właściwym dziś imieniem, to powiem, że kryje się on w słowie, w myśli i wszystkim tym, co sprawia, że dzisiejszy człowiek prawie nie wierzy już w jego istnienie. To sztuczka, która najlepiej mu się chyba udało.

On jest dziś: demokracją (jeśli nie służy ona wyższym wartościom), działalnością charytatywną (jeśli prowadzi ona do kreowania żywych świętości), noszeniem kościelnych purpur (jeśli napawają one zadowoleniem chwilowego tragarza). On jest dziś sukcesem (jeśli nie służy on prawie losu najbiedniejszych).

Diabeł może być nawet wcielony we mnie, jeśli z tego skromnego tekściku nie popłynie żadna refleksja czytelnika. Czuję zresztą... jak zaciekawiony zagląda mi przez ramię.

WITOLD GADOWSKI

Inteligencja i wykształciuchy

Podstawowa definicja inteligencji to grupa, która obejmuje osoby charakteryzujące się podobnym usytuowaniem w strukturze społecznej ze względu na zawód i posiadanie wyższego wykształcenia.

Za prekursorów inteligencji w Polsce uważa się trzy grupy zawodowe: tzw. „mędrków piśmiennych” – zajmowali się jakąś formą pracy literackiej, nauczycieli wykształconych w seminariach założonych przez Komisję Edukacji Narodowej oraz urzędników.

Józef Chałasiński widział powstanie tej grupy społecznej w kontekście degradacji średniej i biednej szlachty – tzw. „wysadzonych z siodła”.

Pomocną w powstawaniu tej grupy była magnateria polska, która oprócz skłonności do kosmopolityzmu widziała też potrzebę związków z bliższym – polskim – otoczeniem. Dowodem na to jest powstała w 1. połowie XVIII wieku Biblioteka Załuskich. Posiadała 400 tys. woluminów; na marginesie – dziś nadal znajdują się w Rosji pomimo podpisania 95 lat temu traktatu ryskiego...

Upadek niepodległego państwa nałożył na osoby świadome zagrożeń zadania związane z obroną narodu. Już w 1800 roku powstaje w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Na emigracji tworzone też placówki kulturalne, naukowe i samokształceniowe. W różnych okresach XIX wieku inteligencja kształcona była na uniwersytetach w Warszawie, Wilnie i Krakowie.

W „Przywiślańskim Kraju” prawie wszystkie drogi kariery były zamknięte i dlatego podstawą bytu dużej części inteligencji były niepaństwowe placówki oświatowe lub kółka samokształceniowe. Warszawscy pozytywści uczynią się sędziami wad narodowych, polskiego zacofania i niewiedzy. Niepodległość – jako postulat – dla nich nie istniał, odsuwali ten temat w daleką przyszłość. Atakowali również Kościół katolicki, dla nich to niewykształcony Ciemnogród winny odwiecznego zacofania Polaków w stosunku do oświeconych – protestanckich – narodów Europy. Bolesław Prus w 1906 roku pisał: „Ludzie chodzili do kościoła jak na widowisko, modlili się jak tybetańskie młynki, pocieszali się, że spowiedź załatwia wszystkie nieformalności życiowe, nienawidzili innowierców i sceptyków, a od Pana Boga żądali, aby załatwił wszystkie ich potrzeby rodzinne, higieniczne, ekonomiczne i polityczne. Pan Bóg miał obowiązek dawać nam zdrowie

i majątek, na Pana Boga liczono, że się postara o wolność dla wybranego narodu”. W kontekście tych poglądów zasadne jest postawienie pytania, czy Lalka Bolesława Prusa była antypolską powieścią?

W autonomicznej Galicji najchętniej robiono karierę urzędniczą lub nauczycielską, funkcjonowała tam też Akademia Umiejętności. Zjawiska pauperyzacji szlachty, emancypacji kobiet i asymilacji Żydów zasilają grupy inteligencji zawodowej. *Teka Stańczyka*, tym razem z konserwatywnych pozycji, też zwalczała romantyzm, mesjanizm i szaleństwa powstańcze. Powstała nawet cała szkoła historyczna, która miała przekonać zwiększającą się gwałtownie liczbę inteligentów, że to sami Polacy winni są upadku I Rzeczypospolitej – nie zaborcy! Nie ma chyba lepszego przykładu – no chyba, że współczesna nam debata o tym, czym był PRL – wykorzystywania historii do aktualnych celów politycznych. Dogadując się z Austrią konserwatyści krakowscy oszczędzili Kościół katolicki.

Rodziły się nowe pokolenia, które nie chciały trwać i czekać przysłowiowego millennium na odzyskanie suwerenności. Socjalistów i nacjonalistów jednoczył przeciwko pozytywistom i konserwatystom naczelną cel – niepodległość. Nacjoniści odrzucali tradycję tolerancji narodowej i religijnej, okcydentalizm i kopiowanie z Zachodu idei liberalnych. Szczególnie obawiali się wpływu na Polaków, tak powszechnego w ówczesnej inteligencji rosyjskiej, nihilizmu i wyraźnych tam wtedy skłonności samobójczych wobec własnego państwa. Roman Dmowski wprowadził termin „półpolacy”, zarzucał inteligencji nienarodowy sposób myślenia. To ona chciałaby przewodzić narodowi a jest bierna, niezdolna do refleksji i do czynu, nawet duchowo obca swojemu narodowi. Wynikać to miało z silnej tradycji szlacheckiej i romantycznej, obcych żywiołów przenikających do inteligencji, niepolskich pomysłów ze Wschodu i Zachodu. Pamiętajmy, że Dmowski z pochodzenia był mieszczaninem i w 1904 roku pisał: „Zbyt słabo związani ze społeczeństwem, nie dość rozwinięci moralnie, żeby interes publiczny, interes społeczeństwa, do którego należą, za swój uznać i bronić jak swego [...] zamiast bliskiego, konkretnego społeczeństwa, stawiają sobie na ołtarzu oderwaną ludzkość z jej niepochwytymi prawami i interesami, zamiast realnej wartości – fikcję, która nic w życiu nie

zawadza, bo do niczego nie zobowiązuje”. Socjaliści i narodowcy organizowali różne formy tajnego nauczania docierając do młodzieży i grup dotychczas niewykształconych-przeważającą liczbę uczestników Uniwersytetu Latającego stanowiły kobiety, w tym chemiczka Maria Skłodowska (później Curie).

Rewolucja – a raczej kolejne powstanie 1904-1908, od wydarzeń na Placu Grzybowskim do napadu na pociąg w Bezdanach – była bolesnym doświadczeniem dla kolejnego pokolenia polskich patriotów. Zaostrzyła się debata, powiększyły podziały. Bolesnie odczuł to ówczesny guru laickiej inteligencji Stanisław Brzozowski – znalazł się na opublikowanej przez socjalistów liście agentów Ochrany. Temat winy Brzozowskiego trwale podzielił polską inteligencję. W ówczesnych kawiarniach nie tylko pito kawę i czytano gazety, ale przede wszystkim wymieniano poglądy, o czym wiedziały powstające też już liczne służby specjalne. Wtedy wyrosła formacja laickiej i lewicowej inteligencji tak obecnej w życiu intelektualnym Polski w XX wieku, a obecnie nazywana salonem warszawsko-krakowskim.

I wojna światowa to epopeja Legionów Piłsudskiego, 53 proc. ochotników tej formacji to młodzi inteligenci z Galicji i zaboru rosyjskiego. Ci – jak ich nazywano – szaleńcy rzucili na stos swoją ofiarę, która rozpałała niepodległość. Zrealizował się testament Słowackiego żeby ci, co przed narodem niosą oświaty kaganiec, w razie potrzeby gotowi byli iść na śmierć, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec. Zrealizowała się romantyczna wizja społecznej misji ludzi wysoko wykształconych.

Rok 1918 dla polskiej inteligencji to chwila triumfu i realizacja wielkiej, wielopokoleniowej, idei. Kultura inteligencji stała się oficjalną kulturą narodową popieraną przez odrodzone państwo polskie. Inteligencja popierała myśl państwową Piłsudskiego, nawet po zamachu majowym. Chociaż trudno sobie to wyobrazić – podziały w społeczeństwie były wtedy dużo większe niż obecnie. Prawica miała na początku „rząd dusz” – w Sejmie Ustawodawczym 46 proc., ale już za dekadę tylko 8 proc. Odrodzenie nacjonalizmu nastąpi w okresie Wielkiego Kryzysu, dotyczyć to będzie szczególnie młodzieży. Liczna inteligencja dzieli się na coraz bardziej wyspecjalizowane kategorie. W tym okresie dołącza do polskiej inteligencji dość liczna inteligencja pochodzenia żydowskiego.

Sukcesy gospodarcze tej epoki to zasługa takich mężów stanu wśród elit politycznych, jak Władysław Grabski czy Eugeniusz Kwiatkowski. Pomysł na dywersyfikację naszej gospodarki, uwolnienie się od schematu pośrednictwa: Wschód – Zachód, i przejście na wzmocnienie państwa poprzez kierunek: Północ – Południe, stworzenie jednoci gospodarczej Polski po wieku podziałów, budowa największego portu nad Bałtykiem, COP – wypełniają treścią gospodarczy faktor niepodległości. Pod koniec dwudziestolecia międzywojennego było w Polsce około 100 tys. ludzi z wyższym wykształceniem.

W okresie II wojny światowej obaj okupanci wymordowali około 50 proc. polskiej inteligencji. Symbolicznie Katyń i Akcja AB zostały przeprowadzone przez Rosjan i Niemców niemal jednocześnie. Powstanie Warszawskie 1944 roku dopełniło Golgotę polskiej inteligencji. Kolejnym skutkiem II wojny światowej było narodowościowe ujednolicenie polskiej inteligencji. Powstała obok niej z czasem – realizująca zadania inteligencji – masy wykształciuchów. Nie będą ich już interesowały takie wartości jak patriotyzm czy służba społeczna.

Komuniści tworzyli zastępy własnej „inteligencji” na wzór modelu sowieckiego. Zaczęli od aparatu represji, wojska i sądownictwa rekrutując kandydatów ze środowisk robotniczych i chłopskich. Zasada „nie matura lecz chęć szczerą z ciebie oficera” wsparta została o kursy posługiwania się nożem i widelcem – co złośliwie wspominał nawet gen. Wojciech Jaruzelski pochodzący przecież z ziemiańskiej rodziny. Rodzą się takie pojęcia jak „półinteligent”, „ćwierćinteligent” czy „inteligent w pierwszym pokoleniu” niezający żadnego języka obcego, no może trochę rosyjski.

W tym zderzeniu nowego ze starym wygra jednak klasyczny model inteligenta, utrzymano związki kultury polskiej z Zachodem. Zaznaczają się jednak głębokie różnice w masie inteligentkiej. Powstaną korporacje branżowo-zawodowe, do których wejdą odpowiednie grupy inteligencji. W 1970 roku osób z wyższym wykształceniem było w PRL-u około 600 tys., a w 1988 aż 1,8 mln. Elita polityczna władzy w „Polsce Ludowej”, inaczej jak w II RP, była jednak poza inteligencją.

Charakterystyczne, że łącznikiem pomiędzy II RP – PRL – III RP dla wielu intelligen-

tów jest piewca „syncyzy” a nie Ojczyzny – Witold Gombrowicz. Środowisko tak opiniotwórczego w czasach Polski Ludowej „Znaku” i „Tygodnika Powszechnego” to typowi pozytywiści. To oni stanęli na czele irredenty młodych z lat 80. XX wieku.

W 2007 roku spore grupy dziennikarzy i naukowców próbowały stanąć ponad prawem i nie poddawać się lustracji swojego (?) państwa. Dziś bronią specyficznie rozumianej demokracji. Nie chcą tu też szerzej dotknąć wstydlwego problemu jakości współczesnego wykształcenia. Jedną z anegdot tłumaczy co oznacza słowo kłamstwo: Stopień równy – kłamstwo, stopień wyższy – duże kłamstwo, stopień najwyższy – ...statystyka! Według spisu powszechnego z 2011 roku w Polsce wykształcenie wyższe posiada 17,5 proc. obywateli. Ilu spośród nich to inteligencja, a ilu to wykształciuchy?

HENRYK FALKOWSKI

Przy opracowaniu korzystano z publikacji: *Inteligencja w Polsce. Specjaliści, twórcy, klerkowie, klasa średnia?*, pod redakcją Henryka Domańskiego, Warszawa 2008.

Biblioteka „Debaty” Na północ od Warszawy

Historia nie jest własnością jej uczestników. Historię piszą centra, wielkie ośrodki, stolice, ale historia przydarza się również peryferiom. Nie jest przez to mniej ważna, chociaż na ogół pozostaje niedostrzeżona. Pozostanie taka na pewno, jeśli nie zostanie spisana – tak rozpoczyna Mariusz Tomasz Korejwo swoją najnowszą książkę zatytułowaną *Na północ od Warszawy* (Olsztyn 2016, ss. 512), dodając: Na Warmii i Mazurach po 1945 roku nic się nie działo. „Nie” to bardzo wiele, zważywszy trzy już powojenne pokolenia ludzi, którzy najpierw musieli tu przyjechać, później odnaleźć swoje miejsce na „odzyskanej” ziemi, a potem jeszcze przeżyć całą epokę Polski Ludowej. I o tym jest ta książka.

Na ponad 500 stronach historyk, pracownik Archiwum Państwowego w Olsztynie, zebrał w całość owoc swoich publicystycznych refleksji z zakresu najnowszej historii regionu określonego tytułem „na północ od Warszawy”...

Prawie wszystkie teksty mogą być znane czytelnikom regionalnych i dość niszowych czasopism, jak miesięcznik regionalny „Debata”, rocznik UWM „Echa Przeszłości”, „Komunikaty Warmińsko-Mazurskie”, „Mrągowskie Studia Humanistyczne” czy kwartalnik Stowarzyszenia Archiwistów Polskich „Archiwista Polski”, gdyż na la-

mach tych czasopism już były drukowane. Zebrał je w jednej publikacji nie jest jednak przedruk w czystej postaci. Dr Korejwo uczynił ten wysiłek i każdy z tekstów uzupełnił, bądź poprawił, w porównaniu z pierwodrukiem, przyjmując zasadę, że zawsze można stworzyć materiał lepszy i bogatszy. Co zatem znajdziemy na kolejnych stronach książki?

W części pierwszej książki – szkice historyczne, szkice i materiały źródłowe wraz z ich omówieniem. Gros stanowią teksty dotyczące zagadnień lub wydarzeń, których opis w historiografii polskiej nie istnieje, bądź co najwyżej występuje w postaci lakonicznych wzmianek. Czytelnik znajdzie m. in. takie kwestie, jak: „Zanim powstały PGR-y. Rzecz o Państwowych Nieruchomościach Ziemińskich”, „Akcja fotografowania ludności wsi warmińskiej”, „Sprawa Słowikowa – Piwońskiego. Przyczynek do wydarzeń Marca 1968 roku w województwie olsztyńskim”, „Moralność socjalistyczna. Scenariusze obrzędów świątecznych”, „PRON w województwie olsztyńskim”, „Olsztyńska prasa regionalna na przełomie lat 70. i 80.



XX wieku”. Wyjątkiem w tej części jest artykuł o olsztyńskim Październiku '56, który – jak zaznacza autor „został pomyślany jako konsolidacja naszej (historyków i czytelników prac historycznych) wiedzy o tamtych wydarzeniach, ich przypomnienie”.

W części drugiej Mariusz T. Korejwo pomieścił kilka esejów, z których każdy stanowi próbę uchwycenia sensu poznawania przeszłości oraz jej wykorzystania jako narzędzia zrozumienia współczesności („Kłopoty z Zachodem”, „Partia [ma problem] z Narodem. Miniejes o Polsce jaruzelskiej”, „4 czerwca 1989 roku jako «przełom dziejowy»”, „Postrewizjonistyczna wizja wolnej Polski. Esej o nieodpowiedzialności”). Tę część publikacji zamyka tekst „Hindenburg w Olsztynie. Dumka z okazji rocznicy wybuchu Wielkiej Wojny”. Teksty, pomieszczone w książce, uzupełnia ciekawy materiał ilustracyjny ukazujący realia opisywanych wydarzeń.

Książka *Na północ od Warszawy* wydana przez „Fundację Debata”, przy finansowym wsparciu Archiwum Państwowego w Olsztynie, ukazała się w ramach serii: Biblioteka „Debaty”. IRENEUSZ ST. BRUSKI

„Intertwined” Yumi Ito



„Intertwined” (2016, Unitrecords) to debiutancki album artystki z Bazylei – Yumi Ito, zawierający interpretacje jazzowych standardów. Wspominamy na naszych łamach z dwóch względów: dobrej jakości jazzu i samej artystki, która pochodzi z polsko-japońskiej rodziny muzyków.

Album Yumi Ito jest na wskroś jazzowy, utrzymany w ramach tzw. standardu, powstał w październiku 2014 roku w londyńskim Master Chord Studio. Na płycie znalazło się osiem utworów: „Cheek To Cheek”, „You’d Be So Nice To Come Home To”, „The Nearness Of You”, „My Man’s Gone Now”, „But Not For Me”, „My Romance”, „When I Fall In Love” i „Always And Forever”. W nagraniu wraz z Yumi (vocal) uczestniczyli Gabriel Dalvit – saksofon altowy, Yves Theiler – klawisze i Yuri Goloubev – kontrabas.

– Artystka wykazuje się dobrym timingiem, wyczuciem melodii oraz niewątpliwym talentem wokalnym – podkreśla Mateusz Kołodziej z Axum Arts Polska. – O sile utrzymanej w mocno kameralnym klimacie płyty z pewnością stanowi również nieobecność perkusji. Cały ciężar rytmiki spoczywa w tym wypadku na kontrbasie, który doskonale wywiązuje się z powierzzonego mu zadania. Zabieg ten podkreśla intymną atmosferę materiału, dodatkowo uwydatniając walory wokalne Ito.

Yumi Ito urodziła się w 1990 roku w Bazylei. Zadebiutowała w wieku ośmiu lat grą na fortepianie z Orkiestrą Kameralną w Zurychu w tamtejszej Tonhalle. Od 13 roku życia studiowała śpiew klasyczny pod kierunkiem swojej matki – Margo Cadias (Dowgielewicz), pochodzącej z Olsztyna. Następnie brała lekcje m. in. u Lisette Spinnler, Gretchen Parlato, Theo Bleckmanna, Becca Stevensa, Boba Stoloffa i Bobby McFerrina. W 2015 roku Yumi ukończyła studia w Hochschule der Künste w Zurychu i Hochschule für Musik w Bazylei (Jazz Campus).

ANDRZEJ SZTUMSKI

Koncert to rozmowa z człowiekiem

Ze Stanisławą
Celińską rozmawia
Monika Szczygło.

Monika Szczygło: Miałam przyjemność być na Pani koncercie, który odbył się w czasie Elbląskiej Wiosny Teatralnej. Przyznam szczerze, że dawno nie byłam na takim wydarzeniu. Publiczność otrzymuje od Pani ogromną dawkę energii.

Stanisława Celińska: To zależy od publiczności. Elbląg jest po pierwsze pięknym miastem i samo to nastraja mnie optymistycznie. Ma się świadomość, że jest się w wyjątkowym miejscu. Tutejszy Teatr im. Aleksandra Sewruka, którego swoją drogą miałam przyjemność poznać osobiście także ma niezwykłą atmosferę. Czuje się to od momentu wejścia do budynku. Na dodatek jest tu właśnie cudowna publiczność. Dlatego nie tylko ja dałam im energię, ale wzięłam ją także od nich, aby dalej móc śpiewać i grać.

Będąc na tym koncercie zauważyłam, że żyjemy jakby w dwóch światach. Jeden z nich jest bardzo szybki, bezrefleksyjny, drugi natomiast spokojny,

tęskniący za refleksją. Właśnie ten drugi tu odnalazłam. Świadczy to o tym, że w dalszym ciągu jest w nas zapotrzebowanie na dobre, mądre słowo.

Tak... ta tęsknota narasta. Kiedy w 2009 roku śpiewałam „Atramentową rumbę” w Opolu czułam, że wzrasta zainteresowanie tego rodzaju muzyką. To była tęsknota za spokojem, za nutą nostalgii, ale też za sposobem bardzo prostego i szczerzego przekazu. Minęło kilka lat zanim przygotowaliśmy całą płytę wraz z Maciejem Muraszko. Czas mijał, hałas narastał i zagrożenie na świecie również. W 2015 roku „Atramentowa”, od razu po premierze, wywołała istny szal. W tym momencie pokryła się już platyną, a za chwilę będzie nią podwójnie pokryta. Nie spodziewaliśmy się, że wywoła aż takie zainteresowanie. Okazało się, że to zapotrzebowanie, o którym Pani mówi jest niezwykle. Po koncertach ludzie przychodzą do mnie ze łzami w oczach. Mają potrzebę rozmowy, podzielenia się swoimi troskami czy myślami. Często nie mają po prostu komu tego opowiedzieć, bo rodzina nie ma czasu, bo jest taka polityka, a nie inna. Nagle znajdują we mnie, i w moich pieśniach,



Stanisława Celińska odbiera platynową płytę za krążek „Atramentowa”, Muzyczne Studio Polskiego Radia im. Agnieszki Osieckiej, 6 września 2015. FOT. © W. KUSIŃSKI / POLSKIE RADIO



FOT. © WBF / GWIAZDOSFERA.PL

rozmówcę do tych poważnych tematów, które w nim drzemia.

Ze sceny mówiła Pani o Wojciechu Młynarskim, z którym jest Pani w stałym kontakcie. Niestety, niewielu mamy tak wybitnych tekściarzy i narasta obawa o to, co będzie dalej...?

Tak, obawa o to, kto przejmie tę pałeczkę? Jest to naprawdę niepokojące. Ja sama z tego wszystkiego zaczęłam pisać. Namówił mnie do tego Maciej Muraszkowski i okazało się, że nawet nieźle mi to idzie. Od dłuższego czasu to we mnie drzemało i w końcu się obudziło, a na dodatek zaczęło owocować. Mam tylko nadzieję, że moje teksty pocieszają ludzi i dają im nadzieję.

Doskonale znamy Panią z kreacji aktorskich w teatrach i filmach. Jakie znaczenie zatem ma muzyka w Pani życiu?

Jest to naprawdę cudowna przygoda. Zostałam w tym momencie całą resztą zajęta. Nie jestem na etacie w żadnym teatrze. Odmówiłam również gry w kilku filmach. Podczas koncertów krzewię „Atramentową” i śpiewam ją w różnych miejscach w Polsce. W serialu „Barwy szczęścia” gram bardzo ciekawą postać – Amelię. Gram także w spektaklu pt. „Grace i Gloria” wraz z Lucyną Malec. Jest to przedstawienie mówiące o kobiecie, która nie potrafi czytać ani pisać, i na dodatek jest umierająca. Przychodzi do niej z hospicjum młoda kobieta, która się nią opiekuje. Jednak sztuka nie

jest wbrew pozorom smutna. Niesie nadzieję i wspiera widza. Okazuje się, że obie wzajemnie się potrzebują.

Powróć do tematu muzycznego. Czy Pani kiedykolwiek szkoliła swój głos?

Tak, miało to miejsce przed egzaminami do szkoły teatralnej. Uczyłam się również śpiewu u wybitnej przedwojennej śpiewaczki – profesor Wandy Werwińskiej oraz u profesor Wandy Warpechowskiej. Pobierałam także lekcje nauki gry na fortepianie. Muzykę mam także w genach, gdyż mama była skrzypaczką, a ojciec pianistą.

Widać, że między Panią a muzykami na scenie jest niezwykła chemia. Co ceni Pani sobie w kontakcie z drugim człowiekiem?

Najważniejszy jest temat, z którym wchodzi się na scenę. Często jest on we mnie, ale zdarza się, że jest także w muzyce. Najważniejsze jest to, aby go nie zabrudzić. Bardzo cenię i szanuję swoich muzyków. Siła koncertu tkwi w tym, ile osób jest w danym momencie na scenie, a jest tam zazwyczaj wiele osób. Rzadko się zdarza, aby ktoś jeździł z aż tak dużym zespołem. Najważniejsze jest to, aby poziom każdego koncertu był wysoki, zatem staramy się robić wszystko, aby go utrzymać.

Rozmawiamy o Pani twórczości, ale teraz odwróć pytanie i zapytam: czyja twórczość przez lata przyciągała, bądź przyciąga, Pani ucho i Pani serce?

Kiedy byłam młodą osobą, moim wzorem i idolką była Ewa Demarczyk. Był nim również Bułat Okudźawa, który kiedyś przyjechał do nas na Przegląd Piosenki Aktorskiej. Okazało się, że jego utwory nie są wcale takie proste do interpretacji, a poza tym forma jego wyrazu była zawsze niezwykle skromna. Pomimo to ludzie zawsze byli oczarowani jego występami. Zawsze uderzała mnie prostota jego przekazu. Zachwyliła mnie również Cesaria Evora. Urzekł mnie fakt, że kobieta w pewnym wieku staje na scenie boso i po prostu magicznie śpiewa.

Od lat najważniejszą jest dla mnie ta prawda, której całe życie poszukiwałam i którą staram się łapać. Jeżeli jestem na scenie muszę stworzyć taki czas i takie spotkanie, które mogłoby trwać w nieskończoność. Bardzo często wytwarza się poczucie mówiące o tym, że to mogłoby trwać całe wieki, a my byśmy tak dalej siedzieli. Następuje taki rodzaj spotkania, który powoduje, że zapominamy o hałasie, o pędzącym czasie. Wtedy po prostu jesteście, myślimy, śmiejemy się, płaczemy... Dlatego uważam, że trzeba śpiewać sercem i trzeba skontaktować się z tymi sercami, które siedzą na widowni. Trzeba ich poczuć w sobie. To jest ważne, aby oni też się dobrze czuli.

Bardzo dziękuję Pani za rozmowę.

Dziękuję i życzę wszystkiego dobrego.

Rozmawiała MONIKA SZCZYGŁO

Mariusz Korejwo – historia to nie jest zbieranie znaczków

Andrzej Zb. Brzozowski: Archiwum Państwowe to dla historyka chyba wymarzone miejsce pracy?

Mariusz T. Korejwo: Właśnie dlatego tam pracuję. Jeżeli chcę się zajmować historią, to muszę być przede wszystkim blisko źródeł historycznych. Moje miejsce w tej instytucji jest absolutnie przemyślane. Jestem kierownikiem Oddziału Nadzoru, jest to taka komórka, która funkcjonuje na zewnątrz archiwum. Jeżdżąc po terenie staramy się znaleźć materiały godne tego, aby je przechowywać na wieczność.

Na jakiej zasadzie trafiają materiały do Archiwum Państwowego?

Pokrótce rzecz ujmując, kanały są dwa. Pierwszy jest bardzo mocno określony w sensie legislacyjnym, ustawiający instytucje państwowe i samorządowe, generalnie te, które funkcjonują za pieniądze publiczne. Archiwa państwowe sprawują nad nimi nadzór i kontrolę, w wyniku czego część informacji przez nie wytwarzanych trafia do zasobów archiwum. Drugi kanał, tworzony przez tzw. niepaństwowy zasób archiwalny, to dokumentacja wytwarzana przez osoby prywatne oraz instytucje, które nie są finansowane z pieniędzy publicznych. Tutaj nasze działanie polega tylko i wyłącznie na zachęcaniu do współpracy, nie ma żadnego nacisku prawnego.

Archiwum Państwowe, to nie jest przecież instytucja nowa, czy jest jeszcze w archiwach coś do odkrycia?

Specjalizuję się w historii najmłodszej, powojennej, i w tym zakresie mogę co-
kolwiek kompetentnie powiedzieć. A do-
świadczenie moje jest takie, że większość
materiałów, które mamy po PRL-u nie
została dotknięta ręką żadnego z badaczy.

Pewne sprawy z biegiem lat, w świetle prawa ulegają przedawnieniu, czy warto do nich wracać?

Istnieje pojęcie tzw. materiału archiwalnego, tj. informacji, która ma być przechowywana wiecznie, nie podlega zniszczeniu. Nasza – archiwistów – praca polega na selekcji, dokonywaniu wyboru dokumentów, które są warte tego, aby je zachować dla przyszłych pokoleń. To samo robili nasi poprzednicy. I tu pojawia się problem, bo wyboru dokonujemy dziś, tymczasem cezura czasu stanowi istotne kryterium: rzeczy, które dwadzieścia, trzydzieści lat temu wydawały się banalne, z dzisiejszego punktu widzenia są interesujące (i odwrotnie).



Czy z faktami można dyskutować, czy jest miejsce na ich interpretację?

Z faktami oczywiście się nie dyskutuje. Nigdy jednak nie będzie takiej sytuacji, że jakiegokolwiek wydarzenie, czy postać zostanie opisane w sposób absolutny, nie pozostawiający miejsca na wątpliwości. Historia to nie jest po prostu opowiadanie o przeszłości. Jeśli na tym poprzestaje, staje się działaniem równie twórczym, jak kolekcjonowanie znaczków. Tymczasem historia, jej rozpoznanie, ofiarowuje narzędzie niezbędne do zrozumienia teraźniejszości i – ewentualnie – wyobrażenia sobie przyszłości.

Dlatego każde pokolenie opisuje historię na nowo. Jest to oczywiście banalne stwierdzenie. Historia dlatego jest żywa, bo my przez pryzmat dzisiaj, możemy po raz kolejny odczytywać przeszłość. I odwrotnie, wydarzenia z przeszłości mogą nam pomóc w zrozumieniu wydarzeń, które dzieją się na naszych oczach. Fakty nie podlegają dyskusji, ale interpretacji już tak.

Mariusz Tomasz Korejwo – doktor nauk humanistycznych, wieloletni pracownik Archiwum Państwowego w Olsztynie, członek Centralnej Komisji Archiwalnej Oceny Dokumentacji. Publicysta, autor kilkudziesięciu publikacji naukowych i popularno-naukowych oraz prac monograficznych. Jego zainteresowania naukowe skupiają się na tematyce historii Polski i dziejów regionu Warmii i Mazur po 1945 roku. Jest laureatem Nagrody Głównej (*ex aequo* z Grzegorzem Linkowskim) w Konkursie im. Seweryna Pieniężnego za rok 2015, organizowanym przez Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. FOT. © IZABELA SKURZYŃSKA

Czuje się Pan fachowcem od historii, struktur i działania PZPR na Warmii i Mazurach, bo taki był właśnie tytuł Pana pracy doktorskiej?

To, że moje zainteresowanie PZPR prze-
rodziło się w pracę doktorską to trochę

przypadek, a głównie zasługa profesora Norberta Kasparka. Historię jako taką zająłem się z potrzeby wewnętrznej, potrzeby zrozumienia tego, co się działo i dzieje dookoła mnie. Doktorat był konsekwencją realizacji owej potrzeby, tytuł naukowy sam w sobie nigdy nie był moim celem. Od kilkunastu lat zajmuję się na wpół profesjonalnie badaniem przeszłości i nieodmiennie towarzyszy mi wrażenie, że nasza historia współczesna, zwłaszcza ta regionalna i lokalna, pozostaje w bardzo dużej mierze nieopisana. Jakby nie podchodzić do zagadnienia, a próbuję robić to z różnych stron, zawsze mi wychodzi to samo: aby ową lukę wypełnić, rozpocząć powinniśmy od tej pracy podstawowej, jaką jest rozpoznanie bytów instytucjonalnych, tj. struktur organizujących życie społeczne. Tymczasem niewiele o tym wiemy, zwłaszcza jeśli chodzi o wiedzę w skali Olsztyna, czy naszego województwa.

To znowu żadne odkrycie, ale odbudowa rodzimej historiografii, która niewątpliwie nastąpiła po roku '90, miała w pierwszym okresie charakter „historii wydarzeniowej”. Zajmowano się głównie wielkimi poruszeniami społecznymi symbolizowanymi przez rok '45, '56, '68, '70... Musiało upłynąć trochę czasu zanim historyków zaczęło interesować to, co się działo pomiędzy owymi wielkimi wydarzeniami. To było trochę takie budowanie domu poczynając od dachu – tak, jak życia nie sposób zamknąć (a na pewno zrozumieć) w kilku efektownych epizodach, tak bałamutny pozostanie obraz przeszłości bez naświetlenia sposobu organizacji życia powszechnego. A właśnie instytucje – mniej lub bardziej formalne – były odpowiedzialne za to jak Polak jadł, mieszkał, pracował, w dużej mierze – co robił, wiedział i o czym myślał.

Czy to jest jedyna w Polsce praca o lokalnych strukturach partyjnych?

Już nie, ale kiedy została opublikowana, była pierwszym w naszym kraju tego typu opisem, tj. dotyczącym regionalnych struktur partyjnych. Mogę mieć tylko nadzieję, że podobnych książek, zajmujących się lokalnymi strukturami partyjnymi, powstanie więcej. Uważam, że bez tego trudno będzie napisać realną historię Polski ostatnich pięćdziesięciu... siedemdziesięciu lat.

Stąd zainteresowanie właśnie tym tematem?

Oczywiście, wybór PZPR jako tematu, nie był przypadkowy. Zdaję sobie sprawę z tego, a podjąłem ten temat kilkanaście lat temu, że partia była osią naszej najnowszej historii. Tu (w PZPR) był początek i przyczyna, nie chcę powiedzieć, że wszystkiego, ale bardzo wielu spraw, które się w kraju działy. Dopóki nie zrozumiemy czym ta partia była, ale partia nie jako byt

polityczny, czy ideologiczny, ale jako mechanizm rządzący się własną, wewnętrzną dynamiką, nie zrozumiemy dlaczego ona taka była i robiła to, co robiła. Badając ustrój wewnętrzny PZPR podjąłem się zadania dosyć żmudnego, wymagającego cierpliwości i uporu. Ale zadania, jak sądzę niezbędnego: stawką było zrozumienie urzędu, który funkcjonował jako nadrzędny nad wszystkim innym.

Czy doczekał się Pan jakichś recenzji ze strony byłych działaczy?

Nie... nie. Takie „recenzje” dotyczyły moich prac i publikacji o mniejszym formacie, które gdzieś tam się ocierały o PZPR. I to nigdy nie były „recenzje” łaskawe, tylko raczej na zasadzie wyzwick pod moim adresem, więc trudno tu mówić o recenzjach. Z drugiej strony, pewien raczej życzliwy mi człowiek, zwrócił mi książkę z grymasem zniechęcenia na twarzy: „myślałem, że tu o k...ch sekretarzy będzie, o wódeczce...”. Więc uprzedzam: praca jest do bólu naukowa, a najbardziej jej sensacyjną część stanowią imienne wykazy członków Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Olsztynie.

Jest pan laureatem Nagrody Głównej w Konkursie im. Seweryna Pieniężnego za rok 2015. Skąd taki wybór tekstów zgłoszonych do Konkursu?

Kryterium wyboru publikacji do Konkursu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich było bardzo proste: najlepsze teksty, jakie napisałem w ubiegłym roku. Selekcji oraz samej decyzji o przystąpieniu do Konkursu dokonałem przy udziale bliskich mi osób, a wszystkie nagrodzone artykuły łączy jedno: stanowią przykład zastosowania owej reguły, według którego historia pomaga zrozumieć współczesność.

W jednym z nagrodzonych tekstów „Postawizjonistyczna wizja wolnej Polski”, cytuję Pan często używany frazes „historię piszą zwycięzcy”. Czy jako historyk zgadza się Pan z takim twierdzeniem?

To jest konstatacja smutna, ale niestety prawdziwa. Tu się czuję poniekąd dłużnikiem Józefa Mackiewicza, którego uważam za największego polskiego pisarza XX wieku. Chyba nie tylko polskiego i nie tylko dlatego, że pisał piękną frazę, ale potrafił dostrzec rzeczy takimi, jakimi one są, co czynił często w opozycji do własnego środowiska.

Prawdziwość owego frazesu potwierdza każda trzeźwa ocena rzeczywistości – również nam współczesnej. Musimy mieć świadomość, iż nie ma żadnej gwarancji, że życie w normalnym, stabilnym kraju, a takim (mimo wszystko) jest dziś Polska, będzie trwało wiecznie, albo chociażby długo. Czasem, jako Polacy, zapominamy, że to jest raptem ćwierć wieku owej względnej normalności. Ostatnia historia Ukrainy pokazuje, że przemoc i wojna są na

wyciągnięcie ręki. Wciąż mnie zaskakuje, że właśnie my, którzy jako naród, jako społeczeństwo, przeżyliśmy parę piekieł w ciągu XX wieku, tak mało nauk wyciągnęliśmy z własnych dziejów. Idzie mi głównie o doświadczenie totalitaryzmu. W moim pojęciu ustroje polityczne, czyli formy organizacji życia ludzkiego, dzielą się na dwa rodzaje. Jedne dążą do tego, żeby powiększać sferę wolności, inne dążą do tego, aby tę sferę wolności ograniczać. Nie chcę tu używać wielkich słów, ale jedynym przykazaniem, które mogłoby obowiązywać jako gwarancja wolności i swobody ludzkiej jest „nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe”. Nie znam lepszej, bardziej uniwersalnej zasady, i cokolwiek piszę, piszę aby ją uzasadnić.

Odrzucając politykę, wielu ludzi tęskni jednak za PRL-em, wyczuwa się taką nostalgię wśród części społeczeństwa, jak Pan myśli, skąd to się bierze?

Sentyment polega na tym, że się odrzuca te wszystkie ciemne rzeczy, które toczą nasze życie. Sito mentalne, uwarunkowane genetycznie, pozwalające na zachowanie dobrego humoru, nadziei na przyszłość i wiary w to, że samo istnienie ma sens, a nasze życie nie było ciągiem nudy, banału i bezcelowości.

Każdy może wspomnieć sobie swoją pierwszą miłość, wczasy w Rabce, oranżadę z torebki. Po prostu, staramy się pamiętać rzeczy przyjemne. Chciałbym być uczciwy wobec siebie: mój czas dorastania to lata osiemdziesiąte. Było mnóstwo zabawy i przyjemnych chwil, ale też świetnie pamiętam, że był to kraj brudny, ponury, a beznadzieja wisiała w powietrzu. Nie ma potrzeby walczyć z peerelowskimi sentymentami, niech sobie będą. Chodzi o to, aby pozostały tam, gdzie ich miejsce – na marginesie wiedzy o Polsce Ludowej.

Jak uczy historia, zwycięzcy mają władzę, ale nie zawsze mają rację i czy dopiero historia może to zweryfikować?

Tu jest gorzej niż można by przypuszczać. Nie ma czegoś takiego, jak prawda absolutna. W każdym bądź razie nie jest ona dostępna historykowi. Sens zajmowania się – nie tylko historią – polega na sporze, zasadzie wymiany racji. W ogniu dyskursu rodzą się myśli, które porządkują świat – dopóki nie zostaną obalone. I tylko tyle. Żołnierze Wyklęci mieli rację. I co z tego – jak powiedział pewien mój znajomy – skoro dali się wymordować? Jak do tego można przyłożyć rację? Co w takim przypadku jest prawdą? Ci ludzie szli do lasu z bronią na zatrącenie. Wiedzieli o tym. Jako historyk jestem powołany do tego, aby komentować, opisywać, a nie do tego, aby dawać recepty. Tak postrzegam swoje zadanie.

→ Ciąg dalszy ze s. 33

Czy oprócz „Debaty” współpracuje Pan regularnie z innymi pismami?

Trudno powiedzieć, że regularnie, ale publikuję w różnych czasopismach naukowych. Zajmuję się również publicystyką daleką od historii, piszę felietony. Ostatnio znacznie rzadziej, gdyż przygotowuję dwie duże rzeczy, które pochłaniają mnie prawie bez reszty. „Debate” jest podstawowym miejscem, gdzie te mniejsze rzeczy umieszczam. Dzieje się tak z prostego powodu. „Debate” daje publikować i to w szerokim pojęciu tego słowa. Nie tylko udostępniając łamy, ale przede wszystkim dlatego, że wokół tego pisma zgromadzili się ludzie, z którymi potrafię się jeżeli nie dogadać, to przynajmniej porozumieć.

Może Pan zdradzić, nad czym Pan obecnie pracuje?

Przygotowuję obecnie dwie książki. Jedna jest już prawie gotowa, to monografia naszego warmińsko-mazurskiego ZBoWiD-u. Drugą stanowić będzie zbiór dokumentów z komentarzem i omówieniem dotyczącym tzw. drugiej repatriacji polskiej ludności z ZSRS, w latach 1955-1961, przygotowywany jako wydawnictwo Archiwum Państwowego w Olsztynie, wysiłkiem zbiorowym nie tylko archiwistów, ale i pracowników Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.

Można powiedzieć, że to tematy niszowe, ale chyba bardzo ważne?

One są niszowe z bardzo prostego powodu. O ZBoWiD-zie po prostu nikt jeszcze nie pisał. W skali ogólnokrajowej jest książka Joanny Wawrzyniak, głównie jednak traktująca o sprawach ideologicznych. Moja książka poświęcona będzie strukturze ZBoWiD, działalności Związku i ludziach, którzy go tworzyli. Druga „repatriacja”, czyli przyjazdy Polaków z ZSRS do kraju, które rozpoczęły się po 1955 roku, też jest tematem niemalże dziewiczym. Dlatego warto to robić.

Do kompletu brakuje chyba jeszcze tylko historii ORMO?

Historyk pisze nie wtedy, kiedy ma pomysły, tylko kiedy dotrze do materiałów. W swojej pracy opieram się w 99 proc. na archiwaliach, rzeczy opublikowane stanowią jedynie uzupełnienie pracy, chociaż uczciwy historyk musi uwzględnić dokonania poprzedników. Zawsze jednak podstawą pracy jest dokument.

Tancerzom życzy się potamania nóg, żeglarzom wody pod kilem, a czego można życzyć historykowi?

W moim wieku... świętego spokoju. I żeby się papirusy nie paliły (śmiech).

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

„Wielka gra” w Telewizji Polskiej była emitowana od 1962 roku przez 44 lata... Pomimo likwidacji teleturnieju dziesięć lat temu, okazało się, że nadal cieszy się on popularnością i estymą. W swoim czasie archiwalne odcinki prezentowała TVP Polonia, od trzech lat są emitowane na TVP Historia, niemało odcinków można znaleźć też w Internecie. W przygotowaniu są też trzy książki na temat „Wielkiej gry”. Obecnie nowe kierownictwo TVP wyraża chęć reaktywacji teleturnieju w TVP2 doceniając jego walory poznawcze i patriotyczne...



O „Wielkiej grze” słów kilka...

Poproszono mnie o nieco impresji na temat teleturnieju „Wielka gra”. Ostatnio coraz głośniejszy słychać o planach przywrócenia tego – jak odważyć się go nazwać – kultowego teleturnieju. Miałem okazję kilkakrotnie wygrać „Wielką grę” i nie kryję, że przez dwadzieścia lat był to dla mnie barwny i fascynujący element życia.

W „Wielkiej grze” przez ponad 40 lat wystąpili zawodnicy z blisko 500 różnych tematów. Były to tematy z historii, historii sztuki, literatury, geografii czy muzyki współczesnej lub klasycznej. Wśród zawodników występowały osoby, które potem osiągały sukcesy na innych płaszczyznach – warto tu wspomnieć prof. Ewę Łętowską, późniejszego wojewodę bydgoskiego Józefa Rogackiego, czy znanego olsztyńianom prof. Selima Chazbijewicza. Podobno też i Waldemar Łysiak próbował swoich sił w „Wielkiej grze”.

Wielkograccze

Zwycięzców „Wielkiej gry” było kilkuset. Zdarzały się podwójne wygrane, niektóre tematy były powtarzane po raz drugi, a niekiedy i trzeci. Niektórym wielkogracczom

udawało się wygrać teleturniej kilkakrotnie, a dwóm rekordzistom Janowi Wolniakowskiemu i Markowi Krukowskiemu nawet kilkunastokrotnie.

Osoby próbujące swoich sił w „Wielkiej grze” były to z reguły osoby oryginalne, o specyficznej filozofii życiowej, ludzie z pasją, ludzie barwni i nietuzinkowi. Ludzie różnych zawodów i o różnych osobowościach. Niektórzy byli skoncentrowani i zamknięci w sobie, inni znów otwarci i towarzyscy. Na eliminacjach wśród kilkuset chętnych często swoich sił próbowała kilkunastoosobowa grupa „recydywistów”... ekonomista z Poznania Janek Wolniakowski, nauczycielka z Kościana Mirka Konik, tramwajarz z Krakowa Zygmunt Krawczuk, nauczycielka z Łodzi Wiesia Kuśmierk, lekarz z Torunia Czarek Kipigroch, leśnik z Wielkopolski Andrzej Ratajczak, doktor matematyki z Politechniki Gdańskiej Mariusz Machnikowski.

Podczas eliminacji z historii starożytnej trudni do przebicia byli „trzej muszkieterowie”: Sławek Wilichowski – kierownik karetki z Łodzi, Jarek Sobczak – sędzia z Pabianic i Janek Osiński – plastyk z Wrocławia. W eliminacjach z tematów

muzycznych prawie zawsze swoich sił próbowała sympatyczna para małżeńska Ossolińskich (Grzegorz wywodzi się z – niegdyś możnowładczego i wielce zasłużonego dla Polski – historycznego rodu herbu Topór), „super-recydywista” Marek Krukowski czy olsztynianie Boguś Ciborowski i Jan Majewski.

„Żelaznym” wielkograczem był właśnie pan Jan Majewski – emerytowany inżynier geodeta, obecnie dziarski 90-latek. Prowadząca „Wielką grę” pani Stanisława Ryster nazywała go „człowiekiem Renesansu”, gdyż startował w tematach literackich, muzycznych, geograficznych i z historii sztuki. Pan Janek w sumie wystąpił na antenie w 27 nagraniach i jest tu rekordzistą – chociaż rekordzistą pechowym, gdyż zaliczył też wiele porażek. Ale wszystkim imponował. I wszyscy go lubili.

To chyba Mirka Konik – nauczycielka z Wielkopolski, jako pierwsza stwierdziła, że uwielbia przyjeżdżać na eliminacje. Po niej wielu innych wielkograczy podkreślało poczucie przyływu nowej energii po kilku godzinach spędzonych na eliminacjach, po rozmowach i wzajemnym oddziaływaniu na siebie ludzi „pozytywnie zakręconych”. Grono takich pasjonatów i oryginałów działało budująco. Po powrocie z eliminacji przez kilka tygodni po (i to bez względu na wynik eliminacji) nie dostrzegali oni szarżyzny, siermiężności, małostkowości... Świat widzieli tylko kolorowy i piękny! Eliminacje „Wielkiej gry” dla wielu były swoistym „ładowaniem akumulatorów”.

Eliminacje

Na jednych z eliminacji byłem świadkiem, gdy do stolika przy którym siedziało trzech zawodników, mających rozwiązywać testy z różnych tematów, podszedł zdenerwowany młody człowiek i hamletowskim tonem spytał: „Małpy i małpiatki?”. Na to usłyszał zdecydowaną odpowiedź jednego z kolegów (też mocno zestresowanego): „Nie, marszałkowie Napoleona”. Dodam, że takie właśnie były tematy eliminacyjne, a przy jednym stoliku mogły siedzieć tylko osoby rozwiązujące testy z różnych tematów.

Na innych eliminacjach, jakieś dwie mocno zestresowane panie, będące po raz pierwszy na eliminacjach, nerwowo wertowały książkę na korytarzu. Spokojny, jak zawsze, Janek Wolniakowski po swoim życzliwym i uspokajającym: „Spokojnie, miłe panie, nie ma się co denerwować”, został ofuknięty przez jedną z nich: „No, co pan? Takie pieniądze!”. Ech, życie, życie... Do kogo ta mowa? Do Janka, zwycięzcy kilkunastu „Wielkich gier”, spokojnego, statecznego, sympatycznego Janka...?

Spotykały nas też sympatyczne dowody uznania. Janek Wolniakowski do jednego

z tematów „Wielkiej gry” zaproszony został podczas odbywania służby wojskowej. Ot, problem! Jak się wyrwać na przepustkę z koszar? Ale, ku jego zdumieniu, dowództwo wyraziło duże zrozumienie: oddelegowano podchorążego Wolniakowskiego do Warszawy, zapewniono zakwaterowanie, wyżywienie i dostęp do Biblioteki Wojskowego Instytutu Historycznego. Ponadto przydzielono mu, podchorążemu, do pomocy jednego z oficerów. W zamian pani redaktor Ryster musiała zapewnić podczas nagrania pewną ilość miejsc dla wojska. Oczywiście w tej sytuacji podchorąży Woźniakowski nie miał innej alternatywy jak tylko wygrać.

Mnie szczególnie zapadły w pamięć wyrazy uznania, które usłyszałem kilka lat temu, podczas przeglądu gwarancyjnego okien w moim mieszkaniu. Sympatyczny szef ekipy dokonującej przeglądu słyszał coś o moich występach w „Wielkiej grze” i z zainteresowaniem dopytywał się o szczegóły. Był pod wrażeniem. W którymś momencie wydał dyspozycję najmłodszemu z ekipy: „Piotrek, skocz do samochodu po klucz impulsowy ósemkę”. Ja na to: „Moment, niech pan Piotr nie leci, zaraz poszukam u siebie”. Szef ekipy jednak nie ustąpił: „Człowiek, który wygrywa «Wielkie gry» nie musi mieć klucza impulsowego ósemki”. I nie pozwolił mi szukać tego klucza. Poczuję się sympatycznie dowartościowany taką formą uznania.

Łowcy nagród?

Wokół kwestii nagrody pieniężnej narosło sporo legend i nieporozumień. Niektórzy robili z nas „łowców nagród” – lecz muszę tu mocno zaprotestować! Wygrana kwota była zawsze sympatycznym dodatkiem do zwycięstwa. Ale my starowaliśmy dla satysfakcji, dla realizacji pasji, z potrzeby sukcesu, dla smaku zwycięstwa... Co prawda był jeden wyjątek, ale uznać go trzeba jako wyjątek potwierdzający regułę – Marek Krukowski nie krył, że utrzymuje się z wygranych teleturniejów. A oprócz kilkunastu „Wielkich gier”, Marek wygrał też kilka innych teleturniejów. Jednak zdecydowana większość z nas, a zapewne i Marek, występowałyby nawet gdyby nagroda była czysto symboliczna, dla samej satysfakcji. Aczkolwiek oczywistym jest, że ten dodatek, w formie godnej nagrody pieniężnej, był naprawdę bardzo sympatyczny.

Jednak „Wielka gra” dla zdecydowanej większości była przede wszystkim piękną przygodą. Także dawała jakąś tam popularność i często zaskakujące wyrazy sympatii. W eliminacje i występy przed kamerą zawodnicy wkładali zawsze dużo serca i pracy – jednak swoją rolę grał też element szczęścia.

Ważną sprawą było staranne przygotowanie, ale nie mniej ważne było podejście z sercem, koncentracja, wiara w swoje siły i wiara w zwycięstwo. Tak, jak w známym filmie, mówi major Hubal (niegdyś olimpijczyk w jeździectwie) grany przez Ryszarda Filipskiego: „Trzeba rzucić serce za przeszkodę”. I to credo bardzo pasuje również do tych, którzy bardzo chcieli zwyciężać w „Wielkiej grze”.

„Rysterka”

Chyba nie przesadzę utożsamiając czy personifikując „Wielką grę” z red. Stanisławą Ryster. Nasza „pani Stasia” czy „Rysterka”, jak ją familiarnie (acz z sympatią i szacunkiem) między sobą nazywaliśmy, porządkowała „naszą bandę” wielkograczy, musiała niekiedy nas dyscyplinować, wzmacniała wątplących, łagodziła zestresowanych. Podczas eliminacji niełatwo było opanować rozgardiasz wynikający z uczestnictwa 300 czy 400 chętnych do rozwiązywania testów. Po eliminacjach, nas „recydywistów” odstawiała nieco w drugi szereg. Musieliśmy być lepsi od nowicjuszy; przy tej samej ilości punktów eliminacyjnych do gry wchodził z reguły nowicjusz. Czuliśmy się tu dyskryminowani. Kiedyś jeden z „recydywistów”, Alfred Zwolski, przekonywał mnie: „Stary, Rysterka lubi nowe twarze, ja zgoliłem brodę. A tobie radzę: zapuść brodę!”.

Udało się pani Ryster pozyskać grono wysokiej klasy ekspertów, w dużej części z tytułami profesorskimi. Mimo, że eksperci zasadniczo trzymali dystans do nas zawodników, to jednak niekiedy dobre słowo po nagraniu też miało swoją wartość. Było mi bardzo miło, gdy po którymś z nagrań, jeden z profesorów sugerował, że powinienem pomyśleć o doktoracie z historii.

W 2007 lub 2008 roku, już po likwidacji „Wielkiej gry”, miałem przyjemność oprowadzać po Olsztynie prof. Tadeusza Paneckiego z małżonką. Zrobiłem to nietypowo, bo oprowadziłem po starym Olsztynie wzdłuż byłych murów miejskich. I odniosłem wrażenie, że ta nietypowa trasa zdobyła uznanie u historyków państwa Paneckich, pomimo że mury miejskie Olsztyna w żaden sposób nie wytrzymują porównania np. z murami miejskimi Dubrownika.

Z wielką estymą spośród ekspertów wspominam nieżyjącego już prof. Tadeusza Nowaka, prof. Michała Klimeckiego, prof. Marka Plewczyńskiego – historyków, czy prof. Stefana Kałuskiego – geografa.

Zarówno pani Ryster, eksperci, zawodnicy, jak i sympatycy teleturnieju pamiętają nieszczęsny dla „Wielkiej gry” rok 2006:

→ Ciąg dalszy ze s. 35

decyzja ówczesnego prezesa TVP o likwidacji „Wielkiej gry” była decyzją bolesną dla milionów widzów. Było niemało interwencji za przywróceniem tego 44-letniego teleturnieju. Próbowaliśmy i my, wielkograccze, walczyć o jego powrót. Założyliśmy nawet Stowarzyszenie Sympatyków Teleturnieju „Wielka gra”. Apelowaliśmy

do „wszystkich świętych”. Po trzech latach „bicia głową w mur” odpuściliśmy.

Dopiero teraz nowe kierownictwo TVP deklaruje powrót „Wielkiej gry” w TVP2 od wiosny 2017 roku. W TVP mają świadomość, że jest to duża praca – w dużej mierze uświadomiła to im pani redaktor Stanisława Ryster podchodząca dość sceptycznie do reaktywacji i sugerująca zachowanie klasycznej formuły tego teleturnieju.

Brak jest w telewizji teleturnieju typowo wiedzowego i to wydaje się mocnym argumentem przemawiającym za jego reaktywacją, gdyż nawet „Jeden z dziesięciu” ma całkiem inne założenia niż „Wielka gra”.

Pozostaje wierzyć w konsekwencję deklaracji kierownictwa Telewizji Polskiej i powrót „Wielkiej gry” na antenę. Bądźmy więc optymistami.

WOJCIECH GOLJAT

„Wielka gra”

Teleturniej „Wielka gra” zaistniał w Telewizji Polskiej w 1962 roku.

Inicjatorem i pierwszym prowadzącym (wspólnie z Joanną Rostocką jako asystentką) był Ryszard Serafinowicz. Scenografia pierwszej wersji teleturnieju była autorstwa inż. arch. Jana Laubego, kierownictwo artystyczne sprawował Ryszard Lindenbergh, realizatorem telewizyjnym był Stanisław Taczanowski, szefami produkcji Ludwik Niemira i Barbara Walusiak.

Od 1969 roku, po emigracji Ryszarda Serafinowicza do Kanady, prowadzenie przejęła Joanna Rostocka, zdjęta z anteny przez prezesa Macieja Szczepańskiego w 1973 roku (miało pójść bodajże o krzyżyk w którym wystąpiła). Kolejnym prowadzącym był Janusz Budzyński, a następnie



Joanna Rostocka – prowadząca „Wielką grę” w latach 1969-1975 FOT. © TVP

Stanisława Ryster (1975-2006). W połowie lat 70. zmieniono scenografię programu. W 2006 roku, za czasów kadencji prezesa Bronisława Wildsteina, zmieniono godzinę emisji „Wielkiej gry” z godzin popołudniowych na przedpołudniowe, a następnie – tłumacząc się niską oglądalnością teleturnieju – zdjęto program z anteny. Ostatni premierowy odcinek w TVP2 wyemitowano 2 września 2006 roku.

Od stycznia do czerwca 2010 roku, w TVP Polonia emitowano w ramach cyklu „Wielka gra na bis” archiwalne wydania teleturnieju wraz z krótką audycją przybliżającą kulisy programu prowadzoną przez Stanisławę Ryster. Od roku 2012 archiwalne odcinki emituje TVP Historia.

ANDRZEJ SZTUMSKI



Ryszard Serafinowicz – pomysłodawca i pierwszy prowadzący „Wielkiej gry” (1962-1969) FOT. © TVP



Jury teleturnieju: prof. Henryk Samsonowicz (z lewej) i prezes Stefan Cichosz oraz prowadząca Joanna Rostocka FOT. © TVP



Stanisława Ryster – twarz „Wielkiej gry” od 1975 roku FOT. © TVP



Publiczność zawsze z napięciem śledziła przebieg rywalizacji FOT. © TVP

Legnica Cantat 47

Rubinową Lutnię zdobyła Warszawa I miejsce wyśpiewał Olsztyn



Wielkim Finałem w Sali Królewskiej Akademii Rycerskiej zakończyła się (28 maja) oficjalna część 47. Ogólnopolskiego Turnieju Chórów „Legnica Cantat 47”. Grand Prix już po raz trzeci zdobył Chór Akademicki Politechniki Warszawskiej pod dyрекcją Dariusza Zimnickiego.

Grand Prix – to Złoty Dyplom, nagroda pieniężna w wysokości 10 tys. złotych, udział w przyszłorocznej edycji Turnieju w charakterze gościa specjalnego, a przede wszystkim Rubinowa Lutnia im. Jerzego Libana. Chór Politechniki Warszawskiej, zgodnie z regulaminem, po zdobyciu Rubinowej Lutni po raz trzeci, przejął ją na własność. Ponadto dyrygentowi Chóru Jury Turnieju, pod przewodnictwem prof. Stanisława Krawczyńskiego, przyznało nagrodę specjalną – zaproszenie do udziału w Jury Ogólnopolskiego Turnieju Chórów „Legnica Cantat 48”.

Natomiast Złoty Dyplom – I miejsce – Nagrodę im. Henryka Karlińskiego oraz nagrodę pieniężną w wysokości 5 tys. złotych, zdobył Chór Dziewczęcy CANTABILE z Olsztyna pod dyрекcją Agaty Wilińskiej. – To dla nas ogromny sukces, bo wygranie „Legnica Cantat” to spełnienie marzeń każdego dyrygenta i chórzysty – stwierdziła po ogłoszeniu werdyktu Jury dyrygentka olsztyńskiego Chóru.

Na kolejnych miejscach uplasowały się: Chór Akademii Morskiej w Szczecinie pod dyрекcją Sylwii Fabiańczyk-Makuch (Złoty Dyplom – II miejsce – Nagroda Prezydenta Miasta Legnicy oraz nagroda pieniężna w wysokości 3 tys. złotych) i Chór Dziewczęcy SKOWRONKI z Poznania pod dyрекcją Alicji Szelugi (Złoty Dyplom – III miejsce – Nagroda Dyrektora Legnickiego Centrum Kultury oraz nagroda pieniężna w wysokości 2 tys. złotych).



Chór Akademicki Politechniki Warszawskiej FOT. © LUBIN.FM

Ponadto Złoty Dyplom otrzymał Akademicki Chór Politechniki Gdańskiej pod dyрекcją Mariusza Mroza, a Dyplomy Srebrne – Rybnicki Chór Kameralny AUTOGRAPH pod dyрекcją Joanny Glenc, Chór Kameralny AXION z Legnicy pod dyрекcją Jarosława Lewkowa, Chór Kameralny LEGE ARTIS z Krakowa pod dyрекcją Agnieszki Treli-Jochymek i Zespół Wokalny OKTOFONIA z Krakowa pod dyрекcją Macieja Koczura. Nagrodę Zarządu Głównego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie, za najlepsze wykonanie utworu kompozytora polskiego, zdobył w bieżącym roku Chór Akademii Morskiej w Szczecinie pod dyрекcją Sylwii Fabiańczyk-Makuch, za utwór Piotra Jańczaka „Ave Maris Stella”.

Tegoroczny Turniej Chórów „Legnica Cantat 47” zainaugurowano koncertem „Historie Miłosne” w kościele ewangelickim Marii Panny w wykonaniu Chóru Kameralnego Akademii Muzycznej w Poznaniu pod dyрекcją Marka Gandeckiego. Tą miłosną opowieść poznaliśmy artyści „opowiedzieli” sięgając do świętych ksiąg, „Księgi Psalmów” i „Pieśni nad Pieśniami”, aż po poezję powstałą w różnym czasie i miejscu, od wysublimowanych motetów po przeboje Gershwin i The Beatles.

W głównym dniu zmagani konkursowych, oprócz przesłuchań w Sali Królewskiej Akademii Rycerskiej, późnym popołudniem chóry prezentowały swoje zdolności w różnych miejscach Legnicy, a wieczorem z koncertem „Obrazy i Parafrazy” w Sali Maneżowej Akademii Rycerskiej wystąpił zespół ProForma z Olsztyna pod dyрекcją Marcina Wawruka. W niedzielę, 29 maja, chóry zapewniały oprawę Mszy św. w legnickich kościołach.

Tegoroczne koncerty konkursowe chórów były otwarte dla publiczności, a ponadto transmitowane na żywo przez Radio Plus Legnica. Transmisja, przeprowadzona w sobotę przez Radio, zarejestrowała aż trzy tysiące wejść. I to nie tylko z Polski, ale z całego świata.

*

Ogólnopolski Turniej Chórów „Legnica Cantat” to jeden z najstarszych i najbardziej prestiżowych konkursów muzyki chóralnej w kraju. Zainicjowany został przez nieżyjącego już legnickiego dyrygenta Henryka Karlińskiego (1922-1975).

Ideą festiwalu jest doskonalenie poziomu wykonawczego amatorskich zespołów chóralnych, popularyzowanie twórczości chóralnej oraz promocja współczesnej literatury chóralnej. Nagrodą główną jest Rubinowa Lutnia im. Jerzego Libana z Legnicy. To trofeum przechodnie. Jednak chór, który zdobędzie ją trzy razy zatrzymuje ją na zawsze. I tak stało się w bieżącym roku.

Poprzedniczkami Rubinowej Lutni były: Brązowa, Srebrna i Złota. Teraz chórzysty zastanawiają się o co będą walczyć od przyszłego sezonu. W kulisach spekuluje się, że tym razem organizator, czyli Legnickie Centrum Kultury, postawi na jeszcze cenniejszy minerał, jakim ma być... diament. Czy tak będzie, zobaczymy już za rok.

ANDRZEJ SZTUMSKI



Chór Dziewczęcy CANTABILE z Olsztyna FOT. © CANTABILE / FACEBOOK

Wstrząsająca pieśń Tatarki na Eurowizji

Z Jamalą rozmawia
Paweł Buszko, korespondent Polskiego
Radia w Kijowie.

Paweł Buszko: Eurowizja to konkurs lekkiej muzyki. Twoja piosenka „1944” taka nie jest. Opowiedz, o czym ona traktuje?

Jamala: Eurowizja to konkurs piosenki rozrywkowej. Tak było zawsze. Jednak uważam, że jeśli człowiek wychodzi na scenę, powinien śpiewać o tym, co go naprawdę niepokoi i czym żyje. Dla niektórych najważniejsza jest miłość, rozbite serce, samotność i takie sprawy. Ja swoją piosenkę napisałam dwa lata temu. Wygrałam ukraińskie eliminacje, to chyba znaczy, że dla Ukraińców ten temat jest również ważny.

„Tysiąc dziewięćset czterdzieści cztery” – chodzi o rok tysiąc dziewięćset czterdzieści czwarty. To historia mojej prababci Nazelchan. W 1944 była ona deportowana z Krymu przez władze sowieckie, podobnie jak niemal wszyscy Tatarzy. Babcię wywieziono z Kuczuk Uzeń – to niewielka wieś na Krymie. Wywieziono ją do Azji Środkowej z pięciorgiem dzieci.

Prababcia opowiadała mi o tym, jak wieziono ich w towarowych wagonach bez jedzenia, bez wody, w zaduchu. Ludzie umierali. Tym mocniejszym, udawało się przeżyć, słabsi po prostu umierali – zwłaszcza dzieci i starcy. Umierali w czasie transportu. Prababcia opowiadała, że trupy wyrzucano z wagonów. Nie zatrzymując pociągu... Jak jakieś śmieci. Najmniejsza córka prababci też umarła.

To osoba prababci mnie natchnęła. W niej była niesamowita siła. Ona wychowała sama na wygnaniu czwórkę synów. I ci synowie wrócili w końcu na Krym. Wrócili do wsi Kuczuk Uzeń w latach dwudziestych. I teraz mój dziadek, który był najmłodszym z synów, mieszka w tej wsi razem z moimi rodzicami.

1944 rok – to data, która zmieniła życie całej mojej rodziny, również moje. Ta trauma, której doświadczyli moi dziadkowie, w jakiś sposób jest również we mnie. To wygnanie. Dzisiaj my – Tatarzy zmagamy się o to, by mieć swoją ziemię, żeby szanowano nasze prawa, traktowano nas jak autochtoniczną ludność.



FOT. © ALBIN OLSSON

Jamala (Сусана Алімівна Джамаладінова), reprezentująca Ukrainę tatarską piosenkarka, zwyciężyła w finale 61. Konkursu Piosenki Eurowizji w Sztokholmie.

„Pokój i miłość dla wszystkich!” – krzyknęła do publiczności po otrzymaniu na scenie statuetki diamentowego mikrofonu.

Piosenkarka, pochodząca z zaanektowanego przez Rosję Krymu, zaśpiewała piosenkę własnego autorstwa pt. „1944”, poświęconą stalinowskiej deportacji jej narodu. Rosja bezskutecznie domagała się dyskwalifikacji tego utworu, skarżąc się na jego polityczny wydźwięk.

Jamala zdobyła w głosowaniu jury oraz widzów łącznie 534 punkty, co oprócz zwycięstwa daje Ukrainie prawo do organizacji przyszłorocznej Eurowizji. Drugie miejsce zajęła artystka z Australii – Dami In (511 punktów), trzecie – Rosjanin Siergiej Łazariew (491 punktów). Polak Michał Szpak zajął ósme miejsce (229 punktów) wśród wykonawców z 26 państw.

Historie podobne do historii Twojej rodziny są chyba udziałem większości rodzin krymskich Tatarów.

To historia całego krymskotatarskiego narodu. Ucierpiali tysiące Tatarów. Ta historia może być zrozumiała również dla Polaków, dla wszystkich, którzy doświadczyli zsyłki, deportacji, represji.

Sowiecka propaganda zrobiła z nas wrogów. Paradoks polega również na tym, że w czasie kiedy deportowano w latach czterdziestych moją prababcie – jej mąż, mój pradziadek, walczył w armii sowieckiej. I zginął na wojnie. Walczył w armii sowieckiej, a w tym samym czasie sowiecka władza deportowała jego żonę i dzieci.

Obecnie mamy do czynienia z powtórką historii? Co się teraz dzieje na Krymie? Jak Ty to oceniasz?

Ja bym nie chciała, żeby ten horror się powtórzył. Jednak wiem, że obecnie na przykład około dwudziestu krymskich Tatarów zaginęło bez wieści. To ci, którzy nie ukrywali swoich poglądów. Mówili głośno, że Krym to Ukraina. Mamy do czynienia z prześladowaniami Tatarów na Krymie ze strony rosyjskich władz. Są to prześladowania za poglądy.

Nie chciałabym dokładnej analogii z tym, co się odbywało w czasach Związku Radzieckiego. A może właśnie dlatego o tym śpiewam, że nie chcę, aby to się powtórzyło. Musimy zrobić wszystko, żeby takie historie się nie powtarzały.

Europa usłyszy Twoją piosenkę. Myślisz, że to przyczyni się do tego, że oczy świata, Zachodu, znów będą skierowane na Krym? Sprawa okupacji półwyspu

już nie zajmuje opinii światowej tak jak wcześniej. O Ukrainie też już zresztą mniej w światowych mediach.

Tak. To już dwa lata aneksji, dwa lata po rewolucji na Majdanie, też dwa lata wojny w Donbasie. To przecież nie tylko Krym. To prawda, wszyscy już się może zmęczyli tematem Ukrainy. Nie chciałabym, żebyśmy utracili uwagę Europejczyków. Chcieliśmy też bardzo szybkich zmian, ale trudno się spodziewać, że stanie się cud i z dnia na dzień wszystko się zmieni.

Mówisz – nasza Ukraina, nasza ukraińska kultura. Kim się właściwie czujesz?

Ukrainką. Wszyscy, którzy mieszkają na Ukrainie, niezależnie od narodowości, to Ukraińcy. Mój ojciec jest Tatarzem, ale mama jest Ormianką. Ukraińska kultura też jest moja, bo to na niej się wychowałam. Przeżywam los mojego kraju.

Nie urodziłaś się na Krymie.

Nie. Urodziłam się w Azji Środkowej – tam gdzie zesłano Tatarów. Ale, jak miałam dziewięć miesięcy, moi rodzice przejechali na Krym.

A jak wspominasz swoje dzieciństwo.

Czy była jakaś wrogość między Tatarami, a innymi mieszkańcami Krymu?

Nie będę jakoś upiększać i mówić, że wszystko było dobrze. Kiedy uczyłam się w szkole, to prawie cały czas odczuwałam taką lekką, ale mimo wszystko – antypatię, niechęć do tego, że Tatarzy wracają na Krym. I kiedy na przykład zdawałam egzaminy do uczelni muzycznej im. Czajkowskiego w Symferopolu – to wtedy radzono mi nawet zmianę nazwiska, żeby nie brzmiało tak z tatarska. Były takie historie. Ale ja jestem raczej pozytywnie nastawiona do świata i wierzę, że nie trzeba się skupiać na takich złych rzeczach. Trzeba iść naprzód i robić wszystko, żeby postrzegali cię nie tylko, jako Tatarkę, Ukrainkę, ale jako dobrego człowieka. To dotyczy nie tylko muzyki. Ukraina musi iść naprzód, nie zważając na to, że jest wojna i cierpienie. To, że śpiewam o traumie z przeszłości nie znaczy, że cierpienia są udziałem tylko mojego narodu. Przecież reprezentanci innych narodów również mogą opowiedzieć podobną historię do tej mojej związanej z rokiem 1944. A z drugiej strony – moja piosenka przedstawia moją życiową osobistą pozycję. Jeśli wiesz skąd pochodzisz, znasz swoje korzenie, szanujesz je, szanujesz historię swojej rodziny, to istnieje większe prawdopodobieństwo, że będziesz szanować innych ludzi.

Na Krymie mieszka twoja rodzina. Kiedy byłaś ostatni raz na Krymie?

Mijają już dwa lata od czasu, kiedy tam nie byłam. Dlaczego? Nie chcę, aby moje imię obecne władze Krymu wykorzystywały w swoich celach. Nie chcę prowokować różnych sytuacji i dlatego nie jeżdżę do domu. Bardzo bym chciała tam być, ale boję się,



FOT. © ALBIN OLSSON

że może się to wiązać z różnymi prowokacjami wobec mojej osoby. Po prostu boję się jechać. Niestety. Wiem na przykład, że niedawno zerwano tablice z krymskotatarską nazwą mojej wsi Kuczuk Uzeń. To bardzo symboliczne. Czego więc mogę się spodziewać przyjeżdżając tam?

Rosjanie kilka miesięcy temu chcieli zablokować Twój występ, bo ich zdaniem piosenka niesie ze sobą polityczne treści.

Na ten temat wypowiedzieli się jednoznacznie organizatorzy Eurowizji, którzy żadnych politycznych treści się w tym nie dopatrzili. Ja to samo twierdziłam od samego początku. Nawet się nie obawiałam, że piosenka z tego powodu może być wycofana z konkursu. Czy zawarty w piosence apel o budowę lepszego świata jest polityką? No, ale coś się nie spodobało w Rosji. I można powiedzieć, że szum związany z rosyjskim protestem spowodował, że piosenka stała się bardziej popularna. Ludzie, którzy do tej pory jej nie słyszeli – szukali jej, aby posłuchać.

Porozmawiajmy o tym, co zobaczymy w Sztokholmie. Podobno szykujesz jakieś wizualizacje w formie 3D?

1944

*When strangers are coming...
They come to your house,
They kill you all
and say,
We're not guilty
not guilty.*

*Where is your mind?
Humanity cries.
You think you are gods.
But everyone dies.
Don't swallow my soul.
Our souls*

*Yaşğıma toyalmadım
Men bu yerde yaşalmadım
Yaşğıma toyalmadım
Men bu yerde yaşalmadım*

*We could build a future
Where people are free
to live and love.
The happiest time.*

*Where is your heart?
Humanity rise.
You think you are gods
But everyone dies.
Don't swallow my soul.
Our souls*

*Yaşğıma toyalmadım
Men bu yerde yaşalmadım
Yaşğıma toyalmadım
Men bu yerde yaşalmadım*

Vatanıma toyalmadım

Jamala

Tak, motywem przewodnim będą drzewo i korzenie – to taki mój osobisty symbol. Wizualizacje 3D wykonała dla mnie ukraińska kompania Front Pictures, która robiła m. in. wizualizacje w amerykańskim „Mam Talent”. Będzie ładna sukienka mam nadzieję...

Wiem, że jest to jeden z ważniejszych tematów, jeśli chodzi o Twój występ. W ukraińskiej prasie trwają dyskusje o tym, w jakiej sukience wystąpisz...

Chciałabym, żeby strój sceniczny był zharmonizowany z moją osobą, żeby mi po prostu nie przeszkadzał na scenie. Jednak to nie ubrania są w tym wszystkim przeciwie najważniejsze. Chciałabym, żeby ludzie zapamiętali bardziej mój głos, aniżeli ubrania.

Jeszcze jedno. Chciałam powiedzieć, że Wy Polacy macie świetnego reprezentanta na tym konkursie. Bardzo mi się podoba piosenka Michała Szpaka. To dobra kompozycja, a sam Michał ma bardzo fajny głos. I dlatego życzę Polsce zwycięstwa.

Rozmawiał PAWEŁ BUSZKO

Kijów, 12 maja 2016

Dylematy polskiego rynku wydawniczo-księgarskiego **cz. 2**

Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa ustanowiony Uchwałą Rady Ministrów w październiku 2015 roku, jak dotychczas przynosi mało widoczne rezultaty. Głównym jego beneficjentem są biblioteki publiczne, które otrzymywać zaczęły spore środki na poprawę infrastruktury. Zabrakło jednakże środków na zakupy nowości wydawniczych, a wskaźnik zakupu liczby nowości przez biblioteki (aktualnie 8 egzemplarzy rocznie na 100 mieszkańców) jest nadal bodajże najniższy w Unii Europejskiej (25 egzemplarzy na 100 mieszkańców). Z owych 8 egzemplarzy rocznie na 100 mieszkańców, 3 egzemplarze finansują bezpośrednio wydawcy i hurtownicy udzielając bibliotekom rabatów sięgających 45 proc., „wyprowadzając” w ten sposób biblioteki z księgarń.

Zresztą wskaźniki spadków czytelnictwa mają też miejsce właśnie w bibliotekach, np. w roku 2004 wskaźnik czytelników na 1 tys. ludności wynosił 197 osób, ale 9 lat później spadł do poziomu 167 osób.

Przypadłości rynku księgarskiego

Za podstawę krzewienia kultury książki i czytelnictwa uznać należy dwie główne instytucje: po pierwsze – rodzinę, po drugie – szkołę. Obydwie instytucje w tym względzie (i nie tylko tym) bardzo słabo, wręcz marnie, spełniają swoje funkcje i obowiązki. I wydaje się, że cały wysiłek wszelkich instytucji i władz powinien być w kwestii czytelnictwa na te instytucje skierowany. Chodzi w gruncie o zawarcie narodowego paktu na rzecz książki i propagowania czytelnictwa. Ponoć powodów do czytania jest dokładnie tyle, ile dobrych książek.

Kolejnym problemem i dylematem jest to, że polskie księgarstwo w ostatnich latach dopadły dwie znamienne przypadłości:

– „wyprowadzenie” z księgarni podręczników szkolnych. Do 2017 roku z księgarni mają „wyjść” w całości podręczniki do szkół podstawowych i gimnazjów – to trzy czwarte rynku podręcznikowego, obsługiwanego dotychczas przez księgarzy,

– z księgarni niemal w całości „wyprowadzone” zostały – za sprawą wydawców i hurtowników – biblioteki publiczne, szkolne i inne. Ten segment rynku (wprawdzie dla całego rynku stosunkowo niewielki – to tylko kilka procent) opanowała część wydawców i kilka dużych hurtowni.

Owe dwie przypadłości to ubytek ponad jednej trzeciej obrotów handlowych księ-



garń. Dla uzupełnienia należy dodać, że w ponad połowie z nich udział podręczników szkolnych w obrotach przekraczał 50 proc. obrotów rocznych.

Tak zwany sezon podręcznikowy (lipiec, sierpień i wrzesień), łącznie z tzw. grudniowym sezonem gwiazdkowym pozwalały funkcjonować księgarni przez pozostałe osiem miesięcy w roku. To się właśnie skończyło i te przypadłości wpłynęły w 90 proc. na dotychczasowe likwidacje księgarni.

I nie chodzi tylko o owe, niejako fizyczne, „wyprowadzenie” z księgarni podręczników i bibliotek. Erozji czy też porwaniu uległy często kilkudziesięcioletnie więzy łączące dotychczas szkoły i biblioteki z księgarzami, wizyty, wymiany poglądów i opinii o książkach, które dla księgarzy były zawsze cennym źródłem wiedzy, budowania swoich kompetencji i relacji.

Konieczność nabycia kompletu podręczników i pomocy szkolnych stwarzała wymóg pójścia ucznia/rodzica – niejednokrotnie po raz pierwszy – do księgarni i „żywego” kontaktu z tym przybytkiem książki i kultury. To miało swoją wartość i było cenne dla obu stron.

Można przyjąć z dość dużą dozą prawdopodobieństwa, że do końca 2017 roku ulegną likwidacji kolejne placówki księgarskie a ich ostateczna liczba oscylować będzie na poziomie 1-1,2 tys. księgarni, co dla polskiego rynku wydawniczo-księgarskiego oznaczać może tylko dalszą jego degradację i pauperyzację czytelnictwa Polaków.

Wojny rabatowe

Kolejną ogromną zmurą rynku wydawniczo-księgarskiego w Polsce są, toczące od wielu lat, tzw. wojny rabatowe, rujnujące w szczególności właśnie księgarnie niezależne. Jaka jest ich istota? Otóż sieci księgarskie oraz niektórzy wydawcy potrafią udzielić

klientom na książki, już na etapie statusu nowości, rabatu w wysokościach sięgających niekiedy nawet 40 proc. ich cen katalogowych (dotyczy to także sprzedaży internetowej). Książka (częstokroć nowość) funkcjonuje na rynku w rozmaitych cenach detalicznych (finalnych), budząc dezorientację klientów, budując w nich przeświadczenia, że książki w księgarniach są drogie itp. skojarzenia.

Nad polskim rynkiem książki wisi jak cień „Amazon”, który jeśli będzie w Polsce otwierać własne, firmowe księgarnie (a ma takie plany), wykończy wielu dystrybutorów i sprzedawców właśnie bardzo wysokimi rabatami i cenami.

Od kilku lat pojawia się – z tendencją nasilającą – otwieranie lub przejmowanie przez wydawców (lub grupy wydawców) własnych księgarni firmowych.

W ten sposób księgarnie artystyczne tworzy Wydawnictwo Bosz z Leska, wydając przepiękne, wysoce profesjonalne książki albumowe, czy krakowskie wydawnictwo Znak, otwierające własne „Księgarnie Autorskie”. Grupa Wydawców pn. „Porozumienie Kultura”, które tworzą m. in. Wydawnictwo Czarna Owca, Helion, Prószyński Media, Publicat, Rebis, Zysk i S-ka, rozwija ogólnopolską sieć księgarni pod szyldem „Book Book”. Grupa ta przejęła placówki m. in. białostockiego i gdańskiego Domu Książki i prowadzi dalej intensywną działalność skupiającą inne księgarnie pod tym szyldem. Aktualnie dysponuje siecią około 90 księgarni. To pierwszy przypadek na polskim rynku, kiedy grupa wydawców zrzeszyła się i przejęła sieć księgarni. To wprawdzie pierwszy przypadek na polskim rynku, ale nie jedyny w Europie, analogiczne modele funkcjonują m. in. w Niemczech i Francji.

O przejmowanie księgarni lub silne ich powiązanie ze sobą, zabiegają intensywnie niektóre duże hurtownie książkowe (WIKR, Azymut, Super Siódemka, Platon i inne).

Wśród ekspertów rynku książki w Polsce coraz częściej słychać opinie, że wiele księgarni ulegnie w najbliższych dwóch latach likwidacji, a pozostałe w dużej części staną się placówkami sieciowymi wydawców lub hurtowników. Procesy konsolidacyjne polskiego księgarstwa są nieuniknione.

Takie działania to pokłosie niskiej mobilności obecnych księgarni (głównie tzw. niezależnych), ich małej aktywności handlowej



nasze księgarnie najbliżej czytelnika...



i promocyjnej, słabej płynności finansowej, niemal całkowitego braku środków finansowych zarówno obrotowych, jak i inwestycyjno-modernizacyjnych.

Polski rynek wydawniczo-księgarski trawi niska rentowność branży, nie pozwalająca na rozwój produkcji, sieci i sprzedaży (w detalu rentowność sprzedaży właściwie nie przekracza 1 proc. obrotu).

Obiekty wielu instytucjonalnych uczestników rynku budzi stosowany głównie przez wydawców i hurtowników system rabatowo-marżowy, preferujący otwarcie znaczące sieci handlowe, np. Matras, EMPIK i inne.

Książka – towarem

Kolejnym problemem rynku staje się poszerzanie książki w coraz większym stopniu jako zwykłego towaru.

Książki w sieciach pozaksięgarskich z reguły składowane są w rozmaitych koszarach – w których klienci grzebią, jak w przysłowiowych kartoflach – i podlegają, jak setki i tysiące innych towarów, agresywnym działaniom rabatowym i wyprzedazowym.

Tworzone przez poszczególne sieci listy bestsellerów okupują często książki wysokonakładowe (np. *50 twarzy Greya*), za to o wątpliwej wartości twórczej, poznawczej i edukacyjno-kulturalnej. Książkom ambitnym, o wysokich walorach poznawczych, bardzo trudno „wejść” na takie listy. Być może warto pokusić się o tworzenie odrębnych list tych książek.

W telewizji emitowanych jest niemal codziennie po kilka polskich seriali, niekiedy o bardzo wysokiej (wielomilionowej) oglądalności, ale książki w tych serialach z reguły nie są widoczne, może poza „Światem według Kiepskich”, w którym to serialu widać na półce książki, gdy serialowy Ferdek sięga po alkohol w segmentowym barku.

Zanika powoli to, co nazywamy etosem książki (ostatnimi chyba bastionami – obrońcami tego etosu – są właśnie bibliotekarze i księgarze, a także wydawcy). Posiadanie biblioteki domowej już nie nobilituje, czytanie książek już nie jest *cool*. Zaczyna coraz bardziej dominować kultura obrazkowa.

Ogromne znaczenie dla rynku książki ma Internet, który w rynku dystrybucji zajmuje czołowe miejsce (36 proc., księgarnie – 35 proc., supermarkety – 15 proc., kioski – 9 proc., pozostali – 5 proc.). Rośnie znaczenie książek elektronicznych (e-booki), a także tzw. książek mówionych – ale to nadal właściwie margines rynku (cała sprzedaż w tych segmentach to tylko kilkadziesiąt mln złotych).

Wielopostaciowość książki tworzy problemy z piractwem i ochroną praw wydawniczych i autorskich. Problemy dotyczą także samego środowiska książki: jego zatamizowanie, brak konsolidacji celów, malejąca wzajemna wrażliwość, pomocniczość i empatia. Ważnym (ale nie ostatnim) dylematem rynku jest to, że księgarze z chwilą transformacji w Polsce przestali być właściwie szkoleni. Praktycznie znikły średnie szkoły księgarskie. Księgarze – właściwie tylko w mikroskali – kształceni byli dotychczas jedynie na Podyplomowych Studiach Polityki Wydawniczej i Księgarstwa na Uniwersytecie Warszawskim.

Zwiastuny „dobrej zmiany”

Oprócz problemów i dylematów na rynku książki pojawiły się zwiastuny „dobrej zmiany”:

– Polska Izba Książki – najbardziej dynamiczna organizacja branżowa – podjęła aktywne działania w sprawie uchwalenia przez sejm ustawy o książce, regulującej, chroniącej i porządkującej – wzorem większości państw europejskich – rynek książki. Projekt ustawy dyskutowany był w komisjach sejmowych, przechodząc wszystkie etapy tej procedury. Jej uchwalenie w roku 2015 przerwały październikowe wybory do Sejmu. Ale można mieć nadzieję, że nowy rząd i nowy sejm (a takie przesłanki realnie istnieją) temat ten na nowo podejmą.

– W październiku 2015 roku, wraz z rozpoczynającym się nowym rokiem akademickim, ruszyły na Uniwersytecie Warszawskim Studia Podyplomowe (roczne) dla księgarzy pod nazwą: Polska Akademia Księgarstwa. Na studiach kształci się ponad 35 księgarzy. Studia te niemal w całości finansowane są ze środków budżetu Państwa. Autor niniejszego artykułu miał zaszczyt pracować nad programem tych studiów, jest też jednym z prowadzących wykłady dla słuchaczy PAK.

– Z inicjatywy Polskiej Izby Książki, przy wsparciu finansowym ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, od 2013 roku realizowany jest projekt badawczy pt. „Kierunki i formy transformacji czytelnictwa w Polsce”. Przeprowadzone badania uwiecznione zostały wydaniem publikacji *Książka w codziennym życiu Polaków*. Warto w tym miejscu dodać, że rokrocznie Biblioteka Narodowa publikuje także informacje o stanie czytelnictwa w Polsce. Owe badania i raporty to niezwykle ważny materiał analityczny, zarówno dla branży wydawniczo-księgarskiej, bibliotecznej, ale

też dla władz i innych decydentów prowadzących lub oddziałujących na politykę kulturalną, prowadzoną w naszym kraju.

– Także z inicjatywy PIK, przy pomocy finansowej Instytutu Książki, utworzona została Ogólnopolska Baza Księgarń, szerokie kompendium wiedzy o każdej niemal księgarni funkcjonującej w kraju.

Coraz większego znaczenia nabiera Światowy Dzień Książki i Praw Autorskich (23 kwietnia). To święto książki weszło już w Polskę w modę i owocuje corocznie tysiącami imprez wspierających książkę i czytelnictwo, z coraz liczniejszym udziałem pisarzy, wydawców, bibliotekarzy i księgarzy z jednej strony, oraz czytelnikami i miłośnikami książek z drugiej. Także Olsztyn mocno „zakotwił” w tym świecie. Książnica Polska, już po raz trzeci z rzędu, zorganizowała „BookFest” – swoisty festiwal książki i czytelnictwa.

– Być może zaczyna „kielkować” decyzja ponownego powrotu do księgarń podręczników szkolnych, co dla księgarzy miałooby kapitalne znaczenie w prowadzeniu swoich biznesów. Zależać to będzie jednakże od decyzji, jakie podejmie Ministerstwo Edukacji Narodowej, a także postawy wydawców edukacyjnych.

Lokalne władze samorządowe (przykładem Kraków i Wrocław) podejmują coraz częściej inicjatywy chroniące działające księgarnie i wspierające je.

Różne inicjatywy, łączące doświadczenia i energię, tworzyć zaczęli sami księgarze. Przykładem Kolektyw Księgarzy Kameralnych w Warszawie, czyli takich, którzy pracują w kameralnych księgarniach. Chodzi o tworzenie nowego, „ciepłego” wizerunku księgarń, jako instytucji kultury.

Wcześniej analogiczną inicjatywę podjęli księgarze wrocławscy tworząc grupę pod nazwą „Wrocławskie Księgarnie”. Dziewięć księgarń postanowiło zrzeszyć się i wspólnie zaważyć o czytelnika.

Świadomość problemów i dylematów, o których mowa, a także „nowinki” na polskim rynku książki, pozwalają wierzyć, że polska książka wyjdzie z impasu, w którym się znalazła. Wzrosną nakłady i czytelnictwo książek. Dobrym przykładem może być hiszpański rynek książki, który przeżywał głęboki kryzys w latach 2008-2013 (sprzedaż książek w Hiszpanii w tym okresie spadła o ponad 40 proc.) i który od 2014 roku zaczął się odradzać, notując ponowne wzrosty sprzedaży i czytelnictwa.



Oferta wydawnicza

Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”

KRS 0000037904

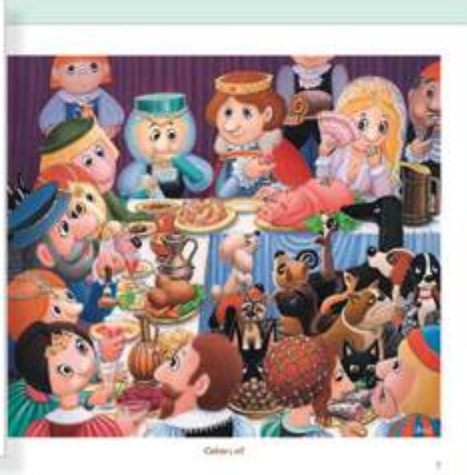
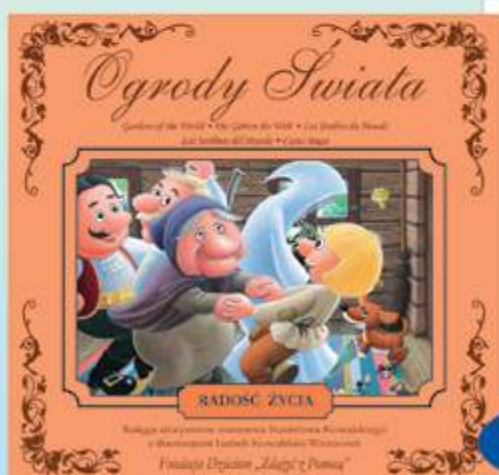


Zamówienia można składać:

- telefonicznie: 881 938 055 lub faksem 22 833 31 00
- przez internet: www.bremo.pl
- e-mailem: sklep@bremo.pl, fundacja@dzieciom.pl
- pocztą: Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”
ul. Łomianańska 5, 01-685 Warszawa

www.dzieciom.pl
sklep internetowy www.bremo.pl

B R E M O
POMAGANIE PRZECZ KUPOWANIE





Gwiazdy czytają dzieciom na Kanapie Literackiej:
Artur Barciś, Lucyna Malec, Ewa Mielnicka, Joanna
Moro i Aneta Todorczuk-Perchuć FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” na Warszawskich Targach Książki

Wielbiele dobrej literatury spotkali się w dniach 19-22 maja 2016 roku na Warszawskich Targach Książki. Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” przedstawiła szeroką ofertę wydawniczą skierowaną do czytelników w każdym wieku. Podczas Targów mogli oni nabyć publikacje po promocyjnej cenie. Dochód ze sprzedaży wydawnictw jest przeznaczony na realizację Programu „Zdążyć z Pomocą”.

Na odwiedzających stoisko Fundacji czekały atrakcje oraz miłe upominki ufundowane przez darczyńców i sponsorów. Obecna na wszystkich fundacyjnych imprezach maskotka Mysza Norka zachęcała dzieci do czytania, wspólnej zabawy oraz integracji z chorymi rówieśnikami.

Gwiazdy czytają dzieciom

Zorganizowane przez Fundację wydanie „Gwiazdy czytają dzieciom” zgromadziło wielu małych miłośników dobrej książki. Usłyszeli oni wiersze i bajki czytane przez Anetę Todorczuk-Perchuć, Lucynę Malec, Joannę Moro, Ewę Mielnicką i Artura Barcisia.

Fundacja zaprezentowała czołowe publikacje autorskie prezesa Stanisława Kowalskiego. Jako adiustator wydał on *Atrybuty życia* – pierwszy tom *Trylogii Platonium* –

zawierające sumę przemyśleń o Bogu, człowieku i sensie życia w kontekście dobra, prawdy i piękna. Stanisław Kowalski jest autorem aforyzmów zebranych w trzech tomach z serii *Ogrody Świata*. Sentencje w kilku wersjach językowych poruszają tematy egzystencjalne. Albumy *Ogrody Świata* zdobną reprodukcje ilustracji Izabeli Kowalskiej-Wieczorek oraz obrazów Sergiusza Grudkowskiego i Stanisława Russa. Prezes Fundacji to także inicjator serii *Twórcy Wizerunku Polski* oraz autor pozycji dla dzieci: *Opowieści dziadunia*, *Opowiadania babuni* oraz *Jak Synek Walentynek szukał rodziców*.

Największą popularnością cieszyły się podczas Targów pięknie ilustrowane książki dla dzieci z audiobookami nagrany przez popularnych polskich artystów. Proza, wierszyki pomocne w terapii logopedycznej oraz ćwiczeniach ortograficznych znalazły wielu

odbiorców. Zaletą tych publikacji są również artystyczne ilustracje Renaty Krześniak i Izabeli Kowalskiej-Wieczorek. Szczególne powodzenie wśród kupujących zdobyły *Baśnie z dalekich zakątków*, *Sum węsaty* i inne logopedyczne tematy, *Szklanka pełna śmiechu* oraz *Kosidutkowe przygody*.

Czytelnicy chętnie sięgali także po inne publikacje, takie jak *Co tkwi w rzodkwi*, *Pary nie do wiary* Urszuli Kozłowskiej oraz *Krówka Mlekówka* i innych rymów słowka Agnieszki Frączek. Na Targach Fundacja zaprezentowała *Przygody na Księżycu* autorstwa Łukasza Skoniecznego – nowość w ofercie dla dzieci. W najbliższych planach wydawnictwa jest publikacja czwartego albumu z serii *Ogrody Świata* pt. *Radość życia*. Przygotowywane są do wydania wkrótce kolejne tomy *Trylogii Platonium*: *Arkana ducha i materii* oraz *Afirmacja miłości i radości życia*.



Dzieci czekają na autograf
Joanny Moro FOT. © FUNDACJA DZIECIOM



Beata Tyszkiewicz, prezydent
Wspólnoty „Zdążyć z Pomocą”,
podpisuje książki na stoisku
Fundacji FOT. © FUNDACJA DZIECIOM



Artur Barciś czyta dzieciom
Basnie z dalekich zakątków
FOT. © FUNDACJA DZIECIOM



Podziękowania od prezesa Zarządu
Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”
– Stanisława Kowalskiego – dla Ewy
Mielnickiej, Joanny Moro i Anety
Todorczuk-Perchuć FOT. © FUNDACJA DZIECIOM



Dzieci czekające na autograf Beaty Tyszkiewicz, prezydent Wspólnoty „Zdążyć z Pomocą”

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Spotkania z twórcami

Fundacja zaprosiła znakomitych twórców. Beata Tyszkiewicz, jako prezydent Wspólnoty „Zdążyć z Pomocą”, gościła na stoisku Fundacji w dniach 20-22 maja. Liczni wielbiciele talentu wybitnej aktorki skorzystali z okazji do sympatycznej rozmowy oraz uzyskania pamiątkowego autografu. „Cenię działalność wydawniczą Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”, od poważnych pozycji do wydań bajek dla dzieci czytanych przez aktorów.

Cieszę się, że również mogłam nagrać dwie pozycje: *Kosidutkowe przygody* oraz *Baśnie z dalekich zakątków*. Poza mną dla Fundacji bajki czytali także Małgosia Kożuchowska, Artur Barciś i inni znani artyści” – mówi Beata Tyszkiewicz.

Aktorka wspierała w przeszłości wybitnie utalentowane dzieci w Fundacji Kultury Polskiej, w której pełniła funkcję prezesa Zarządu. Obecnie zaangażowana jest w pomoc dzieciom chorym, dotkniętym głównie porażeniem mózgowym. „Z wielką radością przyjąłem propozycję współpracy od prezesa Zarządu Fundacji Dzieciom «Zdążyć z Pomocą» – Stanisława Kowalskiego. To było prawdziwe wyzwanie. Najważniejszą rolą Fundacji jest zrzeszanie ludzi dobrej woli w szczytnym celu pomocy potrzebującym. Sprawy Fundacji stały mi się niezmiernie bliskie” – mówi artystka. Zapytana o życiowe cele Beata Tyszkiewicz odpowiada: „Bądźmy czuli na potrzeby innych. Dobroć to najwyższa wartość”.

Na stoisku Fundacji podpisywali swoje publikacje popularni autorzy książek dziecięcych. Agnieszka Frączek to jedna z ulubionych pisarek najmłodszych czytelników. Na co dzień jako doktor habilitowana zajmuje się językoznawstwem oraz

leksykografią w Instytucie Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

„Współpraca z Fundacją od kilkunastu już lat pozwala mi łączyć pasję pisarską z możliwością niesienia pomocy chorym dzieciom. Moją pierwszą książką wydaną w Fundacji w 2006 roku była *Karuzela z wierszykami*. Dodatkową wartością tej publikacji jest audiobook nagrany przez, nieżyjącą już, aktorkę Irenę Kwiatkowską. W swoich książkach staram się czytelnika bawić, skłaniać go do uśmiechu, ale jednocześnie chciałabym w lekkim tonie przekazywać mu wiedzę o polszczyźnie. W pozornie niepoważnych wierszach opowiadałam o całkiem poważnych zagadnieniach językoznawczych” – mówi Agnieszka Frączek. Pisarka planuje wydanie w Fundacji kolejnego zbioru wierszy dla dzieci. Ilustratorką zostanie wielokrotnie nagradzana Renata Krześniak. Książce tej, podobnie jak poprzednim, będzie towarzyszył audiobook czytany przez znanego artystę.

Michał Zaremba to pedagog i społecznik, który opublikował w wydawnictwie Fundacji 11 pozycji – najwięcej spośród wszystkich autorów. „Współpracę z Fundacją rozpocząłem w 1999 roku. Debiutowałem książką *Wiersze z kleksem*. Przez prawie 17 lat mam możliwość – dzięki uprzejmości Fundacji – bawić najmłodszych czytelników i czerpać z tej współpracy ogromną radość. Kontakty z podopiecznymi Fundacji, obserwacja sposobu pracy jej pracowników i problemów, z jakimi się spotykają, nauczyły mnie dużej pokory wobec życia i własnych oczekiwań” – opowiada Michał Zaremba.

*

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” zaprasza wszystkich do swojego sklepu internetowego na stronie www.bremo.pl, w którym można kupić książki, albumy, kalendarze, obrazy i zabawki. Akcja „Pomaganie przez kupowanie” wspiera podopiecznych Fundacji.

ANNA KRYSZCZUK



Autorzy książek dla najmłodszych – Agnieszka Frączek i Michał Zaremba

Świątokradztwo



FOT. © WWW.DIECEZJA.KALISZ.PL

Jest 13 grudnia 1973 roku. Niedawno dostałem pracę w telewizji. Zaprotegował mnie Edward Mikołajczyk, który kompletował „nowych” w redakcji publicystyki Jerzego Ambroziewicza. Po zwolnieniu ludzi Sokorskiego szukano „bojowych” reporterów. A ja, pracując wtedy już osiem lat w „Sztandarze Młodych”, wykonałem kilka śledczych reportaży.

Jestem już żonaty i mamy z Ewą dwie córki. Żyję ostro i pracuję non stop. Mam kilka propozycji pracy – w „Expressie Wieczornym” i „Sportowcu”. Jednak telewizja jest najbardziej kusząca, więc się cieszę. Robotę dostałem.

O godzinie 12 owego dnia dostaję cynk ze straży pożarnej, że w nocy był pożar w kościele św. Mikołaja w Kaliszu przy ulicy Kanonicznej. To najstarszy parafialny kościół w mieście. Słynny z tego, że w ołtarzu znajduje się drogocenny i jedyny w Polsce obraz Rubensa – „Zdjęcie z Krzyża”. Kamery filmowej nie mam, jedynie aparat fotograficzny Pentacon. Dość dobry jak na tamte czasy. Mam też samochód. Jadę.

Pamiętny czwartek w Kaliszu

Na miejscu jestem po dwóch godzinach. Legitymacja prasowa pomaga, pierwszy policjant z kordonu odgradzającego kościół od gromadzących się coraz liczniej kaliszzan przepuszcza. Zatrzymują mnie dopiero pod drzwiami świątyni.

– Czekać. Milicjant wraca z cywilem, który niewyraźnie się przedstawia i wyraźnie dodaje: prokurator.

– Nie wejdziecie do środka. W nocy był pożar. Spłonął cały ołtarz. I to wszystko. Do widzenia.

Cholera! Jeszcze zobaczmy. Przypomina mi się akcja, którą przeprowadziłem niedawno w Pruszkowie. Szukałem tam złodziei w zakładach nowoczesnych obrabiarek sterowanych numerycznie – „1 Maja”. Kradziono tam części i całe podzespoły. Reportaż wówczas zrobiłem. Poznajdowałem kable i silniki u okolicznych chłopów, „Sztandar” to wszystko wydrukowałem, trochę mnie ciągnęło, ale w końcu dostałem nawet nagrodę.

Łążę po mieście. Gdy się ściemniło, jestem znowu pod kościołem. Wszystko pozamykane. Ale gliniarze odjechali.

Na zapleczu plebani kręci się jakiś człowiek. Papieroska? Ogólna gadka-szmatka. To pomocnik kościelny. Okazuje się, że czyta „Sztandar Młodych”. Od słowa do słowa dowiaduję się sporo. Ogień wybuchł w nocy. Mój rozmówca pobiegł po proboszcza, ale nie zastał księdza. Zbudził wikarego. Dzwonili na milicję i do straży. Potem podbiegł pod drzwi, ale gdy je otworzył „buchnęła taka gorąca, że musiałem drzwi zatrzaskać z powrotem”. Za chwilę były już strażackie wozy.

*

„Sztandar Młodych” był moją szkołą reporterki. Uważam, że była to dobra



FOT. © ARCHIWUM STEFANA TRUSZCZYŃSKIEGO

redakcja, z wieloma ciekawymi ludźmi. I wtedy, i teraz uważam, że ten zespół trzymał twarz. No, może z małymi wyjątkami. Obyczaje były jednak inne. Po planowaniu numeru pojawiała się często butelka i po prostu się pilo. Razem z kierownictwem, z tą częścią, która miała najwięcej do gadania. Tacy, jak ja, biegali po wódkę.

*

Oczywiście i tym razem miałem ze sobą piersiówkę. Pomocnik kościelny dał się namówić. Po jednym, po drugim. Potem już nie było problemów. Moja lampa błyskowa była słabiutka. Facet przytargał kable, oświetliliśmy zupełnie nieźle ołtarz. Trzymał

mi lampy, a ja robiłem zdjęcia jak oszalały. Oczywiście wtedy nie można było sprawdzić w aparacie na miejscu, jaki był wynik działania. Film był polski, z Fotonu, ale czuły. Żeby zdążyć na „Panoramę” o 21., trzeba było wracać. Miałem Fiata 125, takiego jeszcze na włoskich częściach. Dałem solidnie w rurę. Pod Warszawą zatrzymała mnie drogówka.

– Panie, chce się pan zabić?

Mówię, że wiozę zdjęcia z pożaru do telewizji. Wtedy słowo telewizja miało moc.

– Jedź pan!

Telewizyjna cenzura

Zaprzyjaźniona kobitka w telewizyjnej pracowni Foto na Woronicza szybko wywołała negatyw i zrobiła wielkie odbitki. Napisałem tekst i pobiegłem do redakcji „Panoramy”. Był to telewizyjny tygodniowy przegląd wydarzeń w kraju. Niedawno po tym programie miała miejsce draka, o której było dość głośno. Mianowicie dwaj Jackowie – Maziarski i Snopkiewicz – robili sobie na antenie jaja, mówiąc o sprawach gospodarczych kraju, przebrani w końskie maski.

„Panorama” była dość popularna. Redaktor programu wziął moje zdjęcia przedstawiające spalony ołtarz i krótki tekst informacyjny dla lektora. Popatrzył na mnie z uznaniem.

– Bardzo dobrze, synu – powiedział. Na tym moja rola się zakończyła. Pojechałem dumny i zadowolony do domu. „Żono – mówię – siadaj i patrz”.

Czołówka. Prowadzący. Polityczne ple, ple – I sekretarz to, premier tamto. Czekam w napięciu, a tu guzik. Słyszę: „Załoga fabryki kuchenek we Wronkach wykonała wspaniałe zobowiązanie, dodatkowo wyprodukowała 400 sztuk kuchenek”. Krew mnie załała i już nie słyszałem, co w telewizji spiker czytał. Żona się śmieje. Klepie mnie czule po ciemieniu. – Nie denerwuj się Funiek.

Skoro świt pogałem pod gabinet szefa. Stoję, czekam. Jestem naładowany. Idzie. Wielki, łysy facet w rozchełstany białym kozuchu. Kupowało się wtedy takie od ruskich oficerów z Rembertowa. Odwarknął „dzień dobry” i wszedł do gabinetu. Czekam dalej.

– Proszę. Ambroziewicz jest wyraźnie podirytowany. Taka sytuacja zawsze działa na mnie jak płachta na byka. Pomyślałem, że to koniec mojej krótkiej telewizyjnej kariery. Trudno. Widzę jednak, że naczelnicy, choć wyraźnie zły, jest jednak zmieszany. Widać, że chyba się trochę wstydzi.

– No, musiałem pański materiał wymienić. Przyszło to zobowiązanie z Wronek.

Nawet nie patrzę na niego. Żal mi dziada. Potem gada jeszcze jakieś komunały, no i jeszcze pochwałę dla mnie. Ale... niestety trzeba było tak zrobić, jak zrobił.



FOT. © STEFAN TRUSZCZYŃSKI

Dowiedziałem się później, że przyjechał do telewizji i w ostatniej chwili zdjął materiał.

O redaktorze Jerzym Ambroziewiczu wiedziałem co nieco: że jako chłopak był listonoszem w czasie Powstania Warszawskiego, że był w redakcji „Po Prostu”, że zamknął się we Wrocławiu za kordonem sanitarnym i napisał potem świetną reportażową książkę o dżumie czy innej cholercie. Wiadomo też było, że postawił na niego Maciej Szczepański. Potem, znacznie później, Ambroziewicz bronił Gierka do ostatka i oczywiście oberwał od Jaruzelskiego.

Słuchałem tego wszystkiego raz błąd, a raz czerwony na twarzy. W końcu była to jednak lekcja pokory. A złość musiałem schować do kieszeni. Szumiała mi już w głowie telewizja. Aż do 13 grudnia 1981 roku. Wtedy sam z rozmysłem trzasnąłem drzwiami, mając w dorobku kilkadziesiąt filmów dokumentalnych i wiele dużych programów. Nie żałuję i żadnego się nie wstydzę.

Po roku od pożaru zwołano konferencję prasową i oświadczone dziennikarzom, że śledztwo zostało zakończone. W uzasadnieniu o umorzeniu postępowania napisano: „W świetle zebranego materiału dowodowego stwierdzić należy, iż brak jest podstaw do twierdzenia, aby pożar powstał w wyniku działania przestępczego”. Zacytowałem dosłownie. I to było wszystko. Ktoś mi doradził: „nie podsakuj, młody, dopiero u nas zaczynasz”. Mogłem sobie w domu oglądać powiększone do dużego formatu fotogramy.

Dziura po Rubensie

Przez całe lata ogień w kościele św. Mikołaja w Kaliszu nie daje mi spokoju. Pamiętam słowa wypowiedzi każdej osoby, z którą rozmawiałem. Pamiętam wielkie, kilkunastometrowej długości piszczałki, które leżały na posadzce nawy. Powypadały, choć organy znajdowały się w tym wielkim kościele kilkadziesiąt metrów od ołtarza. Pytałem różnych pożarników. Mówili, że we wnętrzu musiała być bardzo wysoka temperatura. Taką wytwarza napalm.

Pytania bez odpowiedzi dotyczyły również samego ołtarza. Wysoki na kilkanaście metrów, pozostał z nienaruszonymi kolumnami bocznymi. Tylko wszystko między tymi słupami zostało doszczętnie spalone lub usunięte. A więc od dołu – od mensy – bez śladu po ramach i ich zawartości. A był to najwspanialszy i najdroższy wtedy w Polsce oryginalny Rubens. Pochodzący ze szkoły malarza, kupiony przez polskiego możnowładcę i podarowany kościołowi. Wszyscy o tym wiedzieli. Niestety również złodzieje. Czarna dziura, patrząc do góry, przedstawiała kompletnie wypalone wnętrze. Nie było również wyżej drugiego obrazu, ze św. Mikołajem, a także okrągłego malowidła pokrytego ornamentami, które zwieńczało ołtarz. Tak jakby ktoś dokładnie zaplanował, jak ma płonąć ogień. Pod kontrolą. Fachowo.

Jeśli ktoś wtedy temu wszystkiemu się dziwił – to po cichu. Przez lata wokół pożaru była cisza. Cenzuralny zapis. Mimo to kilka razy próbowałem wrócić do tematu. Już w latach osiemdziesiątych,



Prezbiterium kościoła św. Mikołaja w Kaliszu, 2015

FOT. © ADRIAN WILKOWSKI / WWW.KATEDRA.KALISZ.PL

w okresie „Solidarności”, i potem – pod koniec lat dziewięćdziesiątych – pytałem w artykułach dlaczego nikt nie wraca do zaniedbanego śledztwa. Pisano wtedy dużo o aferach bandyckich, złodziejskich napadach. O tym, że – dla zdobycia środków – podejrzewane są tajemnicze służby. Wszystko się jednak kończyło na niczym. Były tylko domysły, oskarżenia i koniec.

Umierają kolejno świadkowie tamtych dni. Kiedyś popularny był taki kawał: co wyróżnia ulicę Rakowiecką w Warszawie? Otóż zaczyna się ona „Moskwą” (to było kino), potem jest MSW (następca UB), potem więzienie, trochę niepodległości (chodzi o aleje) i wreszcie pętla (tramwajowa, bo była tam takowa).

*

Pokoje redakcji publicystyki w latach siedemdziesiątych były na Woronicza w czteropiętrowym długim budynku na prawo od wyburzonego niedawno wieżowca z gabinetami prezesów. Na parterze w tym długim budynku po prawej stronie siedzieli ludzie Ambroziewicza – Pach, Tepli, Walter, i rzut drugi – Mikołajczyk, Snopkiewicz. Pokoiki zajmowali – jednak, jakby nie było, ci najważniejsi, bo wyrobnicy ładujący na co dzień do propagandowego pieca. Wielu z nich zawodowo było bardzo dobrych – Błachowicz, Smolińska, Grabowska, Słoniewicz, Bekajło, Grelowski, Przysiecki, Auguścik, Jurga, Szotkowski, Mokrosińska, Wieczorek, Duraj, Łucja Klimas.

Po drugiej stronie – lewej – szefował Janusz Rolicki. Tak, to ten sam, co jeszcze w różnych telewizjach krytycznie gada. Robi teraz za lewicowo-centrowego nestora. Krok w krok wybijała się tam wtedy na niepodległość (oczywiście ograniczoną) Nina Terentiew. Ale o tym może innym razem.

Pamiętam, że co jakiś czas pojawiała się na tym korytarzu grupa dziwnych facetów. Mroczni, raczej mało elegancy, pięćdziesięcio-sześćdziesięciolatek. Stali chwilę pod drzwiami gabinetu Ambroziewicza i ćmili śmierzdiele typu „Sport” i „Wczasowe”. Nasz szef nie palił i w jego gabinecie to było niedozwolone. Potem niektórych z tych typów widywałem na ekranach w relacjach z konferencji MSW i innych ważnych obrad. Wtedy nikt z nas – maluczkich – nawet nie pytał „kto to”. Przyjeżdżali, oglądali sobie niektóre programy. Normalka.

Nie wiem, czy moje drobne dziełko o pożarze w Kaliszu obejrżeli również. Ale wiadano, że coś takiego ma być wyemitowane, i to wystarczyło, by nakazać szefowi, aby w trybie pilnym usunął informację. I tak się stało wtedy, tuż przed emisją „Panoramy”.

Wątpliwości i pytania...

Jestem już dość stary, ale gdyby szefowie IPN-u dali mi pogrzebać w materiałach Kiszczakowych, tak obecnie nagłaśnianych – szarpnąłbym się jeszcze raz. Oczywiście nie mam wątpliwości, że wtedy w Kaliszu nie był to żaden przypadkowy pożar. Niby od źle izolowanych kabelków elektrycznych za ołtarzem.

Wtedy, w 1973 roku, działałem trochę wspólnie z kolegą reporterem z „Expressu Wieczornego”. Szybko dogadaliśmy się i wymienialiśmy informacje. Jeśli jeszcze żyje, spróbuję go odszukać. Tak samo jak księdza proboszcza, który w tragicznym dniu nagle jakoś dziwnie wyjechał na noc z Kalisza. Był to człowiek około pięćdziesięcioletni, dlatego teraz być może odszukanie nie będzie już możliwe. Ale chyba żyje jeszcze wikary. Pamiętam tego młodego księdza. Usiłowałem go również pytać, ale on tylko nerwowo poprawiał jakieś bambetle w pokoju. Zapamiętałem adapterek marki „Bambino” postawiony na podłodze koło mizernej kozetki.

Jeśli obraz został fachowo zdjęty, wywieziony, sprzedany – to za ile i komu? To nie było włamanie byle jakie, do banku lub jubilera. Zginął skarb – Rubens. To się wtedy najwyraźniej nie liczyło, a teraz powinno. Miejmy nadzieję, że gdzieś, u kogoś obraz się znajduje.

Może w notatkach rodzimego generallissimusa bezpieki jest jakiś ślad: data 13 grudnia 1973 roku, słowo Kalisz, a może nazwiska wykonawców akcji albo choć inicjały. Ktoś to musiał zrobić i szefostwo na pewno o tym wiedziało.

Czy zacznie się w końcu kiedyś śledztwo w tej sprawie?

Myślę, że prokurator, który mnie wyrzucił z kościoła, jeszcze żyje. Był wysoki i dość gruby, ale jeszcze nie stary. Może dręczy go sumienie. Teraz, gdy strachy już nie na lachy. Może.

Gdy patrzę na delikatne buzie szefów IPN, mam mieszane uczucia. Czy ci chłopięco wyglądający prezesi i dyrektorzy znajdują w sobie dość odwagi, by sprostać zadaniom, które stoją przed nimi? Nie spodziewanie Pani Babcia Kiszczakowa przyniosła im do rączek to, czego nie mogli lub nie chcieli znaleźć. Nazwisko Kamiński teraz często się pojawia. Na szczęście jeden z nich to prawdziwy mężczyzna. Każdy wie który. A inni? No, zobaczymy.

Kiedyś na lotnisku, przed wylotem do Gdańska – dopuszczony do pewnej komitywy z Czesławem Miłoszem (dzięki mojej przyjaźni z jego bratem Andrzejem) – wyrecytowałem wierszyk przypisywany przez żartownisiów Nobliście: „Zajrzeli do kufrów, zajrzeli do waliz; do dupy nie zaglądali, a miałem w niej – socjalizm”. Po-

wiem prawdę: mistrz zachnął się, wcale mu się to nie podobało. Zrobiło mi się głupio, a nawet gorzej – popełniłem błąd. Myślę sobie jednak z nadzieją, że może teraz ktoś zajrzy do kufrów i schowków, że ktoś solidnie poszuka w „drogocennych” pudłach z papierami. Ale trzeba umieć to wszystko czytać. Szukałbym daty 13 grudnia sprzed 42 lat. Może jest tam słowo Kalisz...

*

Hasło FOZZ, AFERA ZŁOTO, inne – wywołują nadal emocje i lawinę artykułów. Warto zainteresować się również Rubensem z Kalisza. Na pewno stajnie Augiasza u różnych ważniaków, którzy gromadzili specyficznie pojęte zabezpieczenia, nie są jeszcze wyczyszczone. Niektórzy z nich robią wrażenie skruszonych. Niech otworzą szafy. Jaruzelski wiedział, ale nie powiedział. Kiszczak posłużył się kobietą. Żyje przecież jeszcze kilku „wybitnych ludzi honoru”. Na co czekają? Resortowe dzieci cierpią dziś za winy ojców i dziadów. Fakt, że przedtem korzystali z przywilejów i używali sobie. Potem, gdy tatuś, mamusia kończyli kiepskawo, sprzedawali co się dało i fru! gdzie pieprz rośnie. Może by jednak oddać te podgnile papierki – np. Cezaremu Gmyzowi albo i mnie?

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

Kościół św. Mikołaja w Kaliszu – Katedra Diecezji Kaliskiej FOT. © KALISZCZASEMMALOWANY.PL





FOT. © NUVOLELENZUOLA74



FOT. © HOTELMOMASSISI.IT

Niedziela Bożego Ciała w Spello



FOT. © INCANTEVOLE SPELLO



FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ



FOT. © CASAVACANZANFRANCESCO.IT

Dywany płatkami kwiatów tkane i cud eucharystyczny

W wielu włoskich miastach i miasteczkach z okazji Bożego Ciała, by podkreślić rangę tego katolickiego święta, przygotowuje się tak zwane dywany kwiatowe. Najślawniejsza i najpiękniejsza „Infiorata”, bo taka jest nazwa dekorowania miast na tę uroczystość, ma miejsce w umyjskim, położonym nieopodal Asyżu, uroczym miasteczku Spello.

Infiorata

Każdego roku wąskie uliczki i placiki Spello usłane są około 1,5 tys. metrami dywanów kwiatowych – obrazów, inspirowanych scenami religijnymi lub reprodukcjami znanych dzieł przedstawiającymi Jezusa i cud eucharystyczny. Przygotowania do tego jedynego dnia w roku trwają przez wiele miesięcy. Kolorowe projekty, opracowywane są przez prawdziwych artystów. Na podstawie projektów, przygotowuje się papierową makietę w rozmiarze 1:1. Zachwycające, barwne kompozycje wykonane są jedynie z elementów roślinnych: płatków kwiatów, listków, źdźbeł zbóż i traw, dlatego dobór odpowiednich kwiatów i ich kolorów, by odtwarzały wiernie projekt wymaga niezwykłego zaangażowania, czasu i doświadczenia wielu osób, nie wspominając o ilości kwiatów, jaka jest potrzebna do stworzenia tego widowiska.

Zwyczaj dekorowania kwiatami drogi procesji religijnych ma swoje korzenie w dalekiej przeszłości. Początkowo kwiaty były rzucane luzem na drogę, którą podążała procesja. Z czasem dekorowanie przybierało coraz bardziej wyrafinowaną formę, aż do chwili obecnej, kiedy to wzrosła do wysublimowanej formy sztuki.

Infiorata rozpoczyna się w wieczór poprzedzający niedzielę Bożego Ciała (we Włoszech uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa odbywa się w niedzielę, w bieżącym roku przypada 29 maja). W przygotowaniach bierze udział całe miasteczko. Każdy ma określone zadanie. Spacerując w sobotni wieczór po Spello można zobaczyć grupki kobiet skubiące ze świeżych kwiatów płatki, czy osoby w różnym wieku układające precyzyjnie, centymetr po centymetrze wielobarwne kompozycje. Do układania angażują się z całą powagą również dzieci, które tworzą swoje własne

obrazy kwiatowe. Całonocnej, żmudnej pracy towarzyszy muzyka, wino, jedzenie i śmiech. Cały ten całonocny, jakże nietrwały i ulotny trud, tylko po to, by w uroczystej procesji kapłan niosący Najświętszy Sakrament przeszedł po kwiecistych dywanach, a później rozwiął po uliczkach wiatr. Ile trzeba mieć w sobie determinacji, fantazji i pasji! Czas inaczej jest tu odmierzany.

Niezmiennie jestem pełna podziwu i szacunku dla Umbryjczyków, dla ich przywiązania do tradycji. Tradycji, która zdaje się być czymś naturalnym w ich krwioobiegu. Podtrzymuje w lokalnej społeczności poczucie wspólnoty i tożsamości. Kształtuje od dziecka przywiązanie i szacunek do własnej, małej ojczyzny, uczy, że wiele czynności podejmuje się dla wspólnego dobra. Tradycja, która często związana jest z religią bez kompleksów i narażania się na ataki i wyśmianie, że to „zaściankowe”, niemodne, czy nieeuropejskie.



Spello – Piazza Kennedy, 2013

FOT. © INCANTEVOLE SPELLO



Spello, 2015

FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ



Spello – Via Giulia, 2013

FOT. © INCANTEVOLE SPELLO



Spello – Via Cavour, 2013

FOT. © INCANTEVOLE SPELLO

W noc przed uroczystością Bożego Ciała w Spello...



Spello, 2015

FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ

Widok na Orvieto

FOT. © RELAISPARADISOUMBRIA.COM



Corpus Domini

Infiorata ściśle związane jest z uroczystością Bożego Ciała. Wywodzi się ono z Włoch, a dokładnie z położonego w regionie Lazio miasteczka Bolsena i umbryjskiego Orvieto.

Jak podaje tradycja, w 1263 bądź 1264 roku przybył do Sanktuarium św. Krystyny w Bolsenie ksiądz Piotr z Pragi. Zatrzymał się tam podczas swojej długiej i uciążliwej pielgrzymki do Rzymu. Przeżywał w tym czasie kryzys swojej kapłańskiej tożsamości i wiary w realną obecności Chrystusa w Eucharystii. Modlił się żarliwie do św. Krystyny, męczenniczki z Bolseny, o wstawiennictwo u Boga, aby dał mu tę siłę i pewność wiary jaką miała Święta w swojej ekstremalnej próbie wiary. Podczas odprawianej przez ks. Piotra Mszy, w czasie konsekracji, kiedy uniósł białą hostię nad kielichem zauważył, że z hostii zaczynają płynąć krople krwi plamiąc korporał. Zszokowany kapłan nie miał siły, aby kontynuować obrzęd. Pełen zmieszania ukrył krwawiącą hostię i wyniósł do zakrystii. Po drodze do zakrystii – jak podają przekazy – kilka kropel krwi spadło także na marmurową posadzkę i stopnie ołtarza.

Kiedy ks. Piotr ochłonął z przerażenia i oszołomienia, wraz ze świadkami tego niezwykłego wydarzenia udał się do pobliskiego Orvieto, gdzie przebywał w tym czasie papież Urban IV. Piotr przyznał się do wątpliwości, jakie nim targaly i opowiedział o cudzie, jaki wydarzył się w Bolsenie. Papież wysłał do Bolseny biskupa Orvieto Jakuba, w towarzystwie teologów Tomasza z Akwinu i Bonawentury z Bagnoregio, celem weryfikacji faktu i przewiezienia relikwii do Orvieto.

Na powitanie relikwii papież postanowił wyjść procesyjnie wraz z kardynałami,

księżmi i zakonnikami z Orvieto. Uważa się, że to wydarzenie dało początek odprawiania procesji w święto Bożego Ciała. 11 sierpnia 1264 roku, papież Urban IV bullą „*Transiturus de hoc mundo*” polecił obchodzić święto Bożego Ciała w całym Kościele i ustanowił, że będzie przypadać w czwartek po oktawie Zesłania Ducha Świętego. Tomaszowi z Akwinu zlecił przygotowanie tekstów liturgicznych na tę uroczystość. Kościół do chwili obecnej posługuje się testami św. Tomasza, między innymi dobrze znanym tekstem pieśni: „Przed tak wielkim Sakramentem”.

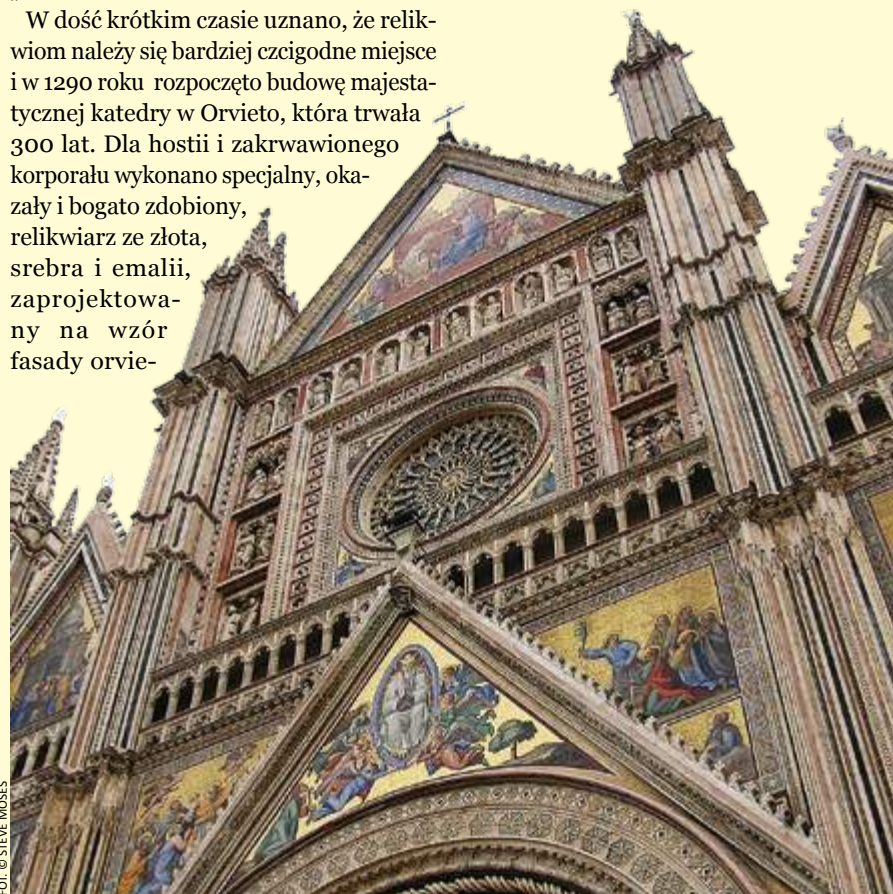
W dość krótkim czasie uznano, że relikwiom należy się bardziej czcigodne miejsce i w 1290 roku rozpoczęto budowę majestatycznej katedry w Orvieto, która trwała 300 lat. Dla hostii i zakrwawionego korporala wykonano specjalny, okazały i bogato zdobiony, relikwiarz ze złota, srebra i emalii, zaprojektowany na wzór fasady orwie-

tańskiej katedry i udekorowany scenami przedstawiającymi cud w Bolsenie. Obecnie relikwiarz znajduje się w kaplicy „Capella del Corporale” katedry w Orvieto.

Katedrze w Orvieto poświęcił rozdział w swojej książce *Barbarzyńca w ogrodzie* Zbigniew Herbert, ale to już opowieść na inną okazję.

MAŁGORZATA CHOMICZ

* Informacje dotyczące cudu w Bolsenie opracowane zostały w oparciu o materiały ze strony Sanktuarium Cudu Eucharystycznego w Bolsenie – www.basilicasantacristina.it



FOT. © STEVE MOSES



Ormiańska 23

FOT. © ANNA FASTNACHT-STUPNICKA

Lwów, kwiecień 2016 roku. Stoję przed kamienicą „Czterech pór roku” przy ulicy Ormiańskiej. To tutaj miał pracownię Janusz Witwicki, twórca Panoramy Dawnego Lwowa*, stąd wyszedł z tajemniczymi gośćmi w lipcową noc 1946 roku, w przeddzień wyjazdu do Polski. Zamordowanego znaleziono na ulicy.



FOT. © ANNA FASTNACHT-STUPNICKA

Na fasadzie tablica: Lwowska Nacjonalna Akademia Mistectw. Naciskam jedyny dzwonek przy drzwiach. Po długiej chwili bramę otwiera starsza kobieta w nasuniętym na czoło berecie. Patrzy srogo, nieufnie. Przedstawiam się, proszę o wpuszczenie, chciałabym sfotografować wnętrze kamienicy, w której pracował Witwicki.

– Nie wolno. Musi być zgoda. Tu jest Akademia Mistectw.

Pojęcia nie mam, co znaczy „Mistectw”. Uparcie powtarzam, że chcę zrobić tylko zdjęcia. Stanowczo nie pozwala. Ja swoje po polsku, ona swoje po ukraińsku. Nie ustępuję. Intuicja podpowiada, żeby nie rezygnować.

Z bramy wybiega nagle dwoje młodych ludzi. Wyglądają na studentów. Ładna blondynka, wysoki, szczupły brunet, oboje radośni, rozgadani. Podobni do Ireny i Janusza Witwickich – przemyka przez myśl. Zwracam się do chłopaka, przedstawiam problem. Interweniuje:

– Dlaczego nie pozwalacie? Jakże zezwolenie? Komunizm już się skończył, nie ma Związku Radzieckiego. Chcemy być w Europie, a wy tu o jakichś zakazach.

Kobieta kapituluje, młody człowiek wprowadza mnie do kamienicy, pokazuje oficynę, tłumaczy, że nieładnie, bo mury odrapane, wstępujemy na balkony cias-

nego podwórka, wreszcie do pomieszczeń na drugim piętrze. Stary parkiet mocno zabrudzony, dawno niemalowane ściany, wszędzie sztalugi, farby, gipsowe modele, zdezelowane meble, ogólny rozgardiasz, wrażenie bałaganu, który trudno nazwać artystycznym.

– W tych pokojach była pracownia Witwickiego. Słyszał pan o nim? O panoramie? – rozmawiamy każde w swoim języku, doskonale rozumiejąc się nawzajem.

– Tutaj?! Tak, wiem o panoramie, widziałem ją w Internecie. Ładne domki, średniowieczne miasto.

– Osiemnastowieczne – poprawiam. – Jak będzie pan we Wrocławiu, proszę zadzwonić, zaprowadzę pana.

Daję wizytówkę, żegnamy się przy bramie. Dziękuję za pomoc i uprzejmość, serdecznie ściskamy sobie dłonie. Kobieta – już wiem, że to dozorczyń, a uczelnia, której strzeże, to Lwowska Narodowa Akademia Sztuki – siedzi teraz na kamiennym schodku przed wejściem do kamienicy jak na przyzbie i obserwuje przechodniów. Dziwnym trafem poduszka, którą sobie podłożyła, ma kolor czerwony. Brama otwarta. Strażniczka sztuk pięknych na „do widzenia” odpowiada już łagodnym uśmiechem.

ANNA FASTNACHT-STUPNICKA

* Zob. „Bez Wierszówki” 2015, nr 1-3, s. 36-39



FOT. © ANNA FASTNACHT-STUPNICKA

Lwy zapudłowane



FOT. © ANNA FASTNACHT-STUPNICKA

Kilka miesięcy temu z radością przekazywaliśmy sobie wiadomość, że po latach tułaczki Lwy wróciły na Cmentarz Obrońców Lwowa i znów stoją przy łuku triumfalnym. Będąc we Lwowie, poszłam zobaczyć, jak wyglądają na swoim miejscu. Trudno o większe zaskoczenie: Lwy są, a jakoby ich nie było. Zostały szczelnie opakowane budowlanymi płytami OSB.

– To skandal był. Dyrektor cmentarza musiał się tłumaczyć – odpowiada na pytania Polak spotkany przy biurze Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, gdzie poszłam dowiedzieć się o powód „zapudłowania” lwów. – Bo to ci ze Swobody przywieźli je i postawili, ale inni powiedzieli, że ma być tak, jak to

uzgodnili prezydenci Polski i Ukrainy jeszcze wtedy, gdy odbudowywano cmentarz, i kazali zasłonić. Teraz jakieś działania musi podjąć kancelaria Prezydenta Polski.

Zamieszanie wokół lwów potwierdza prezes Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Janusz Baliński. Mówi, że chciano je zabrać z powrotem, ale zebrała się komisja architektów i konserwatorów, którzy stwierdzili, że Lwy są w takim stanie, że jak się je zacznie wozić, to się rozsypią. Pozwolono więc zostawić, ale zasłonięte.

Podobno mają być wkrótce poddane konserwacji. Przywrócenie pierwotnego stanu tarcz i napisów będzie zapewne przedmiotem kolejnych sporów i negocjacji na najwyższych szczeblach.

ANNA FASTNACHT-STUPNICKA



Papieskie Stowarzyszenie Pomoc Kościołowi w Potrzebie pomaga prześladowanym Chrześcijanom w Syrii oraz wszystkim, którzy cierpią z powodu wojny.

MOŻESZ POMÓC I TY!

Projekty realizowane w diecezji Tartous w Syrii:

KOSZYKI Z ŻYWNOŚCIĄ dla 492 rodzin

1 koszyk -> **25,00 USD**

PRODUKTY HIGIENICZNE dla 492 rodzin

1 rodzina -> **20,00 USD**

OGRZEWANIE W DOMACH dla 600 rodzin

1 rodzina -> **90,00 USD**

DOFINANSOWANIE WYNAJMU MIESZKANIA dla 100 rodzin

1 rodzina -> **75,00 USD**

PKO BP o/ Warszawa

87 1020 1068 0000 1402 0096 8990

Pomoc Kościołowi w Potrzebie

ul. Wiertnicza 142, 02-952 Warszawa

tel. +48 22 845 17 09



DZIĘKUJEMY

Muzułmanin merem Londynu, i co z tego wynika

Merem Londynu na kolejne cztery lata został muzułmanin, Sadiq Khan. Mimo, że tylko 12 proc. mieszkańców stolicy Wielkiej Brytanii, to muzułmanie, labourzysta z okręgu Tooting otrzymał 56,8 proc. (1 310 143 głosów), a konserwatysta Zac Goldsmith znacząco mniej, bo 43,2 proc. (994 614 głosów). Patrząc na Londyn, widać, że na Khana głosował kolorowy wschód i południowy wschód, a na Goldsmitha – część zamożnej północy i południowego zachodu miasta. Im bliżej końca kampanii, tym program labourzysty Sadiqa Khana bardziej żeglował ku centrum i coraz mniej różnił się od programu konserwatysty Zaka Goldsmitha. A on sam coraz bardziej unikał fotografowania się z bardzo niepopularnym szefem swojej partii, marksistą i radykałem Jeremym Corbynem. „Nadzieja zwyciężyła strach” – tak komentował wyniki wyborów Khan i prasa lewicowo-liberalna. Należałoby tylko zapytać: dla kogo nadzieja i czyj strach?

Tak oto muzułmanin, Pakistańczyk z pochodzenia, Sadiq Khan został merem jednej z największych metropolii świata, kiedyś centrum Brytyjskiego Imperium. Stolicy kraju, od którego zależeć będzie przyszłość Unii czyli w istocie całej Europy. Trudno tu nie pomyśleć o rekonkwiescie, prawda? Przez 400 lat z portów Portsmouth, Plymouth i Dover wypływali brytyjscy generałowie i służba cywilna, handlowcy i przedsiębiorcy, plantatorzy, misjonarze i piraci. Brytyjczycy podbijali kolejne kraje, zniewalali ludność, krwawo tłumili powstania, grabili złoża naturalne, które wyrywali bogatym ziemiom, Ameryki Północnej, Afryki, Azji i Australii. Choć zasiedlając nowe terytoria, budowali także infrastrukturę – drogi, linie kolejowe, budynki rządowe, szkoły i szpitale, które służą do dziś. Jednym z tych krajów – kiedyś część słynnego Radżu – był późniejszy Pakistan. Od końca lat 40., kiedy wicekról Indii lord Mountbatten podzielił Radż na Indie i Pakistan, potem wyodrębniony został Bangladesz, setki tysięcy ludzi, uciekając przed nędzą i głodem, zaczęły emigrować do Wielkiej Brytanii. Głównie do Londynu i miast Midlandów, Birmingham, Manchester, Leeds, gdzie rozwijał się przemysł tekstylny i fabryki

wciąż potrzebowały rąk do pracy. Przybyśże z Pakistanu otwierali także restauracje etniczne, sklepy z etniczną żywnością, przejęli większość *news agents*, kiosków z gazetami. Taka była też historia rodziny Sadiqa Khana.

Dziś w Wielkiej Brytanii mamy około 2,8 mln muzułmanów. Są to głównie sunnici, z Pakistanu i Bangladeszu, w tym około 100 tys. białych konwertytów. Jest to, dodajmy, najszybciej rosnąca wspólnota religijna na Wyspach, pączkująca 10 razy szybciej niż inne wyznania. W samym tylko Londynie mieszka ich około miliona, i właśnie ta wspólnota muzułmańska oraz polityka imigracyjna Labour Party – przyczyniły się do zwycięstwa Sadiqa Khana.

Boom imigracyjny w Wielkiej Brytanii rozpoczął się w 1997 roku wraz z wielką wiktoria Tony Blaira, który natychmiast przeprowadził przez parlament swoją ustawę The Immigration Legacy. Zaczęto przyjmować około 250 tys. przybyszów rocznie, do 2004 roku jeszcze głównie spoza Europy – i ta samobójcza polityka trwała przez 13 lat. A potem konserwatysta David Cameron, którego program niewiele różni się od Trzeciej Drogi Blaira, mimo wielu obietnic, w obawie przed liberalną lewicą i jej mediami, nie zrobił nic, aby ten rwący strumień imigrantów zmniejszyć do deklarowanych kilkadziesiątu tysięcy.

Na ostatnim wirażu kampanii wyborczej pozostało tylko dwóch zawodników. Wielkim przegranym okazał się konserwatysta Zac Goldsmith, symbol białej elity Londynu, „*posh London*”, syn niezjącego już multimilionera, przedsiębiorcy i europosła, sir Jamesa Goldsmitha, założyciela eurosceptycznej Referendum Party. Jego syn Zac, polityk i ekolog, jest znanym w Wielkiej Brytanii obrońcą środowiska naturalnego i walczył w wyborach pod hasłem „będę najbardziej zielonym merem Londynu”. Ten, jakże nowoczesny slogan, okazał się jednak mało skuteczny, także dlatego, że Londynczycy mają na głowie ważniejsze sprawy niż ekologia. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że siostra Zaka, Jemima, kilkanaście lat temu wyszła za mąż za muzułmanina, pakistańskiego czempiona krykieta Imrana Khana, który dziś jest w swojej ojczyźnie liczącym się politykiem.

Batalia wyborcza była ostra, oczywiście jak na brytyjskie a nie polskie standardy. Zac Goldsmith ostrzegał np. w którejś z konserwatywnych gazet: „Jeśli Sadiq Khan zostanie wybrany, zostanie mu przekazana kontrola nad Policją Metropolitą i służbami, zajmującymi się walką z terroryzmem. Nie zapominajcie, że jest to kandydat partii, której lider, zresztą i ona sama, ciągle legitymizuje i usprawiedliwia punkt widzenia muzułmańskich ekstremistów. To jest niebezpieczne”. Cytował także słowa Khana, który bronił organizacji Al – Muhajiroun, zajmującej się m. in. treningiem terrorystów do zamachu 7/7. Khan odpowiadał, że to typowy „czarny PR”, ale jeszcze tydzień temu przeproszał za nazwanie umiarkowanych muzułmanów „wujami Tomami”, czyli skrajnymi ugodowcami. Jeremy Corbyn natychmiast wsparł swojego kandydata i bardzo cieszy się z jego zwycięstwa, które może przysporzyć Labour Party w rankingach popularności 1 czy 2 punkty. Ale wiele jest głosów, jak Mohameda Zuhi Jassera, fundatora American Islamic Forum for Democracy: „Jeśli Khan okaże się muzułmaninem, to dobrze... Ale to nie jest po prostu stary, dobry muzułmanin. To jest islamista”. Katastrofa wisi w powietrzu.

Źródła bliskie Downing Street już oświadczyły: „Mieszkańcy Londynu dokonali wyboru. To oczywiście rozczarowuje konserwatystów, ale rząd będzie blisko współpracował z Sadiqiem Khanem dla dobra Londyńczyków”. A rzecznik prasowy Cabinet Office potwierdził, że nowy mer – muzułmanin będzie uczestniczył w spotkaniach komitetu bezpieczeństwa narodowego COBRA. Sadiq Khan już wpisał się w historię Londynu. I to nie jako agent kiosku z gazetami, lecz gospodarz tej światowej metropolii. A być może przyszły premier? Bo istnieje prawidłowość, że pozycja mera wielkiej stolicy, to świetna trampolina do startowania w wyborach prezydenckich lub, jak tu, parlamentarnych. Jak w przypadku Borisa Johnsona, który już został namaszczonej przez swoją partię na sukcesora Davida Camerona. Taka perspektywa mrozi krew w żyłach wielu Londyńczyków, nie mówiąc już o milionach Brytyjczyków.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS

Goebbelsowskie kłamstwo

W dniu 25 kwietnia 2016 roku w sprawie o ochronę dóbr osobistych, z powództwa Karola Tendery wytoczonej przeciwko niemieckiej telewizji ZDF, Sąd Okręgowy w Krakowie wydał wyrok oddalający powództwo. Jest to kolejne wyzwanie dla pełnomocnika powoda, mec. Lecha Obarę.

Sąd oddalił powództwo opierając się na dowodach i przekonaniu, że dobra osobiste pana Karola Tendery zostały naruszone, jednak skutki naruszenia prawa zostały usunięte. Uzasadnia to faktem, że pozwany wystosował dwa pisma do pana Karola Tendery, w których wykazał ubolewanie nad zaistniałą sytuacją oraz przeprosił wszystkich publicznie. Sąd przyznał rację, że określenie „polskie obozy zagłady” jest określeniem kłamliwym, fałszującym historię, a także sugerującym jakoby to Naród Polski był sprawcą zbrodni nazistowskich.

Przeprosiny na łamach polskich mediów w dziennikach: „Rzeczpospolita” i „Gazeta Wyborcza”, jakich domagał się powód, są według wymiaru sprawiedliwości zbyt szczupłe, bowiem takie przeprosiny są niewspółmierne do popełnionego czynu. Określenie „polskie obozy zagłady” pojawiło się tylko raz na stronie internetowej telewizji ZDF.

Sąd nie znalazł również podstaw do zakazania używania wyżej wymienionego zwrotu, ponieważ w jego ocenie jest przekonany, że pozwany nie użyje nigdy więcej takiego sformułowania. Sąd nie dostrzega związku z zapowiedzią, jaka ukazała się przed emisją filmu o obozach koncentracyjnych, a rozprzestrzenieniem się fałszywego określenia w mediach. Pozwany nie ponosi też żadnej odpowiedzialności za taki stan rzeczy.

Mecenas Lech Obara jest zdania, że media celowo stosują propagandę, aby sfalszować prawdę historyczną. Obawia się „techniki goebbelsowskiej”, w której kłamstwo powtórzone wiele razy staje się prawdą. Jest przekonany, że to propaganda, która ma na celu wdrukować „wadliwy kod pamięci”. Uważa, że powinno się zabronić używania takich sformułowań jak „polskie obozy zagłady” lub „polskie obozy koncentracyjne”, a używanie tego rodzaju zwrotów powinno być zagrożone sankcją karną. Mecenas zauważa, że lapsus językowy wywołał poczucie krzywdy i upokorzenia nie tylko w odniesieniu do pana Karola Tendery, ale całego Narodu Polskiego.



Pomimo oddalenia powództwa mecenas Lech Obara czuje się niejako zwycięzcą. Sąd przyznał bowiem, że wadliwe określanie obozów śmierci jest zbezczeszczeniem „godności narodowej” i wywołało „obiektywne poczucie krzywdy”.

Pomimo, że sąd oddalił pozew to przyznał, iż dobra osobiste zostały naruszone. Wykładnia sądu daje postawę ku temu, że nie ma już potrzeby wykazywać, że „godność narodowa” jest dobrem osobistym. Wyrok sądu w tym sensie ma charakter precedensowy. Każdy, kogo dobro osobiste zostanie naruszone, poprzez użycie sformułowania „polskie obozy zagłady” lub „polskie obozy koncentracyjne”, i skutki tego naruszenia nie zostaną usunięte, będzie miał prostszą drogę dochodzenia swoich praw.

Artykuł 23 Kodeksu cywilnego ma brzmienie: „Dobra osobiste człowieka, jak w szczególności zdrowie, wolność, cześć, swoboda sumienia, nazwisko lub pseudonim, wizerunek, tajemnica korespondencji, nietykalność mieszkania, twórczość naukowa, artystyczna, wynalazcza i racjonalizatorska, pozostają pod ochroną prawa cywilnego niezależnie od ochrony przewidzianej w innych przepisach”. Sformułowanie „w szczególności” jest polem do walki dla innych dóbr osobistych. Korzystając z tego, prawnicy Stowarzyszenia „Patria Nostra” przekonują, że otwiera się droga do dochodzenia roszczeń. Mecenas Lech Obara dostrzega możliwość obrony takich wartości jak „godność narodowa” i „tożsamość narodowa”.

W ewentualnej apelacji problemem będzie to, w jaki sposób należy usunąć skutki takiego naruszenia prawa „godności narodowej” i „tożsamości narodowej”. Mecenas nie zgadza się z tym, aby same przeprosiny – nie uznające krzywdy konkretnej osoby – były wystarczające. Najbardziej martwi go zaufanie Sądu do strony pozwanej, że już nigdy więcej nie będzie posługiwać się określeniem o „polskich obozach”.

Pan Karol Tendera jako były więzień obozu koncentracyjnego w Auschwitz wniósł o zakazanie pozwanemu – Zweites Deutsche Fernsehen – rozpowszechniania w jakikolwiek sposób określeń „polski obóz zagłady” lub „polski obóz koncentracyjny”, a także do odpowiedników w języku angielskim, niemieckim i jakimkolwiek innym, wskazując na niemieckie obozy koncentracyjne. Ponadto, powód wniósł o nakazanie opublikowania ogłoszenia w dzienniku „Rzeczpospolita” i „Gazeta Wyborcza”, w którym pozwany ubolewa nad zaistniałą sytuacją. Żądanie zamieszczenia ogłoszenia miało na celu wyjaśnienie zdarzenia, które miało miejsce w dniu 15 lipca 2013 roku na portalu internetowym www.zdf.de. Pozwany zamieścił artykuł pt. „Verschollene Filmschätze 1945. Die Befreiung der Konzentrationslager”. W artykule pojawiły się informacje, które sugerowały jakoby Naród Polski był sprawcą a nie ofiarą w obozach koncentracyjnych. Powód żądał, aby ogłoszenie było zamieszczone przez okres jednego miesiąca.

AGNIESZKA GĘBCZYŃSKA

Jak Niemcy polskimi rękami niszczą Polskę!

„Permisywizm moralny i torpedowanie działań polskiej prawicy to rozpoznawcze znaki ukazujących się w Polsce gazet należących do niemieckich koncernów” – pisze na łamach „Naszego Dziennika” dr Paweł Pasionek. Pasionek wskazuje, w jaki sposób za niemieckie pieniądze sami Polacy niszczą własny kraj i własne dziedzictwo.

Verlagsgruppe Passau (określana również jako Passauer Neue Presse, w Polsce występuje obecnie pod nazwą Polska Press), Axel Springer i Bauer – te niemieckie firmy mają największy wpływ na przekaz informacji na polskim rynku prasowym. Zliczając nakłady dzienników regionalnych, okazuje się, że 92 proc. wydrukowanych egzemplarzy należy do tytułów kontrolowanych przez Niemców” – pisze Pasionek.

Autor wskazuje następnie na kilka przykładów wyraźnie antypolskiej działalności tytułów prasowych pozostających w rękach Niemców: Po sprzedaży „Gazeta Olsztyńska” z jednej strony chętnie odwołuje się do polskości i chwalebnych chwil ze swojej historii, ale z drugiej strony – jak stwierdza dr Andrzej Wilk na łamach naukowego czasopisma „Przedsiębiorstwo Przyszłości” – jej łamy „zapełniają takie tematy jak historia Niemiec, dokumentacja wysiedlania Niemców, rekonstruowanie miejsc pochówku żołnierzy Wehrmachtu, popularyzacja historii miast, miasteczek, pałaców szlacheckich niemieckich rodów zamieszkujących w przeszłości polskie ziemie zachodnie i północne.

I tak w ukazującym się w Katowicach „Dzienniku Zachodnim” nie od dziś ukazują się artykuły sugerujące, że Śląsk powinien być odłączony od Polski, a Ruch Autonomii Śląska znalazł na łamach tego tytułu dogodne miejsce do nagłaśniania swych postulatów. Dla przykładu,

w „Dzienniku Zachodnim” ogłaszali, iż w roku szkolnym 2016/2017 będzie miała miejsce w szkołach reedukacja na bazie podręcznika do edukacji regionalnej, który przygotował sympatyzujący z RAŚ prof. Ryszard Kaczmarek z Instytutu Badań Regionalnych. Paweł Smolorz na łamach „Dziennika Zachodniego” narzeka zaś, że „wychowanie wczesnoszkolne pozostaje constans – tak jak wcześniej nasi ojcowie, później my, a teraz nasze dzieci futrowane są nadal patetycznym polskim patriotyzmem, ideą narodowej homogeniczności, ojczyzną bohaterów walczących ze «złym Niemcem i Rusem»”.

Paweł Pasionek zwraca z kolei uwagę na propagandę sianą przez „Newsweeka” Tomasza Lisa w aspekcie bezprzykładnej walki z Kościołem katolickim.

Pisze Pasionek: Wydaje się m. in. na podstawie bezczeszczących narodowe godło okładek „Newsweeka”, że redakcja tygodnika ma poważny problem z patriotyzmem. A co gorsza, nawet drażni ich on u innych – w numerze z początku lutego br. jako zarzutu wobec Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu użyto faktu, iż na zajęciach wykładowcy dotyczą tematu patriotyzmu.

Warto też wiedzieć, że w wydanym pod koniec 2014 roku cyklicznym raporcie Papieskiego Stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie tygodnik kierowany przez Tomasza Lisa został wymieniony obok „Nie” Jerzego Urbana oraz „Faktów

i Mitów” jako ten, którego publikacje są „elementem świadomej kampanii antyklerykalnej”.

Polskiej tradycji i kultury nie honoruje także wprowadzony w 2003 roku na polski rynek przez Axel Springer brukowy „Fakt”. Walka z polskością i katolicką tożsamością naszego Narodu jest prowadzona na łamach dziennika wyjątkowo perfidnie – czytelnik w jednym wydaniu znajdzie dodatek „Fakt Religia z medalikiem”, a w innym przeczyta rzewną historyjkę o tym, jak pewien celebryta spędzi Boże Narodzenie ze swoim „narzeczonym”. Genderowa rewolucja na łamach „Faktu” zatoczyła szerokie kręgi, łamy gazety od zawsze otwarte były dla prezentacji roszczeń homoseksualistów, „tęczowych” happeningów i „ślubów”.

Paweł Pasionek przypomina następnie, że Ringier Axel Springer posiada przecież jeszcze tytuły sportowe („Przegląd Sportowy”, „Sport”) oraz tak poczytne media jak „Fakt” i portal „Onet”. Jakie są upodobania polityczne tych tytułów dobrze wiemy. A gdy do wszystkiego dodać jeszcze sprawę Pawła Grasia, który wraz z Janem Kulczykiem i niemiecką pomocą zmienił sobie redaktora naczelnego w „Fakcie”...

Właśnie tak Niemcy niszczą Polskę i polskość. Robią swoje – grają o własny interes. W naszym kraju niestety folksdojczów i sprzedawczyków nie brakuje, więc mają Niemcy grunt naprawdę podatny. Czas wreszcie, by media w Polsce stały się polskie!

BJAD / fronda.pl

VERLAGSGRUPPE PASSAU

Verlagsgruppe Passau na swojej stronie internetowej podaje:

„mit 40 Tagestiteln, 19 Wochentiteln sowie 4 TV-Magazinen in Deutschland und Polen gehört die Verlagsgruppe Passau zu den größten Herausgebern von Regionalzeitungen in Europa. Mit unseren Tages- und Wochentiteln erreichen wir jede Woche mehr als 9 Millionen Leser bei einer Auflage von 4,9 Millionen Exemplaren!”



© VGP.DE

„Pięć lat kacetu” Stanisława Grzesiuka

z refleksjami Eryki Mokrzyckiej-Niepokoyczyckiej



Po przeczytaniu w Bibliotece Publicznej w Poraju, jako dwunastoletni chłopiec, książki Stanisława Grzesiuka *Boso, ale w ostrogach* wziąłem się za poważniejszą jego książkę: o niemieckich obozach koncentracyjnych za panowania Hitlera pt. *Pięć lat kacetu*. Wtedy, gdy ją po raz pierwszy przeczytałem – chyba w 1959 roku – wojna była jeszcze blisko. To tak, jak blisko nas jest jeszcze początek XXI wieku, czy śmierć Jana Pawła II! Zachwyliła mnie – i mimo trudnej problematyki – 500 stron kronikarskiego opisu przeżyć w obozach koncentracyjnych Dachau, Mauthausen, Gusen – stała się ulubioną książką. Głównie dlatego, że pokazywała, iż w żadnych, nawet w najtrudniejszych warunkach nie można się poddawać, nie można też tracić humoru...

Książka Grzesiuka została przyjęta w kraju dobrze, ale bez ogromnego entuzjazmu. Ważniejsze bowiem były liczne książki „heroiczne” opowiadające (często zmyślane lub przesadzone) historie, jak to więźniowie pomagali sobie wzajemnie, jak walczyli czy zakładali konspirację. A tu książka, która wylicza, niemal codziennie, ile jedzenia dostawali więźniowie, ile razy każdego dnia zostali bici kijem, ilu ich nie wracało już z ciężkich robót każdego dnia. Także o trudnych lub wstydliwych sprawach: o upiornych ubikacjach, o zabijaniu człowieka, gdy znaleziono przy nim wesz, o topieniu ludzi w beczkach na mrozie, o pederastii między wyżartymi blokowymi i kapo a młodymi chłopcami, ratującymi się tak od śmierci z głodu. I dzisiaj – po pół wieku od wydania – wszystkie tamte „pseudoheroiczne” książki obozowe zostały zapomniane, a ta jedna: *Pięć lat kacetu* trwa, bo pokazuje prawdziwie codzienne życie więźnia.

Jeszcze jedna ważna sprawa wiąże się dla mnie z tą książką... Gdy po wielu perturbacjach życiowych zamieszkałem we wsi Lutry na Warmii, obok – w naszej gminie, we wsi Bęsia – mieszkała starsza kobieta, Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka. Przelotnie ją znałem. Działała w latach osiemdziesiątych XX wieku w Stowarzyszeniu Społeczno-Kulturalnym „Pojezierze”. Po śmierci cała jej prywatna biblioteka – zgodnie z ostatnią wolą – trafiła do bibliotek gminy Kolno: Bęsia, Kolna i Lutr. Książka Grzesiuka z jej spadku trafiła do biblioteki w Lutrach.

Gdy zorientowałem się, że na stronach książki pani Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka skreśliła uwagi o swoich przeżyciach w obozach koncentracyjnych – uznałem ją za ważny dokument. By się nie zmarnowała, wymieniłem się z biblioteką na tę książkę (w zamian za dwie swoje) i postanowiłem opublikować jej notatki obozowe. Długo z tym zwlekałem. Teraz postaram się spełnić ten zamiar.

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka (1908-1986) założycielka Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze” w Bęsi, inicjatorka budowy tamtejszej „nowej” Szkoły Podstawowej, opisała historię Bęsi i okolic (*Zarys historii Bęsi*, współoprac. z Jerzym Czarnockim, Bęsia 1975). Tyle informacji możemy znaleźć w Internecie o pani Eryce.

Notatki Eryki Mokrzyckiej-Niepokoyczyckiej w książce *Pięć lat kacetu*, które niniejszym pragnę przekazać, są trojakiego rodzaju. Przeważnie potwierdzają treść książki Stanisława Grzesiuka. Drugie – dopełniają wydarzenia opisywane przez autora *Pięciu lat kacetu*. I wreszcie są te, które sprzeciwiają się słowom Grzesiuka. Wszystkie, poniższe cytaty – z zachowaniem oryginalnej pisowni – pochodzą z egzemplarza *Pięć lat kacetu* (wyd. „Książka i Wiedza”, Warszawa 1967), który stanowił własność pani Eryki Mokrzyckiej-Niepokoyczyckiej.

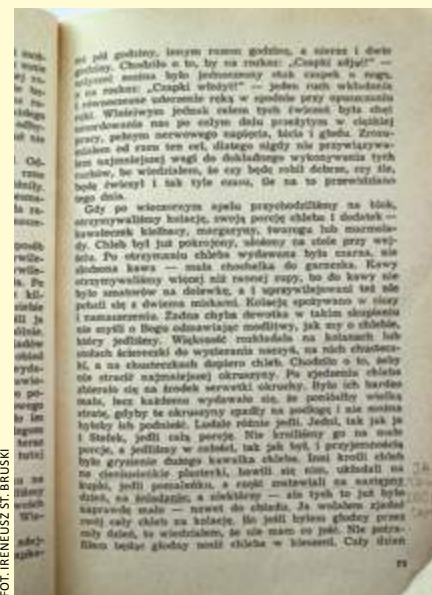
Potwierdzenia

Stanisław Grzesiuk we „Wstępie” do książki *Pięć lat kacetu* napisał: „Kto chciał

przeżyć, nie wolno mu było bać się śmierci, bo każdy, kto chciał żyć, a bał się śmierci – bał się narażać na bicie i wykonywał ściśle zarządzenia” (s. 8).

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka zdanie to podkreśliła.

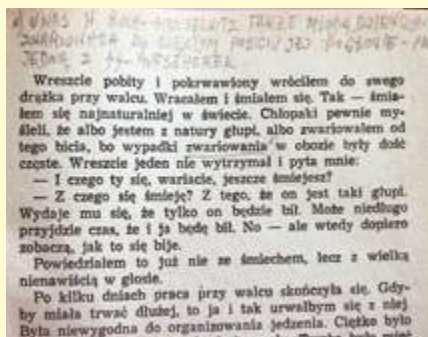
Stanisław Grzesiuk pisząc o umęczeniu więźniów poprzez brak snu, stwierdził: „Spaliśmy od godziny 9 do 4 rano. Budzono nas o 4, wydawano po niepełne pół litra czarnej, ale gorącej kawy [oczywiście zbożowej – przyp. AS] i już na dworze czekaliśmy co najmniej dwie godziny na apel. Przy ciężkiej pracy i niedożywieniu brak snu był jeszcze jednym czynnikiem umęczenia człowieka, dlatego też od pierwszych dni pobytu do samego końca zawsze starałem się poleżeć, czy też przespać się nawet wtedy, gdy trwało to kilka minut. W Dachau kładłem się zawsze rano pod barakiem i spałem aż do zbiórki na apel. W Mauthausen na spanie wykorzystywałem każdy dogodny moment, lecz tam było ciężiej ze spaniem [...]. W Gusen spałem wszędzie – w lato w chwilach wolnych od pracy, tj. po śniadaniu, obiedzie i kolacji, na uliczce, gdy było ciepło, a gdy nie było pogody i w zimie – na bloku, gdy sytuacja na to pozwalała. Spałem też i w zimie, w nie ogrzanej hali na deskach, zawsze po zjedzeniu obiadu, spałem na ziemi z kamieniem pod głową, spałem na kamieniach, spałem zawsze i wszędzie...” (s. 32-33).



FOT. IRENEUSZ ST. BRUSKI

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka na s. 33 potwierdziła: „Ja także wykorzystywałam każdą możliwą chwilę, aby wypocząć na leżącym!”.

Stanisław Grzesiuk opisał, jak ludzie jedli głodowe porcje chleba: „Po zjedzeniu chleba zbierało się na środek serwetki okruchy. Było ich bardzo mało, lecz każdemu wydawało się, że poniósłby wielką stratę, gdyby te okruszyny spadły na podłogę i nie można by było ich podnieść. Ludzie różnie jedli. Jedni, tak jak ja i Stefek, jedli całą porcję. Nie kroiliśmy go na małe porcje, a jedliśmy w całości, tak jak był, i przyjemnością było gryzienie dużego kawałka chleba. Inni kroili chleb na cieniutkie plasterki, bawili się nim, układali na kupki, jedli pomalenku, a część zostawiali na następny dzień, na śniadanie” (s. 73).



Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka podkreśliła ostatnie zdanie z tego fragmentu i dopisała: „Ja tak zrobiłam”.

Stanisław Grzesiuk: „Wreszcie pobity i pokrwawiony [przez esesmana – przyp. AS] wróciłem do swego drążka przy walcu. Wracałem i śmiałem się. Tak – śmiałem się najnaturalniej na świecie. Chłopaki pewnie myśleli, że jestem z natury głupi, albo zwariowałem od tego bicia, bo wypadki zwirowania w obozie były dość częste. Wreszcie jeden nie wytrzymał i pyta mnie: – I czego ty się, wariacie, jeszcze śmiesz? – Z czego się śmieję? Z tego, że on jest taki głupi. Wydaje mu się, że tylko on będzie bił. Może niedługo przyjdzie czas, że i ja będę bił. No – ale wtedy dopiero zobaczę, jak to się bije” (s. 109).

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka podkreśliła słowo „zwariowania” i dopisała: „U nas w Buch-Meuselwitz także młoda dziewczyna zwariowała po częstym pobiciu jej po głowie przez jedną z SS-Aufseherkę”.



Stanisław Grzesiuk: „Rozmowy, jakie prowadziliśmy stojąc przy rurach, były przeważnie na tematy kulinarne. Omawiano, jak się przyrządza różne potrawy, w których główną rolę zajmował tłuszcz. Rozmowy o jedzeniu były aż do końca rozmowami ludzi głodnych, którzy nie tylko rozmawiali o tym, ale niektórzy starali się o papier, ołówki i zapisywali sobie, jak się przyrządza różne potrawy” (s. 122).

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka zanotowała na marginesie: „U nas powstał plik zapisów kulinarnych międzynarodowych pt. «Marzenia głodomorów»”.



Stanisław Grzesiuk: „Opowiedziałem, jak to esesman wyciągał nam spod koszuli papier, papę i wióry drewna. [...] Przez cały czas było bardzo zimno i prawie bez przerwy padał drobny, dokuczliwy deszcz. Mieliliśmy na sobie tylko bieliznę i cienkie pasiaste ubranie, które jak zmokło, to można było postawić je w kącie i stało, bo było sztywne. Żeby chociaż częściowo chronić się przed zimnem, kto mógł, wkładał pod ubranie papier z worków po cementie lub kawałki papy. Papier z worków był lepszy, bo w dużym kawałku robiło się dziurę i wkładało przez głowę, wtedy papier zakrywał piersi, plecy i ramiona. Był jednak i feler – papier przy poruszaniu się szeleścił. Na apelach blokowi, sztabowi i kapowie chodzili między szeregami i każdego dotykali łapą. Jeżeli zaszeleścił fragment, więzień płakał za to biciem, i to takim biciem, że tracił zdrowie, a nieraz i życie” (s. 125).

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka podkreśliła ostatnie zdania i potwierdziła zapisem: „Tak też było w Ravensbrück, lecz nas obmacywały blokowe przy wejściu z bloku na ranny apel. Strasznie biły, jeśli złapały kogoś z papierem. Ja zdołałam wyrzucić z siebie w ciemny kąt – oj, było bez papieru zimno!”.



Stanisław Grzesiuk: „Wszy, pchły, mendy (skąd – sam nie wiem?), świerzby, liszaj na pół głowy, wrzody po 8-10 naraz, oraz bez przerwy bity i głodny – to właśnie byłem ja. Wszy, gdy szukało się każdego dnia, w samej koszuli znajdowałem 80 sztuk. Walczyłem z nimi przez ciągle kontrolowanie bielizny i koców, ale wciąż przychodziły nowe. Jak się jedną zabiło, to 500 przychodziło na pogrzeb i wszystkie gryzły. Chodząc na opatrunki prosiłem o bandaże, a jak nie chcieli dać, to sam «organizowałem». Każdego ranka zakładałem kawał bandaży na szyję, tak że końce wchodziły pod koszulę, jeden na piersi, drugi na plecy. [...] tak po dwóch godzinach delikatnie zdejmowałem z siebie bandaże, a w nim roilo się od wszy i pcheł. Wszy włożyły prawie wszystkie. [...] Z pchłami była lepsza heca. Tych były miliony. [...] Całe armie. Stawialiśmy na noc pod łóżka miski z wodą, w których rano pływał cały kożuch potopionych pcheł. Gdy odpięto się koszulę, to tylko szur, szur – pryskały jak fontanna. Pcheł się nie szukało. Brałem koszulę za kołnierz i strzępywałem ręką” (s. 208).

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka dopisała: „A na mnie wszy nie wlażyły. O dziwo – wśród tych milionów znalazłam tylko jedną, jedyną na bluzce. To już w przejściowym taborze, w Pilźnie przed repatriacją. Za to skakały po mnie pchły, byłam w centkach. Z pluskwami także nie bardzo miałam utrapienia”.



Stanisław Grzesiuk: „Wrzody – tych ni-
komu nie brakowało. Wrzody mieli chyba
wszyscy, którzy pracowali na zimnie i desz-
czu, a do tego byli głodni. Ja miałem ich
po osiem, dziesięć, do dwunastu naraz”
(s. 209-210).

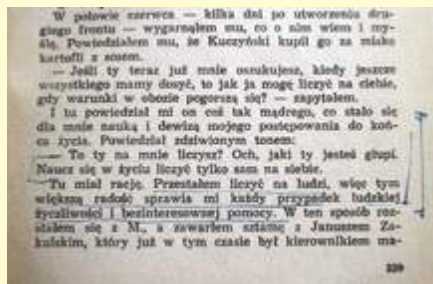
Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka pod-
kreśliła słowo „wrzody” i na marginesie
strony 209 dodała: „I ja miałam wrzody!”.

Stanisław Grzesiuk: „Jeśli ty teraz już
mnie oszukujesz, kiedy jeszcze wszyst-
kiego mamy dosyć, to jak ja mogę liczyć
na ciebie, gdy warunki w obozie pogorsza
się?” – zapytałam. I tu powiedział mi coś
mądrego, co stało się dla mnie nauką i de-
wizą mojego postępowania do końca życia.
Powiedział zdziwionym tonem:

– To ty na mnie liczysz? Och, jaki Ty
jesteś głupi. Naucz się w życiu liczyć tylko
sam na siebie.

Tu miał rację. Przestałem liczyć na ludzi,
więc tym większą radość sprawia mi każdy
przypadek ludzkiej życzliwości i bezinter-
esownej pomocy” (s. 359).

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka na
tej stronie być może chciała coś napisać,
ale poprzestała jedynie na zaznaczeniu
akapitu i podkreśleniu ostatniego zda-
nia długopisem.



Stanisław Grzesiuk: „[Lipiec 1944 roku]
Przyjemnie tu było. Słońce, powietrze,
samoloty aliantów, które leciały fala za
falą i waliły bomby na Linz. Słysząc było
wybuchy, a nawet widać było maleńkie
dymy wybuchów. [...] Naliczyłem wtedy
1200 samolotów i już więcej nie liczyłem,
choć szły one dalej. [...] Widziałem wte-
dy pięć strąconych samolotów. Z jednego
wyskoczyła obsługa na spadochronach.
Ten został trafiony za obozem, a w oko-
licy spadochronów rozerwało się kilka
pocisków artylerii przeciwlotniczej. Do
jednego strzelał nawet z karabinu poste-
runek za naszymi plecami. Jeden lotnik
wyładował wśród baraków SS. Gdy już był
kilkadziesiąt metrów nad ziemią, podniósł
rękę do góry – ale esesmani i tak strzelali
do niego. Gdy już prawie dotykał nogami
ziemi, przejechał po nim seria z automatu
esesman Kilerman” (s. 385).

Do tego fragmentu Eryka Mokrzycka-
Niepokoyczycka dodała: „Ja naliczyłam
się raz 1500 samolotów po tym przestałam
– bom się zmęczyła – A leciało – leciało!!”.

Uzupełnienia



Stanisław Grzesiuk opisując warunki
w Dachau, „na wolnych blokach” w 1940
roku, stwierdził: „Na łóżkach mieliśmy
kocę w kraciastych, biało-niebieskich po-
szewkach i w takich samych poszewkach
były podgłówki wypchane słomą. Bielizna
pościelowa i osobista zmieniana była co
tydzień. Raz w tygodniu była też kąpiel dla
wszystkich więźniów” (s. 25).

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka uzu-
pełniła: „Co za warunki! Jak w raju! –
W Ravensbruck miałam koc, który składał
się prawie z samych dziur!”.

Stanisław Grzesiuk: „Jednym z ważnych
czynników była też psychika człowieka. Kto
psychicznie się załamał, ten się szybko wykań-
czał, bo wtedy już na nic nie reagował” (s. 33).

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka pod-
kreśliła powyższe zdanie oraz uzupełniła
o swoje wspomnienia: „Ja bardzo często,
wcielałam się po prostu w rolę obserwatora
i jakoby patrząc na wszystko i wszystkich
«z chmurki na niebie». To dawało fanta-
styczne wyniki! Uodporniałam się, zrobi-
łam wiwisekcję ludzkiej duszy – łącznie
z własną – uczyłam się «życia w każdej
postaci». Zdołałam siłę, przestałam się
bać, a SS-mani słyszeli za maską uśmiechu
wiele gorzkich prawd i nie mogliam się
często w tym polapać. Wówczas zaczęłam
lubieć obrazy Brueghla (wyczarowałam je
z pamięci!), a zresztą właściwie myśmy –
więźniowie i reszta, tj. ci żałośni übermen-
schem – byliśmy jego żywymi obrazami!”.

Stanisław Grzesiuk: „Wiadomości [wie-
czorne – przyp. AS] były czasem przerywane
nowym wyskokiem Karla. Wchodził on
cicho do sypialni, zapalał światła i waląc
kijem wypędzał nas z łóżek. Szczególnie

bił tych, którzy zaraz nie wyskoczyli. Robił
to zawsze z wielkim szumem i wrzaskiem,
drąc się tym swoim, zniechęconym przez
nas, szczekającym głosem. Więc wypędzał
nas z łóżek i sprawdzał, czy któryś nie ma
na sobie kałesonów lub swetra pod koszulą
i biedny był ten, który został złapany w ka-
lesonach. Bicie, prawie do zabicia. Chodziło
o to, że spanie w kałesonach uważane było
za przygotowanie się do ucieczki i gdyby
taką kontrolę zrobił esesman i kogoś złapał,
cały blok miałby karne ćwiczenia...” (s. 75).

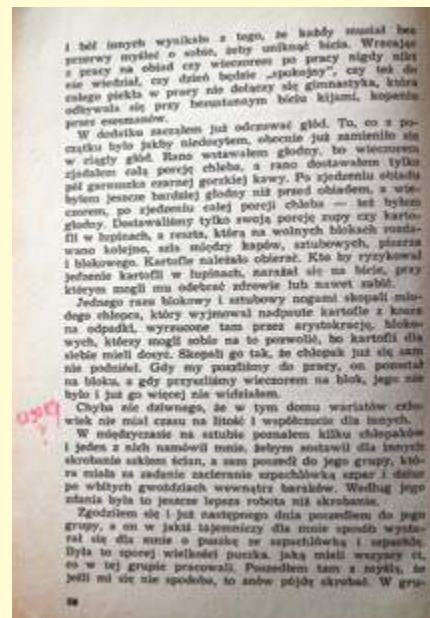
Eryka Niepokoyczycka dopowiedziała:
„Przez miesiąc w Oświęcimiu-Brzezince oraz
w Ravensbrück spałyśmy w naszych dzien-
nych ubraniach-łachach. Ja często w zaduchu
izby, spocona jakby wyjęta z wody – zrzuca-
łam z siebie łach – wieszając go nad głową
(spalałam na trzecim piętrze) między belki do
suszenia – sama przykrywając się «kocem»
całkowicie dziurawym (Ravensbrück)”.

Stanisław Grzesiuk na stronie 400 napisał
o pederastii w obozach koncentracyjnych.

Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka dodała
wpis: „Ja poruszyłam ten temat w swoich
wspomnieniach”.

Wynika z tego, że pani Eryka spisała swoje
wspomnienia obozowe, ale nie potrafiłem do
nich dotrzeć. Może ktoś będzie miał szczęście.

Sprzeciwy



Sprzeciwy wobec słów Grzesiuka są nie-
liczne.

Najważniejsze znajdują się na stronie 50,
gdzie Stanisław Grzesiuk opisuje zabicie głod-
nego chłopca za zabranie nadpsutych kartofli:
„Jednego razu blokowy i sztabowy nogami skopali
młodszego chłopca, który wyjmował nadpsute
kartofle z kosza na odpadki, wyrzucane tam przez
arystokrację, blokowych, którzy mogli sobie na to
pozwolić, bo kartofli dla siebie mieli dość. Skopali go
tak, że chłopak już się nie podniósł. Gdy my poszliśmy do

pracy, on pozostał na bloku, a gdy wieczorem przyszliśmy na blok, jego nie było i już go więcej nie widziałem. Chyba nic dziwnego, że w takim domu wariatów człowiek nie miał czasu na litość i współczucie dla innych”.

Po tej opinii Grzesiuka pani Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka daje tylko krótki komentarz, pisany czerwonym długopisem: „Czyżby?”.

Stanisław Grzesiuk opisuje, jak Polacy w obozie szykowali się serdecznie na przyjęcie Powstańców Warszawskich – ale pierwsza grupa to byli nie powstańcy, tylko ludzie, którzy z własnej woli zechcieli przyjechać na roboty”. Okazało się, że ci ludzie do samego Wiednia jechali bez żadnego konwoju. W Wiedniu dopiero SS zamknęło transport i obsadziło wagony. Był jeden taki, który gonił osobowym pociągiem transport, bo wyszedł z wagonu, a transport mu uciekł...” (s. 425-426).

Po podkreśleniu przez Erykę Mokrzycką-Niepokoyczycką tego zdania o jeździe bez konwoju, dopisała na marginesie: „To po prostu nie do wiary!! Przecież my w Warszawie byliśmy świadkami – choć nie we wszystkim – koszmarnego życia ofiar ludzkich – w obozach koncentracyjnych]. To jedyny chyba w swoim rodzaju przypadek. W każdym razie – My «Powstańcy z Warszawy» – Banditen – jechaliśmy zamknięci na plombach w bydłych wagonach. Wepchnięci tam masowo – bez litości – i pod silnym konwojem SS”.

To wszystkie uwagi, jakie dopisała Eryka Mokrzycka-Niepokoyczycka w swoim egzemplarzu książki *Pięć lat kacetu* Stanisława Grzesiuka. Myślę, że razem stanowią bardzo ważny dokument pokazujący, że nie tylko w obozach, w których przebywał Grzesiuk to się działo, ale we wszystkich niemieckich obozach koncentracyjnych hitlerowskich Niemiec, nawet w obozach dla kobiet, było tak samo.

Nasuwa się refleksja – po przeczytaniu *Jednego dnia* Iwana Denisowicza Sołżenicyna czy opowiadań Szarlamowa, Czapskiego i innych – myślę, że warunki w obozach i systemy wyniszczania ludzi w hitlerowskich Niemczech i komunistycznej Rosji były bardzo podobne. Straszniejsze były może na Kołymie lub na Sachalinie, gdzie ogromny mróz stanowił dodatkowo czynnik wyniszczający. Ale gdy ja pracowałem dla Polonii w Kazachstanie, opowiadano mi fakt, że na 40-lecie zamknięcia łagru w pobliżu Karagandy w Kazachstanie (po dojściu do władzy Chruszczowa) – zaproszono na uroczystość więźniarki. I zaproszono też „kapówki rosyjskie”. Jak je ujrzały więźniarki – przerażone zaczęły wyskakiwać w ucieczce przez okna, łamiąc sobie nogi. Myślę, że komentarz zbyteczny...

ANTONI SODUŁA

Porozumienie ws. ochrony dobrego imienia Polski



FOT. © DANUTA MATYLOCH / MKIDN

6 czerwca w Warszawie prof. Piotr Gliński, wicepremier i minister kultury oraz Elliott Portnoy, globalny partner zarządzający firmą prawniczą Dentons, podpisali deklarację o współpracy na rzecz przeciwdziałania publicznemu używaniu określenia „polskie obozy koncentracyjne”.

Jak wyjaśnia Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, „porozumienie dotyczy przeciwdziałania błędnemu przypisywaniu Polsce i Polakom odpowiedzialności za niemieckie nazistowskie zbrodnie przeciwko ludzkości, zbrodnie wojenne i zbrodnie ludobójstwa, których dokonywano w niemieckich nazistowskich obozach koncentracyjnych i obozach śmierci zbudowanych na okupowanym przez niemiecką III Rzeszę terytorium Polski”.

Na mocy zawartego porozumienia, obie strony mają wypracować metody wzajemnego informowania się o zaistniałych przypadkach naruszania dobrego imienia Polski oraz o sposobie i trybie reakcji na nie. Elementem wsparcia ze strony kancelarii będzie również przygotowanie pro bono raportu zawierającego informację analityczną i prawną określającą m. in. różnorodne pod względem prawnym przypadki publicznego używania określenia „polskie obozy”, możliwe do wykorzystania w poszczególnych państwach instrumenty prawne pomocne w ochronie reputacji i dobrego imienia Polski i Polaków w tym kontekście oraz zestawienie stosownego orzecznictwa sądów krajowych i trybunałów międzynarodowych. Raport przekazany będzie do pełnej dyspozycji i wykorzystania przez rząd RP oraz inne



FOT. © MKIDN

podmioty zainteresowane problemem ochrony dobrego imienia Polski.

Zdaniem sygnatariuszy, deklaracja przyczyni się do „skutecznej ochrony dobrego imienia Rzeczypospolitej Polskiej oraz do zwycięstwa prawdy w ważnym obszarze świadomości historycznej współczesnego świata”.

Z jednej strony można się cieszyć, że wreszcie polski rząd podejmuje właściwe działania. Smuci jednak, że nie dostrzeżono dotychczasowych wieloletnich działań polskich kancelarii prawnych, które również pro bono broniły i bronią dobrego imienia Polski i Polaków, m. in. Kancelarii Radców Prawnych i Adwokatów Lech Obara i Współpracownicy oraz Kancelarii Pasieka, Derlikowski, Brzozowska i Partnerzy.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

W krainie ubłoconych pisarzy

Winniśmy wdzięczność Joannie Siedleckiej za książki o naszych pisarzach; swego czasu wydała monografie publicystyczne o mistrzach prozy i poezji, ludziach prawych i zasłużonych – Marii Kuncewiczowej i Zbigniewie Herbertcie. Natomiast w trzech ostatnich książkach jest – i chwała jej za to – bezkompromisową demaskatorską tzw. życia literackiego w Polsce ludowej. Po *Oblawie. Losy pisarzy represjonowanych* (2005) i *Kryptonimie „Liryka”*. *Bezpieka wobec literatów* (2008) J. Siedlecka dała nam *Biografie odtajnione. Z archiwów literackich bezpieki* (2015). We wstępie autorka przyznaje, że ta książka jest „trzecią już opowieścią o temacie wciąż nieprzerobionym, objętym ciężką złą milczenia...”. Owa trzecia część tryptyku to więc w miarę szerokie życiorysy kilku twórców zrzeszonych w polskoludowym Związku Literatów Polskich. To jakby fresk malowany... błotem.

Porażają wiadomości o życiu publicznym i prywatnym wielu luminarzy literatury. Właściwie w tym, jak przenośnie i zarazem stosownie do przedmiotu opisu określa autorka „literackim terrarium pełnym kłających się żmij”, osoba Władysława Broniewskiego jest sympatyczna nawet ze swym alkoholizmem. Bo Broniewski czuł, przeżywał, doznawał, myślał jak Polak z Polski minionej w 1939 roku; nie grał żadnej roli w tym „terrarium” – był po przejściach w Sowietach letnim wykonawcą nakazów ideologicznych i zarazem ich ofiarą. Natomiast jego żona, komunista z wyboru (i głupoty) pasowała bez reszty do tamtego świata. Jej niemoralne zachowanie, a przecież zgodne z obyczajowością komunistyczną, doprowadziło do samobójstwa ich jedynej córki, nad wszystko kochanej przez poetę. Była ona już wtedy żoną Stefana Kozickiego, cenionego już w latach sześćdziesiątych reportażyści, który tę śmierć przeżył również boleśnie.

Jest jeszcze jedna postać w tej książce wzbudzająca sympatię, nawet współczucie – Anna Kamieńska, poetka, tłumaczka poezji, bułgarskiej, serbskiej, chorwackiej, rosyjskiej, autorka wielu znamienitych książek dla dzieci i młodzieży, matka Pawła Śpiewaka, naukowca i publicysty. Jak na „czasy pogardy” polskoludowej twórczość i życie Kamieńskiej były niezwykle, bo

determinowane tradycyjnym systemem wartości, gdzie było owo ewangeliczne „tak za tak, nie za nie”; uczciwość, życzliwość, współodczuwanie losów bliźnich stanowiły niewzruszony wojną i sowietyzmem kanon jej postępowania. Bezpieka osaczyła ją de-latorską troską Marty Tomaszewskiej, grafo-manki, autorki książek dla dzieci, a oprócz tego lesbijki. O tak, tajne służby policyjne PRL umiały werbować alkoholików i dewiantów, którzy albo im świadomie służyli, albo swym lekkomyślnym i nieetycznym zachowaniem bezwiednie ułatwiali inwigilację siebie i dużej części środowiska.

Do drugiej kategorii należeli Jerzy Zawieyski i Jerzy Andrzejewski. Obaj byli homoseksualistami. Z powodu tej dewiacji i niefrasobliwości wyrządzali szkody o wiele większe od niejednego najbardziej cynicznego szpicla.

Zawieyski wiódł życie niczym w teatrze – dwojakie. W życiu publicznym (i politycznym) występował pod szyldem katolicyzmu: był posłem rekomendowanym przez „Znak” i bliskim współpracownikiem, prawie pryncipalem, prymasa Stefana Wyszyńskiego, prezesem Klubu Inteligencji Katolickiej, autorem wielu powieści i dramatów ideowo wyrastających z najszczytniejszych polskich tradycji kulturowych. Tymczasem opisy jego ekscesów pederastycznych przerażają. Nie donosił wprawdzie, ale, jak wyrażali się jego koledzy po piórze, „kłapał dziobem przez telefon” o wszystkich i wszystko. A nadto bezpieka podstawiała mu chłopców, w których się zakochiwał (na krótko) i którzy składali bezpiece detaliczne raporty z poczynania „figuranta”, a jako że bezpieka zainstalowała podsłuch i telefoniczny, i mieszkaniowy, to miała także niczym z radia najświeższe i niemal natychmiastowe wiadomości o tym, co się działo w Związku Literatów, co twórcy mówili, co zamierzali. Zawieyski płacił swym partnerom „nie tylko gotówką czy przydziałem niedostępnego wtedy telefonu, ale ułatwieniem artystycznych



i kościelnych karier, raczej homokarier” – pisze Siedlecka. W ten sposób pisarz-homoseksualista stawał się „źródłem osobowym” kompromitującym katolicyzm i Kościół katolicki, czyli spełniał najważniejsze dążenia PPR/PZPR. Notabene, doświadczając współczesności chciałoby się powiedzieć, że partia ta w pewnej mierze dopięła swego...

Twórczość Andrzejewskiego, wyniesiona przez polskoludowych Kulturträgerów na piedestały sztuki literackiej, jest świadectwem przeniebierstwa pisarza. Zadebiutował w 1938 roku powieścią *Ład serca*; wyra- sta ona z inspiracji francuskich pisarzy katolickich tego czasu: Mauriaca (autora m. in. powieści *Kłębowski żmij*), Maurois, Bernanosa. Zresztą kultura polska 1. połowy XX wieku przyswajała i rozwijała osiągnięcia myśli katolickiej zarówno w filozofii, jak i literaturze; sporo zawdzięczała również Anglikom, Huxleyowi czy Greenowi. W okresie stalinowskim Andrzejewski opublikował zaś serwilistyczny esej „Partia w życiu pisarza” oraz ni to opowiadanie, ni nowelę, ni farsę – *Wojna skuteczna*, czyli opis bitew i potyczek z Zadufkami, gdzie naigrawa się z religijnych praktyk katolickich. Zwrócił więc na siebie uwagę strażników sowiecko-polskiej dyktatury pragnącej po wymazaniu ze świadomości społeczeństwa wszelkiej tradycji narodo-wo-państwowej stworzyć „nowego człowieka” i „nową sztukę”. Dzisiaj wszelkiej maści „poprawnościowcom” udaje się to osiągać i u nas, i na świecie. Jakoż z osobistego polecenia Jakuba Bermana, szefa ówczesnej bezpieki, Andrzejewski stworzył Popiół i diament. Genezę tego utworu opisał swym wybornym piórem już śp. Krzysztof Kąkolewski w esej *Diament znaleziony w popiele*. Powieść Andrzejewskiego jest schematyczna, ideowość czarnobiała: po stronie dobra bojownicy nowej władzy, po stronie zła obrońcy starych porządków, czyli tutaj Armii Krajowej. Zlecniodawcy byli zachwyceni tym dokonaniem pisarza do niedawna katolickiego zdradzającego teraz swój rodowód ideowy, toteż zachęcili wschodzącą gwiazdę „nowej” kinematografii, Andrzeja Wajdę, do przeniesienia tej

fabuły literackiej na ekran. Reżyser jeszcze bardziej niż Andrzejewski ukontentował dysponentów: pokazał, jak idee AK symbolicznie giną na śmietniku – śmietniku historii, ma się rozumieć. I od razu Wajda stał się „arcymistrzem” kina...

Andrzejewski wypijał codziennie trzy butelki wina, starzejąc się zmieniał chłopców z częstotliwością podobną do Zawieyskiego; popadł w megalomanię i uznał siebie za największego pisarza Europy, któremu należy się nagroda Nobla. Owszem, w połowie lat siedemdziesiątych przystał do opozycji, który to akces przydawał mu, jak mniemał, nimbu wśród niezawisłych twórców (bo przecież, choć w małej liczbie, działali i tacy poza błotem swych licznych kolegów ze związku literatów); uważał siebie wręcz za twórcę KOR. I wreszcie był prekursorem dzisiejszego klękania przed „inaczej się kochającymi”. Wystosował apel do władzy o przywileje dla homoseksualistów. Partia skrzętnie ukrywała ten epizod chroniąc „swego” pisarza przed ostracyzmem ówczesnej znakomitej części społeczeństwa. Oczywiście, był osaczony gromadą donosicieli – zaczynając od zięcia, a kończąc na swych kochankach...

Zasygnalizowałem zaledwie treść ostatniej części tryptyku publicystycznego Joanny Siedleckiej. Resztę niech czytelnik pozna bezpośrednio, zapewniam, że się nie znudzi; być może będzie się nieco zżymać na dziwolągi słownikowe w rodzaju „ekspijując” (od „ekspiacji”) i czasami niezbyt komunikatywne konstrukcje składniowe. Wszelako książka godna jest uważnej lektury.

Lecz właściwie po co?

Ten temat będzie tkwił w naszym życiu publicznym niczym oścień, dopóki społeczeństwo nie będzie miało swobodnego dostępu, powiedzmy, jak w bibliotekach, do w s z y s t k i c h archiwów bezpieki. Po to, żebyśmy doznali katharsis. „Prawda was wyzwoli” – powiedział Prawodawca naszej kultury. Nie ma, nie może być, nie było i nie będzie przeto żadnej normalnej społeczności, żadnej zdrowej organizacji wspólnotowej (narodowej i państwowej) bez świadomości prawdy o sobie. Tak jak znamy raczej powszechnie zdrajców, sprawców upadku I Rzeczypospolitej, tak musimy być świadomi prawdy o naszej elicie z lat 1944-1989.

Wiem, to błoto opisane przez Siedlecką może zniesmaczyć niejednego czytelnika, lecz bez tego „zniesmaczenia” nie przezwyciężymy jego toksycznych duchowo wyziewów. I po to, sądzę, Siedlecka napisała tę książkę, żebyśmy poznając brudy PRL-u i to, co po nich trwa, mogli się od nich wyzwolić. Inaczej będą nas one gnębić przez pokolenia.

JACEK WEGNER

Obława



Teresa Kaczorowska z nagrodą specjalną Fundacji Solidarności Dziennikarskiej SDP za książkę *Obława Augustowska*, 28 stycznia 2016 FOT. © AUGUSTOWSKIREPORTER.PL

Pamięć o Obławie Augustowskiej z lipca 1945 roku trzeba ponieść dalej, uczynić ogólnonarodową. Wierzymy, że reportaże Teresy Kaczorowskiej (*Obława Augustowska*, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2015) przyczyniają się do tego – uważają historycy z Augustowa, Danuta i Zbigniew Kaszlejowie. Nie tyle reportaże, co świadectwa siedmiorga osób, opatrzone solidnymi przypisami źródłowymi oraz bogatą ikonografią, które złożyły się na opowieść o mało znanej – przez ponad 50 lat kompromitująco przemilczanej – zbrodni Sowietów oraz zbrodniarzy rodzimego chowu.

– Najgorsi byli zdrajcy – twierdzi Marian Tananis ps. „Murka” z Sejnu, opowiadając o partyzancie „Orłowie”. – To był Polak, przynajmniej przed nami chwalił się polskim rodowodem. Mówił, że jego ojciec, powstaniec styczniowy, został skazany na zesłanie w głąb Rosji. On, Włodzimierz Cwietyński, już tam się urodził. Akowcy go lubili. Dobrze mówił po polsku, był naszym kolegą z lasu, a okazał się komendantem specjalnego dywersyjno-rozpoznawczego oddziału NKWD. Sowieccy partyzanci majora Orłowa penetrowali lasy, rozbijali polską partyzantkę (dając broń w zamian za informacje).

Niektórzy uważają Cwietyńskiego-Orłowa za głównego sprawcę późniejszej tragedii, gdyż to on zdekonspirował część struktur

AK na Białostocczyźnie. Pacyfikację zwaną Obławą Augustowską albo „kolejnym Katyniem” przeprowadziły oddziały Armii Czerwonej (około 45 tys. żołnierzy), 160 żołnierzy 1. Praskiego Pułku Piechoty wspomaganymi przez milicję oraz ubowców. Nad całością „czuwały” jednostki 62. Dywizji NKWD. Zatrzymano ponad 7 tys. osób związanych rodzinie z akowską partyzantką. Danuta Kaszlej twierdzi, że podana w roku 1995 roku przez Nikitę Pietrowa z moskiewskiego MEMORIAŁ-u liczba rozstrzelanych 592 polskich obywateli, choć nadal powtarzana, dawno straciła aktualność. Prof. Krzysztof Jasiewicz uważa, że wywieziono i zamordowano około 1,5 tys. osób. Natomiast ks. prałat Stanisław Wysocki z Suwałk, prezes Związku Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej 1945 Roku, ocenia liczbę ofiar Lipcowej Obławy na około 2 tys. osób.

Na początku lat 90. Główna Prokuratura Wojskowa Rosji zbierała materiały i prowadziła dochodzenie w sprawie tej stalinowskiej zbrodni – przypomina Nikita Pietrow (MEMORIAŁ) – ale nadal nie zdecydowała się ogłosić prawdy. Do tej pory rosyjscy przywódcy nie nazwali Obławy – zbrodnią. Nie było rzetelnego śledztwa z jasną odpowiedzią – gdzie zniknęli aresztowani Polacy?

BOGDAN J. KRAWCZYK

Niewygodna prawda

Film „Niewygodna prawda” reklamowany jest jako mocniejszy od „Spotlight” i „Big Short”. Tego drugiego nie widziałem, pierwszy jest świetny. A „Niewygodna prawda”? Ma wady i zalety. Zawiera prawdy i mity. Warto je prześwietlić.

Film jest oparty na książce Mary Mapes, która jest główną bohaterką filmu (gra ją Cate Blanchett). Mapes przez wiele lat była dziennikarką i producentką programu CBS News, w tym słynnego programu śledczego „60 Minutes”. To ona ujawniła w telewizji informacje o torturach w więzieniu Abu Ghraib, przeznaczonym dla islamskich terrorystów lub osób podejrzanych o terroryzm (wcześniej pisała o tym agencja Associated Press). Za tamten materiał otrzymała Peabody Award.

„Niewygodna prawda” opowiada historię amerykańskich dziennikarzy, którzy przed wyborami prezydenckimi w 2004 roku postanowili opisać kulisy służby Georga W. Busha w Gwardii Narodowej. Według programu CBS, wyemitowanego 8 września 2004 roku, Bush uchylał się od służby wojskowej, a pomagać mu w tym miał m. in. jego ojciec. Prowadzącym „60 Minutes” był wtedy Dan Rather (gra go Robert Redford), który wziął na siebie dużą część odpowiedzialności za ten przekaz.

Telewizja przytoczyła dokumenty z kartoteki byłego dowódcy Busha w Teksaskiej Gwardii Narodowej, nieżyjącego już ppłk. Jerry’ego Killiana. Wynikało z nich między innymi, że Bush nie zgłaszał się na badania lekarskie konieczne do lotów szkoleniowych. Miał też ochronę ze strony wpływowych osób, co pozwoliło mu uniknąć udziału w wojnie w Wietnamie. Zgodność treści dokumentów z intencjami autora potwierdziła była sekretarka Killiana, ale za fałszywe uznali je członkowie najbliższej rodziny zmarłego. Powołani eksperci częściowo podważyli autentyczność dokumentów, a częściowo ją potwierdzali. Dokumenty te stacja CBS otrzymała od byłego oficera Gwardii Narodowej Billa Burketta, aktywnego działacza Partii Demokratycznej w Teksasie, zaangażowanego w kampanię przeciw reelekcji Busha.

Autentyczność dokumentów została zakwestionowana: wskazywano między innymi, że można je było napisać na komputerze (a na początku lat 70. XX wieku nie było to możliwe), oraz że są pisane takim rodzajem czcionki, który w dokumentach z tamtych lat nie występował. Ostatecznie, stacji CBS nie udało się

obronić swojego stanowiska i Dan Rather 20 września 2004 roku oświadczył na antenie, że „*If I knew then what I know now – I would not have gone ahead with the story as it was aired, and I certainly would not have used the documents in question*” – czyli, w wolnym tłumaczeniu, że gdyby wiedział to, co wie teraz, to nie przedstawiłby tej historii w taki sposób, jak to się stało, i z pewnością nie użyłby tych dokumentów w wyemitowanym programie.

CBS News powołała specjalną, niezależną komisję pod kierownictwem byłego szefa agencji Associated Press i byłego prokuratora generalnego, związanego z Republikanami, która ustaliła, że reporterzy nie dokonali należytej weryfikacji i nie sprawdzili dokładnie wiarygodności swego źródła oraz autentyczności dokumentów (dokumenty Killiana były faksami i fotokopiami). Zwolniono wówczas z pracy trzech producentów programu oraz wiceprezeskę stacji. Pracę zachował Dan Rather, ale odszedł z CBS w 2005 roku. Później wystąpił przeciw CBS z pozwem sądowym, żądając od stacji 70 mln. dolarów, lecz ten pozew przez sądy amerykańskie został oddalony.

Reżyser filmu (debiutujący w tej roli) James Vanderbilt zawierzył książce *Mary Mapes Truth and Duty: The Press, the President, and the Privilege of Power* tak bardzo, że nie próbował przyjąć bardziej bezstronnej postawy. Film usiłuje przekonać widzów, że istotą sprawy były nadużycia popełnione przez G. W. Busha i przez osoby chroniące go przed udziałem w wojnie w Wietnamie, a nie to, czy dziennikarzom udało się dowieść autentyczności dokumentów Killiana. Taka optyka była zgodna z intencjami producentki programu, Mary Mapes.

Można zapytać, o jakiej prawdzie mówi film, bo „Truth” to jego oryginalny tytuł. Czy o prawdzie Mary Mapes, czy o prawdzie Busha, czy o prawdzie, którą ustaliła komisja CBS? Bo niezależnie od tego, jak było naprawdę, trzeba wyraźnie powiedzieć, że „prawda” ustalona przez dziennikarzy nie miała mocnych podstaw dokumentalnych i metodologicznych. Film pokazuje, że konsekwencją pośpiechu, pobieżnej weryfikacji źródeł,

motywów i intencji informatorów oraz pogoni za sensacyjnym materiałem, jest historia niewiarygodna, niesprawdzona, łatwa do zakwestionowania, zatem „nieprawdziwa”.

Można się dziwić, że taka wpadka przydarzyła się porządnym dziennikarzom. Że nawet taka ikona amerykańskiego dziennikarstwa, jak Dan Rather, nie ustrzegł się pomyłki. Myślę, że „zawiniła” sytuacja, w której znaleźli się dziennikarze – presja czasu, polityczne uwarunkowania kampanią prezydencką w USA, chęć udowodnienia atrakcyjnej (sensacyjnej) tezy, w dobie stabilizowanych zbadania. Nie rozmywa to odpowiedzialności reporterów, którzy nie dochowali należytej staranności w procesie zbierania i weryfikowania informacji. Ten film powinien być przestrogą dla tych wszystkich dziennikarzy, którzy zbyt łatwo, często bez namysłu, angażują się w bieżącą walkę polityczną.

Co do ról, to godna podziwu jest Cate Blanchett, zdobywczyni dwóch Oskarów, jako Mary Mapes – dziennikarka poszukująca prawdy, lecz w swojej pasji drażnienia tematu tracąca kontakt z rzeczywistością, choć do końca przekonana o swojej racji. Z kolei Robert Redford, jako ikona amerykańskiego dziennikarstwa, pokazał tą rolę, że nie jest ona tej samej siły i jakości, co rola Boba Woodwarda w filmie „Wszyscy ludzie prezydenta”. W tamtym filmie, młody wiek aktora okazał się atutem, synonimem autentyczności i wigoru. W „Niewygodnej prawdzie” starszy o 40 lat Robert Redford grający 73-letniego Dana Rathera nie wyróżnił się na tle innych aktorów. Zresztą film jest w zasadzie popisem jednego aktora – Cate Blanchett.

Summa summarum: „Niewygodna prawda” jest filmem słabszym niż „Spotlight”, ale mimo to zasługującym na uwagę. Warto zobaczyć, czego dziennikarze robić nie powinni, żeby nie rozmienić na drobne kariery, którą buduje się latami. Dan Rather, doskonały dziennikarz telewizyjny, jeden z najlepszych w historii USA, zostanie zapamiętany przez opinię publiczną jako bohater afery Rathergate. Szkoda, bo zasłużył na więcej.

MAREK PALCZEWSKI

Serio o serialach

TVP
seriale

Niewiele zjawisk z pola kultury masowej, zwanej też pop kulturą, może rangą i zainteresowaniem publiczności rywalizować z serialem telewizyjnym.

W PRL mówiło się np., że „telewizja serialami stoi”, czyli serial był znakiem firmowym i oczkiem w głowie decydentów z Woronicza.

Kręcono dużo, a czy udatnie – niech świadczą żywe do dziś zainteresowanie odcinkowymi produkcjami z tamtych czasów. I gdyby nie możliwość nieustannych, chwilami do znużenia serwowanych powtórek, marny byłby los wielu dzisiejszych stacji telewizyjnych – i „publicznych” i prywatnych, komercyjnych.

Dziś, czyli w III RP, mamy raczej serialową posuchę. Nie to, żeby nic, ale porównania nie ma. Jakie są przyczyny owej posuchy? I czy na pewno to, co dziś kwalifikowane jest jako serial, spełnia wymogi stawiane temu gatunkowi?

Te i inne interesujące kwestie, związane z produkcją seriali, usiłowali rozwiązać ludzie z kierownictwa Narodowego Instytutu Audiowizualnego (NInA), instytucji młodej, dynamicznej, nowoczesnej, działającej głównie na rynku cyfryzacji dóbr kultury, ale na szczęście nie tylko. Zorganizowano tam np. trzydniową imprezę pod ambitną nazwą Festiwal Kultury Audiowizualnej „Nowa fala seriali”. Ów termin „nowa fala” odnosił się oczywiście do produkcji zachodniej, w sferze rozważań krajowych pokuszono się o panele nt. „Gdzie się podziały polskie seriale?” oraz „Kiedy przestaniemy tęsknić za «Wojną domową»?”.

Niestety, być może współorganizatorzy, a być może inne czynniki zadecydowały o tym, że impreza miała głównie charakter komercyjno-warsztatowy i to w odniesieniu do produkcji zachodnich, o których przeciętny polski widz nie wie nic lub wie niewiele, jeśli nie odbiera kanałów w rodzaju HBO. Byli więc producenci i decydenci zachodnich kanałów, management, nawet showrunners (odpowiednika w Polsce nie ma, można to opisać jako superkierownika produkcji), nie było – co zadziwiające – ani jednego socjologa kultury, a przecież serial, prawdziwy serial, to zjawisko par excellence socjologiczne.

Nic więc dziwnego, że mówiono o wszystkim z wyjątkiem spraw najważniejszych: scenarzyści wylewali swe żale na producentów, że przebierni, że trudno się przebić, że na początku musi się angażować własne kapitały, że to wszystko za długo trwa, wreszcie że u nas anachroniczna jest struktura organizacji produkcji w telewizji. Ludzie ze



Jubileusz serialu „Alternatywy 4”, 2015 FOT. © MAREK ULATOWSKI / MW/MEDIA

stacji komercyjnych nie narzekali – czasem dłużej czekali na pieniądze... Ot i wszystko.

A przecież serial to, jak powiedziałem, lokomotywa telewizji. Jak taką lokomotywę skonstruować?

Potrzeba właściwie jedynie trzech, no, może czterech elementów.

Pierwszy – to **scenariusz**, napisany „dobrym piórem” przez kogoś, kto ma jakiś realny kontakt z realną rzeczywistością, z naszą rzeczywistością. Ludzie, którzy piszą dzisiaj scenariusze do seriali, nie mają ani dobrych piór ani owego kontaktu: poruszają się w plastikowej rzeczywistości, więc tworzą plastikowe postacie i plastikowe problemy. Adresują to wszystko do plastikowego Polaka, który się cieszy, że nie musi za bardzo wysilać mózgowicy.

Drugi element – **wolność**. PRL-owskie seriale kłamały często i gęsto, budowały atrapy rzeczywistości, ale ponieważ ówczesni Polacy też widzieli najczęściej tylko atrapę Polski, jej propagandowy wizerunek – akceptowali to. Poza tym – przyzwyczaili się... Tymczasem serial, żeby gromadzić miliony widzów przed telewizorami, musi mówić o c z y m ś, o czymś prawdziwym, co widz zna z autopsji, do czego może się odnieść w dyskusji, w refleksji... Inaczej będzie się tylko śmiać. Fakt, że dziś można bez końca pokazywać „Alternatywy 4” Barei, według mnie jego największe dzieło, bierze się stąd, że ten superserial pokazał prawdę o Polsce Jaruzelskiej – o kraju ciągłego koszmaru na różnych polach, o kraju wiecznych braków, o wszechmocy byle urzędasza czy „prezesunia” itd., itd.

To, co dziś produkuje TVP (o innych nie mówmy, zresztą różnica niewielka), dzieje się w jakimś świecie księżycowym i dotyczy głównie sfer męsko-damskich, banalnych problemów psychicznych, jakieś tam sfery

zawodowej, wychowywania dzieci... Można by to pokazać wszędzie, w Pernambuco, Pekinie, na Haiti – zupełnie jak słynne brazylijskie „tasiemce”. Koszt niewielki – kamera czy dwie, proste studio, obsada z samych dwu- czy trzeciorzędnych „celebrytów”... Byle interes się kręcił!

Trzecia sprawa to **produkcja**: powinno powstać jakieś gremium rzetelnych i kompetentnych ludzi oceniających, decydujących o losach składanych propozycji, może w obrębie PISF-u (ale na pewno nie w tym układzie personalnym!). Podobne gremium mogłoby funkcjonować przy TVP, w końcu ta właśnie firma byłaby głównym beneficjentem odcinkowej produkcji.

Czwarta i ostatnia sprawa – **pieniądze**. Ale tu chyba mówić dużo nie trzeba.

Zapytałem jednego z uczestników dyskusji w NInA, aspirującego od lat do zrealizowania serialu według własnego pomysłu, jaki byłby jego serial marzeń. Odpowiedział mniej więcej tak: „Serial o polskich przemianach, co najmniej od roku 1989, a może od 1980, o wielopokoleniowej polskiej rodzinie, jej meandrach na tle meandrów Historii. Oczywiście serial prawdziwy”.

Po czym zgodziliśmy się szybko, że w najbliższym czasie taki serial na pewno nie powstanie. Zamiast bowiem pytać, jak organizatorzy wspomnianego Festiwalu, gdzie się podziały polskie seriale, należy zapytać: gdzie się podziła refleksja nad polskim życiem, nad polską rzeczywistością?

Nie musieliśmy zatem sobie nawzajem tłumaczyć, dlaczego jesteśmy sceptyczni. Obaj uznaliśmy po prostu milcząco, że w Polsce AD 2016 nie ma prawdziwej twórczej wolności, a przynajmniej że dostęp do kanałów tej wolności, do jej obszarów, jest reglamentowany. I pilnie strzeżony.

WOJCIECH P. KWIATEK

Mazurska Kosaczewina

Pięć lat temu, 18 maja 2011 roku, Stowarzyszenie „Mazurska Kosaczewina” powołało do życia, w niewielkiej mazurskiej wsi Koczarki, amatorski zespół ludowy „Mazurska Kosaczewina”.

Nazwa zespołu wywodzi się od pierwszych sylab głównych miejscowości, skąd pochodzą jego członkowie: KO- jak Koczarki, SA- jak Salpik, CZE- jak Czerniki, WI- jak Windykajmy, NA- jak Nakomiady.

Członkowie zespołu, amatorzy – mieszkańcy różnych wsi, oddalonych od siebie nawet 20 kilometrów – różnicowani wiekowo (cztery pokolenia, od 6 do 71 lat), społecznie, jak również talentem do artystycznych występów, gdzie ktoś dobrze śpiewa, inny pięknie deklamuje, a jeszcze inny ma poczucie rytmu. Wymienione aspekty są dla tych niecodziennych artystów poniekąd marginalne, gdyż najważniejszą sprawą w ich zaangażowaniu jest to, że stanowią razem wspólnotę, która z zamiłowaniem i pasją chce odtwarzać i upowszechniać lokalną mazurską kulturę, w szczególności posługując się gwarą mazurską.

„Mazurska Kosaczewina” stanowi pierwszy amatorski zespół ludowy w gminie Kętrzyn, a z tego, co wiadomo pierwszy w regionie, który posiada repertuar wyłącznie w gwarze mazurskiej. W 2015 roku zespół uczestniczył w powstaniu filmu dokumentalnego pt. „Odnaleźć Mazury”, którego producentem było Stowarzyszenie „Mazurska Kosaczewina”.

Z okazji przypadającego w bieżącym roku jubileuszu, Stowarzyszenie Przyjaciół Filatelii Maltańskiej i Warmińsko-Mazurski Oddział SDP w Olsztynie wydało specjalną serię kartek pocztowych poświęconych zespołowi, które niniejszym – na łamach „Bez Wierszówki” – prezentujemy.

AGNIESZKA ROSZIG



Pod patronatem „Bez Wierszówki”

Opowieści znad Łyny

Instytut Polonistyki i Logopedii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie organizuje konkurs pt. „Opowieści znad Łyny”.

Konkurs jest adresowany do młodzieży szkół ponadgimnazjalnych z województwa warmińsko-mazurskiego. Celem konkursu jest rozwijanie zainteresowania młodzieży regionem Warmii i Mazur, a co z tym się wiąże popularyzacja wiedzy o tym regionie Polski północno-wschodniej, a także umożliwienie młodzieży prezentacji swoich umiejętności kreatywnego pisania. Na konkurs można przysyłać formy prozatorskie w trzech kategoriach, inspirowane wiedzą o regionie warmińsko-mazurskim,

od czasów najdawniejszych do współczesności: I – opowiadanie, nowela, II – baśń, III – reportaż literacki. Jury będzie oceniać inwencję twórczą autorów, związek treści z regionem Warmii i Mazur oraz stopień wykorzystania cech właściwych wybranemu gatunkowi. Objętość utworu nie może przekraczać 10 stron formatu A4, czcionka 12. Teksty zgłaszane do konkursu nie mogą być wcześniej publikowane. Prace w trzech egzemplarzach, opatrzone godłem wraz z małą zaklejoną kopertą, w której należy umieścić podstawowe dane o uczestniku (imię i nazwisko, nazwa szkoły, klasa, adres, telefon i e-mail kontaktowy) należy przestać listownie na



adres: Instytut Polonistyki i Logopedii, 10-725 Olsztyn, ul. Kurta Orbitza 1, z dopiskiem: „Opowieści znad Łyny”. Termin przyjmowania zgłoszeń: 31 października 2016 roku.

Termin ogłoszenia wyników: 6 grudnia 2016 roku. Szczegółowe informacje dotyczące konkursu na stronie internetowej Instytutu Polonistyki i Logopedii UWM w Olsztynie: www.uwm.edu.pl/polonistyka

Wybory polityczne pokolenia Y

Pierwszy w tym roku numer pisma „Studia Medioznawcze” przynosi m. in. artykuł o wpływie mediów społecznościowych na zachowania wyborcze*. Autorki zwracają uwagę na atrakcyjność tego kanału przekazu i podkreślają jego wzrastającą rolę w kształtowaniu postaw wyborczych.

Tak zwane social media stały się jednym z integralnych elementów komunikacji politycznej. Celem artykułu było wykazanie, że, po pierwsze, politycy nie mogą już w kampaniach wyborczych nie korzystać z tych mediów, po drugie – potwierdzenie tezy, że młodzi ludzie zdominowali serwisy społecznościowe, po trzecie – próba odpowiedzi na pytanie, czy media społecznościowe mogą kształtować gusta polityczne.

Punktem wyjścia analizy były wybory parlamentarne w 2015 roku. Autorki oparły swoje rozważania na wynikach niezależnego badania pt. „Wybory z perspektywy młodych” przeprowadzonego przez Mobile Institute w okresie od sierpnia do października 2015 wśród 1341 polskich internautów. Celem badania było uzyskanie wiedzy o poglądach tzw. pokolenia Y (urodzeni po 1980 roku) na tematy społeczno-polityczne.

Z badań wynikało, że 46 proc. respondentów w wieku 19-24 (nazwijmy ich młodszymi) i 33 proc. w wieku 25-34 (tzw. starsi) informacji szukało w internetowych serwisach internetowych i w social mediach. W mediach tradycyjnych – odpowiednio 41 i 28 proc. Na internetowych stronach polityków i partii – około 20 proc. w obu kategoriach wiekowych. Ważne było pytanie, czyje rekomendacje biorą młodzi wyborcy pod uwagę, podejmując decyzje o głosowaniu na daną partię. Okazało się, że „młodszy” cenił rekomendacje partnerów (30 proc.), rodzeństwa i dalszej rodziny (25 proc.) oraz

rodziców (23 proc.). „Starsi” kierują się głównie opiniami rodziców (29 proc.) i partnerów (24 proc.). Opinie zaczerpnięte z mediów mają wpływ na 10 proc. młodszych i 14 proc. starszych przedstawicieli pokolenia Y. Ekspertom i publicystom ufa 17-18 proc. respondentów, a znanym osobistościom około 10 proc. Około 55

proc. respondentów ufa sondażom, jednak 60 proc. zadeklarowało, że sondaże nie mają wpływu, na kogo oddadzą głos w wyborach.

Ostatecznie, w przeprowadzonych pół roku temu wyborach wśród najmłodszych wyborców (18-29 lat) według Exit Poll IPSOS wygrało Prawo i Sprawiedliwość (25,8 proc.), drugie miejsce zajął Kukiz'15 (19,9 proc.), a trzecie PO (14,6 proc.). 40 proc. młodych wyborców oddało głos na ugrupowania uznawane za antysystemowe. Młodzi wyborcy obserwowali media społecznościowe (Facebook i Twitter), ale samo założenie przez polityka kont na FB czy TT nie gwarantowało politycznego sukcesu. Ważna była aktywność i interakcje. Autorki zauważają, że „Analiza liczby obserwatorów oficjalnych kont partii i polityków na Facebooku pokazała, że najwięcej fanów mieli ci politycy, którzy dbali o rozgłos w mediach i często wygłaszali kontrowersyjne poglądy, a niekoniecznie pełnili najważniejsze funkcje w państwie”. Liderem w tej klasyfikacji był Janusz Korwin-Mikke, który miał 670 tys. fanów, a drugi był Zbigniew Stonoga (389 tys. fanów). Kolejne miejsca zajęli Andrzej Duda (358 tys.) i Paweł Kukiz (353 tys.).

Autorki wyciągają z tych badań wnioski, że media społecznościowe należy uznać za „kanał komunikacji wyborczej oraz wpływu komunikacji w tychże mediach na motywacje i decyzje elektoratu, szczególnie młodego”. Niemal 20 proc. z grupy



18-29 według Exit Poll IPSOS zagłosowało na Kukiz'15, co dało temu ugrupowaniu ostatecznie wynik na poziomie 8,9 proc. głosów ogółem. „Trudno uznać za bezzasadną tezę, że

wpływ na popularność tych ugrupowań wśród najmłodszych wyborców miała – piszą autorki artykułu – ich obecność, a przede wszystkim aktywność i wyrazistość komunikacji w mediach społecznościowych”.

Trudno byłoby zaprzeczyć tej tezie, aczkolwiek jest ona bardziej przypuszczeniem niż została potwierdzona przez wszechstronne badania audytoria. Niemniej wydaje się, że intuicja autorek jest słuszna. Dla pełnego obrazu należałoby jednak przeprowadzić badania powyborcze, aby opisać korelacje pomiędzy zainteresowaniami „działalnością” polityków w mediach społecznościowych i ich udziałem w wyborach (czyli również sposobem, w jaki wykorzystywali oni te media w kampanii wyborczej) a opiniami internautów o tych „wpływach” i rzeczywistym głosowaniem respondentów. Bez takich dodatkowych badań wszelkie wnioski pozostają wciąż hipotezami do udowodnienia, aczkolwiek nie dyskredytuje to ich poznawczej roli w dociekaniach naukowych. Tak czy inaczej, lektura omawianego artykułu prowadzi do interesujących uwag na temat wyborów politycznych pokolenia Y.

MAREK PALCZEWSKI

*Anita Ceglińska, Katarzyna Kopeć-Ziemczyk, *Wpływ kampanii politycznej w mediach społecznościowych i ich wpływ na zachowania wyborcze młodych Polaków*, „Studia Medioznawcze”, 1(64) 2016, s. 57-71.

Okiem satyryka

Harce w kominiarce

*Na stadionie gwizdy, race,
I ja za to wszystko płacę.
To jest bardzo prosta sprawa,
Jak ktoś chce się tak zabawiać,
Chętnie jego twarz zobaczę.*

Polityczna matematyka

*Ile wersji, tyle głosów.
Jak policzyć ile osób,
Bierze udział w marszach, które
Podnoszą temperaturę?
Może więc nie kusić losu?*

ANDRZEJ ZB. BRZOWSKI

Andrzej, człowiek dobrej woli



FOT. © ANDRZEJ DUDĄ / DUDOWICZ / KANCELARIA PREZYDENTA RP

Odszedł Andrzej Urbański, tak młodo. Tak młody, że promotorem jego doktoratu był parę lat od niego starszy kolega „marcowy”, Andrzej Mencwel, ten, co pierwszy opisał w sławnym elaboracie środowiska „resortowych dzieci”, dzieci Bogu ducha może wtedy winnych, ale środowiska bardzo znaczące.

Coraz puściej wokół, coraz smutniej.

Andrzej Urbański, człowiek wszystko-wiedzący, człowiek wszystko rozumiejący. Drugi Krąg – ci, co są ekspertami, bo wiedzą, co opiniują i przestrzegają, ale nie rządzą naprawdę. Naprawdę rządził (rządzi?) Pierwszy Krąg i Andrzej doskonale to wiedział. Kiedyś przejrzałam jego publikacje w podziemnej „Woli”, której był naczelnym już od stycznia 1982. No tak, musiał w tych latach już wiedzieć niejedno.

Redaktor „Biuletynu Informacyjnego” KOR, jeszcze w drugiej połowie lat 70. W dynamicznej „Solidarności” Biblioteki Narodowej przewodniczący. Związany z nurtem katolickim w podziemiu opozycyjnym, członek Prezydium Archidiecezjalnej Rady Duszpasterstwa Ludzi Pracy przy kościele św. Klemensa na Karolkowej, był też w Zarządzie zapominanej już dziś „Dziekanii”. Ale i przewodniczył Grupom Politycznym „Wola” (od 1983 r.), do których dołączył MRK „S”, słynna organizacja robotnicza, stanowczo reagująca na bezprawie komunistyczne. Przeciwnik „okrągłego stołu”, ale pomagał przy wyborach czerwcowych w 1989 roku. Po 1989, wstąpił do PC gdy powstało, zasiadał też w zarządzie Regionu Mazowsze „S”. Szefował telewizyjnemu „Pegazowi”, prowadził programy „Pytania

o Polskę” i cykl „Premierzy”, a nawet jakiś czas był naczelnym „Expressu Wieczornego” i „Życia Warszawy”. Krótko mówiąc, był niemal wszędzie, ale nie w „Wyborczej”, choć może coś tam machnął, i wszędzie miał rozmaitych znajomych, którzy dziś sobie wzajemnie i innym ręki nie podają, ale on zdaje się umiał zachować choć część starych przyjaźni.

*„Pojmował politykę
jako powołanie
do służby
wspólnemu dobru.
Był ważnym
uczestnikiem polskiego
życia publicznego,
człowiekiem mądrym,
prawym i życzliwym”*

Andrzej Duda, Prezydent RP

Pojawił się jakoś zimą 1990 roku w „Tygodniku Solidarność”, na zastępcę Kaczyńskiego i na kierownika działu politycznego. Wtedy go poznałam. Wniósł dodatkową porcję humoru, trzeźwą, żywą inteligencję, poczucie paradoksu, poruszył zbyt spokojne wody. Jako doradca premiera Jerzego Buzka zajmował się polityką informacyjną. Był szefem Kancelarii Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego i szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Pod koniec lat 2000. jego kariera została ukoronowana blisko dwuletnią prezesurą Telewizji Polskiej, co przysporzyło mu zgryzot, ponieważ nawet on nie mógł dać rady tamtejszym układom. To on w ramach pluralizmu zatrudnił w TVP Tomasza Lisa, czego wielu do dziś nie może mu darować. A został odwołany w grudniu 2008 roku, tuż po przedstawieniu projektu wielkiego serialu o czasach „Solidarności”, na który środowiska solidarnościowe daremnie czekały od blisko 30 lat i do dziś nie doczekały się. Ale pewnie odwołano go bez związku z tym projektem, tylko raczej za całokształt.

W życiorysach Andrzeja rzadko wspomina się o ciekawym epizodzie w Jego życiu. W latach 1995-1996 (a może trochę dłużej) był redaktorem naczelnym „Czasu Krakowskiego” gdy ten był już tygodnikiem, i planowanego na bazie jego załogi kolorowego tygodnika społeczno-politycznego pt. „Czas Polski”. Było to specjalne przedsięwzięcie Andrzeja, chciał łączyć wtedy już mocno skłócone środowiska, pełen dobrej woli starał się przełamać ostracyzm wobec tzw. centroprawicy. Trudno sobie wyobrazić, ale pracowali tam wtedy Jan Polkowski, Wojciech Czuchnowski, Jarosław Guzy, Katarzyna Kolenda-Zaleska, Witold Gadowski, Wojciech Mann, Dorota Terakowska, Agnieszka Romaszewska, Piotr Semka, Piotr Legutko, Ryszard Legutko, Adam Pieczyński, Radek Sikorski (tak się przedstawiał), no i moja skromna osoba. Wspaniałą oprawę graficzną wymyślił Piotr Młodożeniec. W stopce redakcyjnej pierwszego numeru odnotowano współpracowników – Bartoszewski,

Śmierć na posterunku

Bednarkiewicz, Bratkowski, Piesiewicz, Walendziak. Ciekawy zestaw, prawda? Prawdziwe panopticum z dzisiejszego punktu widzenia, odważna próba Andrzeja, by dla pluralizmu połączyć nie tylko ogień z wodą, ale nawet z benzyną.

Bratkowski pisał: „Chciałbym [...], żeby Polska nie wyschła i rzeki żyły; żeby podjąć realną rekonstrukcję gospodarczą Górnego Śląska. Czy odbudować np. normalne instytucje systemu pieniężnego”. No proszę, były – są? – wspólne płaszczyzny dla mieszkańców „tenkraj” i dla jego tubylców.

„Czas Polski” i jego losy... Był w trakcie podpisania umowy z amerykańskim „Time’em”. Wyszły tylko dwa numery, z 30 czerwca i 4 sierpnia 1996. Cena 2 złote. Jak w soczewce widać w nich całą III RP. Prezesem zarządu spółki „Arka Press” był francuski książę, Frederic Decaze, który zapragnął powołać w Polsce prawnicowy tygodnik ilustrowany. A zniszczył pismo ówczesny redaktor naczelny wielkiej gazety wspólnie z urzędującym wówczas prezydentem, który spotkał się z redakcją „Time’a”, by go ostrzec przed współpracą. Redaktor ten pisał na prawo i lewo (raczej na lewo...) ostrzeżenia przed „faszystowskim” pismem, „faszystowskimi” dziennikarzami itd. Prezydent podczas Olimpiady w Atlancie spotkał się z zespołem pisma i ostrzegł je również przed „faszystowskim” pismem. Faszizm, jak widać, już wtedy był w modzie w pewnych kręgach krytykantów. Historycy zbadają dokumenty, ja byłam świadkiem paru bulwersujących rozmów i dyktowania listów, w których inwestor i Andrzej bronili się przed zarzutami. Inwestor wystosował nawet do sławnego naczelnego list, w którym zarzucał mu niszczenie spółki i nieuczciwą konkurencję.

Tak czy inaczej, pismo padło po tych dwóch numerach, „Time” wycofał się ze współpracy, Francuz stracił mnóstwo pieniędzy, a „faszystowscy” dziennikarze pracę. Okazało się, że wysiłki Andrzeja, by połączyć prawicę i lewicę, były daremne. I był to rok 1996.

W telewizji nie widywaliśmy Andrzeja od lat. Teraz, za Jacka Kurskiego, nareszcie pojawił się w programach publicystycznych. W przewidywalnym jazgocie należał do tych, których warto posłuchać. Szerokie spojrzenie, oryginalna myśl, świetna polszczyzna, cudowna lekkość wypowiedzi.

Trzustka. No fakt, Andrzej lubił i umiał jeść, i wiedział, jakim zapijać świetnym winem.

Szkoda, że go już nie ma. Będzie nam go bardzo brakować.

TERESA BOCHWIC



FOT. © MIK / NASZA POLSKA

W środę, 1 czerwca, podczas miesięcznego spotkania Klubu Publicystyki Kulturalnej SDP w Domu Dziennikarza, przy ul. Foksal w Warszawie, zmarła nagle Maria Jedlińska-Adamus (rocznik 1932).

Niezłomna dziennikarka, prezes Wydawnictwa Szaniec, założycielka, redaktor naczelna i wydawca ogólnopolskiego tygodnika polityczno-społeczno-historycznego „Nasza Polska” (1995-2015), autorka książki Bohaterowi i kaci. Moje wspomnienia (Rytm, Warszawa 2015). Heroiczna postać, ciężko doświadczona od młodości, wraz z całą patriotyczną rodziną, przez system komunistyczny. Laureatka nagrody Złota Stalówka „Za niezłomną wierność Bogu i Ojczyźnie” (2015).

Była gościem czerwcowego spotkania KPK SDP. Zasłabła opowiadając o szukanach ze strony władz stolicy podczas 20 lat wydawania tygodnika „Nasza Polska” – dzieła jej życia. Odeszła „na posterunku”, w obecności licznych swoich autorów i przyjaciół.

**Droga Pani Marylko
Żegnamy Cię serdecznie!**

**Koleżanki i koledzy
ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich**

Maria Jedlińska-Adamus pozostanie w mojej pamięci zawsze niezłomna. Wiele razy opowiadała mi o tym jak „samuteńka” jako czternastolatka stała pod bramą więzienia na Rakowieckiej, pod którą poznała córkę gen. Emila Fieldrofa „Nila”. Stała do końca życia na warcie, będąc jak jej powiadał ojciec „dzielnym żołnierzkiem”. Jej dziewięcioro bliskich osób było więzionych za służbę Polsce, ojciec Władysław Jedliński spędził prawie 10 lat za kratami. Któregoś dnia podczas rozmowy o oprawcach jej Taty, powiedziała mi: „Najbardziej chciałabym, aby młodzież się o nich dowiedziała”.

W przesłanym liście do Muzeum Armii Krajowej 2 września 2015 roku pisała: „Czuję wielkie wzruszenie i radość, że po latach koszmaru, które miało miejsce w życiu mojego Ojca – Władysława Jedlińskiego i całej naszej rodziny, wreszcie można głośno mówić o niezłomnych i nieugiętych żołnierzach Armii Krajowej i Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Już nikt nie próbuje zamykać im ust, już nikt nie skazuje ich na tortury i nocne przesłuchiwanie, choć jeszcze wiele mamy do zrobienia w przekazywaniu młodemu pokoleniu historii o Polskim Państwie Podziemnym i jego bohaterach”.

Kochała młode pokolenie i ceniła sobie prawdę o Polsce i jej historii. Dla wielu znajomych z Polonii była, jak kiedyś usłyszałam, „kimś więcej niż Margaret Thatcher”. Zawsze elegancka i uśmiechnięta, odważna, wierząca, interweniująca w wielu sprawach.

Na łamach „Naszej Polski” przez kilka lat mogłam szlifować dziennikarski warsztat, służąc wartościom, które przyświecały Pani Marii i gazecie. Mimo różnicy pokoleń, łączyła nas bezcenna przyjaźń. Będzie bardzo brakowało mi telefonów Pani Marii, jej uśmiechu i radości, które miała w sobie, mimo wielu problemów. Wśród wielu talentów, którymi została obdarzona, mało kto wie, pięknie malowała. W moim mieszkaniu namalowane przez nią słoneczniki zawsze będą przypominać jej dobroć i wiarę w lepsze jutro.

Pani Marylko, spoczywaj w pokoju...

MAGDALENA KOWALEWSKA

Uroczystości pogrzebowe śp. Marii Jedlińskiej-Adamus odbędą się 13 czerwca. Msza święta pogrzebowa sprawowana będzie w kościele Najświętszego Zbawiciela w Warszawie o godz. 11.30, potem nastąpi wyprowadzenie na Cmentarz Bródnowski. Początek ceremonii pogrzebowych na cmentarzu około godz. 13.

Drodzy Czytelnicy, „Bez Wierszówki” znajdziecie...

Dom Dziennikarza przy Foksal – siedziba Zarządu Głównego SDP

Warszawa, ul. Foksal 3/5

Dom Pracy Twórczej SDP w Kazimierzu Dolnym

Kazimierz Dolny, ul. Małachowskiego 17

siedziby oddziałów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w całym kraju**Księgarnie „Książnicy Polskiej” oraz księgarnie partnerskie**

Olsztyn, pl. Jana Pawła II nr 3/5 (Centrum Książki)

Olsztyn, Jagiellońska 33/82 (Orion)

Olsztyn, ul. Kołobrzewska 5 (Logos)

Bartoszyce, pl. Konstytucji 3 Maja 8 (Wena)

Działdowo, ul. Mickiewicza 27 (ABC)

Elk, pl. Miejski 1 (Melanż)

Elk, ul. Mickiewicza 19 (Mentor)

Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Grunwaldzka 128 (Edukacja)

Giżycko, ul. Warszawska 2 (Odeon)

Gorzów Wielkopolski, ul. Hawelańska 9/10 (Versus)

Iława, ul. Niepodległości 2 (Metis)

Kętrzyn, ul. Sikorskiego 20/1A (Verso)

Korsze, ul. Mickiewicza 12 (Merkuriusz)

Lidzbark Warmiński, ul. Powstańców Warszawy 14

Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 39 (Tales)

Mińsk Mazowiecki, ul. Kościuszki 2 (Bajka)

Morąg, ul. 3 Maja 4 (Wiedza)

Mrągowo, ul. Ratuszowa 4 (Współczesna)

Nidzica, ul. 30-lecia 4 (Errata)

Ostrołęka, ul. Gorbatowa 28 (Jantar)

Ostróda, ul. Czarnieckiego 25 (Popularna)

Ostróda, ul. Czarnieckiego 32 (Impuls)

Ostróda, ul. Zamkowa 2 (Lexica)

Poznań, al. Marcinkowskiego 21 (Jedynka)

Przasnysz, ul. Rynek 14 (Pegaz)

Siedlce, ul. Piłsudskiego 6 (Świt)

Szczecin, ul. Hołdu Pruskiego 8 (Zamkowa)

Szczytno, ul. Polska 1 (Fraszka)

Świdnik, ul. Wyszyńskiego 17 (Bumerang)

Tarnów, ul. Słoneczna 29-33 (Planeta)

Tomaszów Mazowiecki, pl. Kościuszki 26 (Czytaj-Cafe)

Warszawa, ul. Górczewska 212/226 (Sylabus)

Warszawa, ul. Świętokrzyska 14 (Na Świętokrzyskiej)

Warszawa, ul. Zamieniecka 80 (Orbita)

Wrocław, ul. Świdnicka 49 (Pod Arkadami)

Zabrze, ul. Wolności 299 (Victoria)

Warszawskie placówki Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”

Warszawa, ul. Łomianańska 5

Warszawa, ul. Grzybowska 4 lok. 9A (Cemicus)

Warszawa, ul. Pańska 96 lok. 201 (Biomicus)

Warszawa, ul. Pańska 96 m. 36 (Hostel dla Podopiecznych)

Warszawa, ul. Słowackiego 12 (Amicus)

Biura Stowarzyszenia „Pomoc Kościołowi w Potrzebie”

Warszawa, ul. Wiertnicza 142

Kraków, ul. Bernardyńska 3

Poznań, ul. Szewska 18

a w Olsztynie między innymi

Ośrodek Badań Naukowych (Olsztyn, ul. Partyzantów 87)

Instytut Kultury Chrześcijańskiej (Olsztyn, ul. Kopernika 47)

Wojewódzka Biblioteka Publiczna (Olsztyn, Stare Miasto 33)

Miejski Ośrodek Kultury (Olsztyn, ul. Dąbrowszczaków 3)

Księgarnia „Ambasador” w Domu „Gazety Olsztyńskiej” (Olsztyn, Targ Rybny 1)

bezwierszówki

Miesięcznik społeczno-kulturalny

Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

ISSN 1732-7237

REDAKTOR NACZELNY

Ireneusz Stanisław Bruski

tel. 531 507 527

e-mail: bezwierszowki@wp.pl

STAŁA WSPÓŁPRACA

Teresa Bochwic (Warszawa)

Tadeusz Brzeski (Olsztyn)

Andrzej Zbigniew Brzozowski (Olsztyn)

Małgorzata Chomicz (Perugia)

Henryk Falkowski (Olsztyn)

Anna Fastnacht-Stupnicka (Wrocław)

Witold Gadowski (Kraków)

Jerzy Jachowicz (Warszawa)

Krzysztof Kłopotowski (Warszawa)

Elżbieta Królikowska-Avis (Londyn)

Anna Kryszczuk (Warszawa)

Wojciech Piotr Kwiatek (Warszawa)

Jerzy Leszek Okuniewski (Olsztyn)

Marek Palczewski (Łódź)

Joanna Paszkiewicz-Jägers (Groningen)

Zbigniew Połoniewicz (Ostróda)

Jan Rosłan (Olsztyn)

Monika Sadowa (Warszawa)

Marek Sokołowski (Olsztyn)

Paweł Staszak (Olsztyn)

Monika Szczygło (Olsztyn)

Błażej Torański (Łódź)

Stefan Truszczyński (Warszawa)

Bożenna Ulewicz (Olsztyn)

Jacek Wegner (Warszawa)

DTP

Marcelina Gorzka

ADRES REDAKCJI

(do korespondencji)

11-041 Olsztyn

ul. Hozjusza 12 m. 3

WYDAWCA

Warmińsko-Mazurski Oddział

Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

w Olsztynie

10-162 Olsztyn, ul. Nowowiejskiego 5

Rachunek bankowy: Bank Pekao S. A.

nr 40 1240 5598 1111 0000 5031 6164

DRUK

Przedsiębiorstwo Poligraficzne HAKUS

Maria i Andrzej Kuśmierczyk S. J.

11-041 Olsztyn, ul. Hozjusza 11

www.hakus.pl

Nakład – 4 000 egzemplarzy

Numer zamknięto 6 czerwca 2016 roku

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH DOM PRACY TWÓRCZEJ

Położony na Górze Małachowskiego, w sąsiedztwie domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, otoczony 3,5 ha parkiem, stanowiącym część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego.



Oferujemy:

- 130 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz w apartamentach 2-pokojowych
- Sale konferencyjne dla 300 osób z nowoczesnym sprzętem audiowizualnym (sala duża z klimatyzacją)
- Restauracja • Kawiarnia • Grill • Parking



Zapraszamy:

*uczestników kongresów,
szkoleń, konferencji
i gości indywidualnych.*

24-120 Kazimierz Dolny
ul. Małachowskiego 17
repcja: tel. 81 881 01 62
fax 81 881 01 65
www.domdziennikarza.com
info@domdziennikarza.com



*Ceny usług do negocjacji.
Stali Klienci otrzymują rabaty.*



